

TRZEŹWOŚĆ



MIEŚCZNIK ILUSTROWANY

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ”,
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,
ABSTYNETYCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW, KOŁA LEKARZY ABSTYNETÓW
I WILEŃSKIEGO TOW. WALKI Z ALKOHOLIZMEM I INNYMI NAŁOGAMI „MENS”
pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Prenumerata z przesyłką: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna 1.50.

Ogłoszenia: 1 str. 100 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 35 zł., 1/8 str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł.

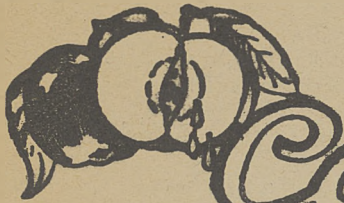
Konto pocztowe P. K. O. Nr. 270.

REDAKCJA: Warszawa, ul. Falata 4 m. 1, tel. 4.13.04, godz. 18—19.

ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Oboźna 4 m. 28, telef. 511-07.

T R E Ś Ć :

	Str.
PIUS XI — PAPIEŻ LAIKATU. — Mowa J. Em. ks. Kardynała Prymasa Augusta Hlonda (z portretem)	2
JAN SZYMAŃSKI. — Ojciec święty Pius XI	4
KS. PRAŁ. WINCENTY BALUL. — Ś. p. Aleksander Kardynał Kakowski (z portr.)	6
JAN SZYMAŃSKI. — Zasługi ś. p. Kardynała Aleksandra Kakowskiego na polu walki z alkoholizmem	10
KS. POSEŁ DR WŁADYSŁAW PADACZ. — Państwo w walce z alkoholizmem	15
B. SEN. TOMASZ NOCZNICKI. — „I nie wódz nas na pokuszenie...”	21
B. SEN. ALEKSANDER IZYCKI. — Delegacja polska na Kongres w Helsinkach	22
PROF. MIECZYŚLAW PTASZYCKI. — Z dzienniczka niedoświadczanego nauczyciela	23
PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI. — „Gorzałka” Adolfa Dygasłńskiego	26
Prok. S. N. STANISŁAW CZERWIŃSKI. — Lecznice własności muzyki	32
HANNA NAŁĘCZ-OSTROWSKA SZYMAŃSKA. — Ze zjawisk literackich. (Janina Wyczółkowska-Surynowa)	33
MARJA SOKALÓWNA. — Wśród książek	48
JAN SZYMAŃSKI. — Niemcewicz (Ocena pracy K. Zbyszewskiego)	53
DR PIOTR RADEŁO. — Jak jest zbudowany wszechświat	57
J. MORL. — Zwrotnica. (Nowela)	61
KONSTANTY KRYŚKO. — Obrazki z życia	65
ERYK LIPINSKI. — Świetny interes — (6 rysunków)	72
NAWROCONY. — Z motch przeżyć i doświadczeń	78
ROMA LUXÓWNA. — Wesele. Nowela.	83
JADWIGA DANIŁOWICZ-MORACZEWSKA. — Nowe życie. — Opowiadanie ..	99
HANNA NAŁĘCZ-OSTROWSKA SZYMAŃSKA. — Ze świata książek	103
K. KWIATKOWSKI. — Wrażenia z Kursu Alkoholologii	108
TEOFIL BRONIAREK. — Wieczornica na Powiślu	109
PRZEGLĄD PRASY	110
PRZEGLĄD ZAGRANICZNY (z portr.) przez H. N.-O. S.	129
Z DZIAŁALNOŚCI A. L. K. (z 13 rysunkami)	146
MARJA SOKALÓWNA. — Sprawa narkotyków na terenie międzynarodowym ...	167
PROGRAM ZJAZDU DEL. KOŁ T-WA „TRZEŹWOŚĆ” i pokrewn. organizacji ...	171
KRONIKA.	172



PEŁEN WITAMIN
BEZALKOHOŁOWY PŁYNNY OWOC

Caprice

Naturalny ten sok owocowy stać się musi drugim obok mleka napojem dla dzieci — tak jest zdrowym i pożywnym.

Wytwórcy: HARTWIG KANTOROWICZ NASTĘPCA S. A., Poznań.

PIJ NATURALNY SOK

FRANKA ZŁOTY —

TO SMAK I ZDROWIE

P. FRANK — RUNOWO KRAIŃSKIE

IDEALNE WITAMINOWE NAPOJE BEZALKOHOŁOWE
ZE ŚWIEŻYCH OWOCÓW

OWOC PŁYNNY
JABŁKOWY

TRÓJOWOCOWY
„VITA“

GOLDENRING — POZNAŃ

SZANUJCIE ZDROWIE!

PIJCIE

SANA płynny owoc
naturalny sok ze świeżych dojrzałych owoców polskich.

W. CZAJKA
KOŚCIAN — POZNAŃ

NOWOCZESNA WYTWÓRNIA PŁYNNYCH OWOCÓW

TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI NARKOMANJAMI,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ”,
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,
ABSTYNNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNETÓW
I WILENSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
I INNYMI NAŁOGAMI „MENS”.
Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr 1-4

STYCZEŃ — KWIECIEŃ 1939

Rok XIV

Przedruk artykułów bez zezwolenia Redakcji wzbroniony.



OJCIEC ŚWIĘTY PIUS XI.

127

5722

Biblioteka Jagiellońska



1002421555

PIUS XI — PAPIEŻ LAIKATU.

Mowa J. Em. ks. Kardynała Prymasa Augusta Hlonda.

Ks. kardynał Prymas dr August Hlond w czasie żałobnej akademii rządowej ku czci Papieża Piusa XI w dn. 11 lutego w Poznaniu wygłosił następującą mowę:

Papież naprawdę umarł. Złamano pierścień Rybaka i pieczęć dwuchsetnego sześćdziesiątego następcy świętego Piotra. Ze szczytów posłannictw i dostojenstw wkracza Pius XI w pisane dzieje kościoła i w pamięć ludów z aureolą wielkości i poręczonem prawem do wdzięczności pokoleń.

Łodzią Piotrową sterował lat 17. Byłoby lekkomyślnością chcieć w kwadransowem żałobnem wspomnieniu zobrazować choćby zasadnicze momenty, stanowiące treść tych pamiętnych rządów i określić zasięg ich wpływów. Wspomnę krótko, że Pius XI był opatrnościowym papieżem w stosunku do wewnętrznego życia kościoła i był papieżem nieustraszonym w oddziaływaniu na swą epokę.

W wewnętrznych rządach był ojcowski, ale stanowczy, nieustępliwy, nieprawdopodobnie pracowity i wymagający wyteżonej, poważnej pracy. Mając wstręt do płytkości i przeżytków, nie znosił na urządach kościelnych bezwładu i wygody, walczył z zastojem i połowicznością, błogosławił ruchliwości, inicjatywom. Wydajność działalności hierarchji i duchowieństwa podniósł wybitnie, gruntując ją na pogłębionym duchu kapłańskim, na szerszej wiedzy kościelnej, na zasadach ofiarniejszego apostołstwa.

Gdyby jednak chcieć jednym epitetem scharakteryzować zmarłego Papieża pod względem tego, co w Jego działalności nad wewnętrznym życiem kościoła było najbardziej znamienne, nie wahał bym się nazwać Piusa XI „Papieżem laikatu“. Przywrócił bowiem katolikom świeckim świadomość przynależności kościelnej, określił ich rolę w posłannictwach kościoła, natchnął ich poczuciem współodpowiedzialności za Królestwo Boże, obudził w ich duszach wspaniałe energie i odkrył przed nimi ewangeliczne widnokregi świętości i apostołstwa. Przez masy wiernych przeszło porywające tchnienie Ducha Świętego. W ewangelji laikatu, wyjaśnionej w wezwaniach Papieża, miliony dusz znalazły ostateczne zrozumienie swej wiary. I już świecki ruch apostołski wybił piętno na katolicyzmie naszego wieku, a jego współpraca z hierarchią, wnosząca myśl katolicką we wszystkie dziedziny i zakamarki życia, zadecydowała o zwycięstwie ducha Chrystusowego w świecie na szereg pokoleń.

Miało to i ten skutek, że gdy w bolszewickiej Rosji, czy w Meksyku niespokojnym, czy w czerwonej Hiszpanii wrogowie krzyża pławili się we krwi katolickich działaczy, obok kapłanów i zakonników sięgnęli bohatercko po palmę męczeństwa także świeccy apostołowie chrystusowi, umierając krociami za Królestwo Boże na ziemi. Tam zaś, gdzie

bez jawnego krwi przelewu odbiera się kościołowi prawa, swobodę, instytucje i możność działania, w jednym rządzie z duchowieństwem szeregują się mężnie ku obronie wiary laicy, oddając sprawie bożej nieocenione przysługi. Jest to epokową zasługą Piusa XI, że kościół utwierdzony w swej hierarchji, wzmocniony aktywnością apostołską mas laikatu, zdwoił swą zdobywczość, by dla Chrystusa pozyskać te czasy, które zmarły Papież nazwał potwornym okresem Neronów i Juljanów Apostatów.

Nie tylko kościół, ale i niekatolicki świat składa zmarłemu Papieżowi hołd za to, że w okresie potwornych błędów i załamywania się wszelkiej moralności uratował sumienie ludów. W obliczu materjalizmu propagowanego i realizowanego krwawo przez komunizm, wobec sprofanowania idei narodowej aż do absurdu rasizmu, wobec wyniesienia bezbożnictwa do zasady życia i kultury, wobec wojowniczego laicyzmu łoży, wobec sztucznego wskrzeszania mitów i uroczysk pogańskich, wobec tragicznych przełomów socjalnych, wobec rozpanoszenia się proletaryzmu i nowych form niewoli ludzkiej na obu półkulach ziemi, wobec bałwochwalczych filozofij politycznych, wobec zachwiania się autorytetów i kryzysu państwa, wobec celowego likwidowania rodziny, wobec wypaczenia naczelných zasad wychowania chrześcijańskiego, wobec deptania godności ludzkiej, wobec błędów i grzechów, co jak lawina druzgocą moralne wartości narodów — wśród prądów zwyrodniałej demokracji i zgubnych totalizmów, wśród grozy zbrojeń, wśród zapowiedzi światoburczych konfliktów wojennych, w ogólnem zamieszaniu doktryn, systemów, myśli, dążeń — jedna pozostała ludzkości niewzruszona ostoja prawdy, jeden niezłomny obrońca obyczajów, jeden niepodejrzany tłumacz prawa, jeden zwolennik szczery pokoju jeden niezawodny rzecznik praw człowieka: był nim Pius XI.

Był i w tym względzie niezmordowany, nieustraszony, bezwzględny, nowoczesny, demokratyczny, bezstronny. Nie pomijał żadnego współczesnego zagadnienia etycznego, nie ustępował przed żadnym błędem choćby wielkimi autorytetami popartym, pouczał katolików i niekatolików, poprawiał i karmił kogo należało, nie oglądając się na osoby i następstwa, walczył ze złem jako takim, nie pytając, kto je szerzy, cierpiał za prawdę, przecierpiał wiele z wstrząsającą godnością i równowagą ducha. Rozum i sumienie ludzkości przyznawały Mu w końcu słuszność. Wrogowie jeden po drugim chylili czoła przed Jego powagą. Nauki, płynące ze Stolicy Apostolskiej, prostowały powoli drogi świata. Papiestwo zdobyło wpływy moralne, jak kiedyś w bardzo odległych czasach, a wpływy te były zbawcze, opatrnościowe. Kościół, nie przekraczając zakresu swych posłańctw, prostuje sumienie świata. I choć wielkim czynem są Piusowe konkordaty, choć dla italskich stosunków znaczenie epokowe miały pakti laterańskie, choć o zasięgu oddziaływania Stolicy Apostolskiej świadczy wybitnie rozbudowa jej placówek dyplomatycznych — sądzę, że największą zasługą Piusa XI jest to, że w latach anarchji zasad i życia z powagą ogromną, jakiej nikt poza Nim nie miał, stał się obrońcą wierzeń i sumienia, obrońcą prawdy i obyczajów, obrońcą państwa i społeczności, obrońcą człowieka i praw jego, obrońcą ładu i karności, apostołem pokoju i pojednania. Nie pozwalając cofnąć życia do barbarzyństwa i pogaństwa,

wskazał ludom widnokreśli prawdziwej kultury i drogi rzeczywistego duchowego postępu.

Za to składają mu wdzięczne narody hołd, jak uznały Go, niejednokrotnie wbrew swym religijnym systemom, za przewodnika ludzkości.

Polsce przypisywał dziejową misję, w którą mocno wierzył. Pamiętam, jak z naciskiem mówił o naszej misji kulturalnej, o naturalnych kierunkach i drogach jej rozwoju. Pamiętam jak się lękał o ducha narodu, gdy napór laicyzmu był aż nazbyt widoczny. Pamiętam, jak był zaniepokojony, gdy raz prasa zagraniczna podała błędną wiadomość o mającym się odbyć w Warszawie kongresie bezbożników. Pamiętam, jak nalegał, by wyleczyć życie religijne z powierzchowności, a rodzinne z plagi rozwodów. Pamiętam jak wołał: „Jesteście rycerzami wiary. W tej roli będziecie najlepszymi rycerzami Polski“ Był szczęśliwy, gdy mógł się Polsce przysłużyć naprawdę. Kochał nas głęboko. Pragnął Polski katolickiej, szczęśliwej, potężnej. Zdumiewające w tym względzie wiadomości podadzą kiedyś opieczętowane dzisiaj źródła. Opatrzność zapisała Go w nasze dzieje, byśmy Jego wskazaniem i prostawali drogi naszego bytu.

Papieżowi nieustraszonemu wzruszona, wdzięczna, głęboką żalobą okryta Polska składa swój hołd czci, wdzięczności, modlitwy.

(„Gazeta Polska“ 13.II. 1939 r.).

OJCIEC ŚWIĘTY PIUS XI.

* 31.V. 1857 — † 10.II. 1939.

Dn. 10 lutego b. r. zmarł Ojciec Święty Pius XI. Śmierć Jego rozległa się silnem echem w całym świecie cywilizowanym, opartym w rozwoju swoim o kulturę chrześcijańską i ogólnoludzkie ideały.

Przepięknym wyrazem głębokiej myśli Jego i troski w tym właśnie zakresie były słowa wypowiedziane niedawno do przedstawicieli rządu angielskiego: premiera Chamberlaina i ministra spraw zagranicznych lorda Halifaxa podczas audjencji w Watykanie.

Wiedząc, że Ojciec Święty jest osłabiony chorobą, sądzili ministrowie angielscy, że będzie On wniesiony do sali audjencyjnej na fotelu; tymczasem Pius XI wszedł o własnych siłach i cichym, ale wyraźnym głosem powiedział:

„Panowie, mówi do was człowiek bardzo stary i chory, któremu niewiele już dni pozostało do życia.

Przez całe swoje życie walczyłem i do śmierci walczyć będę w imię kilku ideałów, które są cenne ponad wszystko: obrona ducha przed brutalną siłą, obrona słabego przed przemocą, obrona małych narodów przed wielkimi, obrona wolności przed tyranją i prawdziwej sprawiedliwości przed bezprawiem.

Niedługo będę musiał zaniechać tej walki“.

A spojrzawszy na swych gości, dodał:

„Na was ciążyć będzie dalsze prowadzenie tej walki. Obowiązkiem waszym jest obrona zagrożonej kultury“.

*

Nic więc dziwnego, że Ojciec św. Pius XI, żywo i gorąco interesował się sprawą walki z alkoholizmem, jako z jedną z największych klęsk ludzkości, będącej nieubłaganym wrogiem kultury.

Przemawiając do pielgrzymki niemieckich katolików abstynentów, Ojciec św. powiedział (dn. 30.IX. 1930) :

„Praca wasza jest nie tylko dobrem dziełem, ale i szczytną, świętą walką, szlachetną i dobroczynną walką, walką dla Boga i ludzi, dla narodu i Kościoła, dla rodziny i jednostki.

Dla Boga, którego pijaństwo tak często obraża,

Dla bliźnich, których ciała i duszy pomoc niesiecie,

Dla narodu i państwa, któremu alkoholizm tyle szkód wyrządza, tak wielu dobrych obywateli wykrada, czyniąc ich nie tylko nieużytecznymi, ale wprost szkodliwymi.

Jest to dobra i święta walka dla rodziny, którą pijaństwo tak ciężko dotyka i dosłownie rozbija i to nie tylko jej dzisiejsze istnienie, ale także i przyszłe.

Prowadzicie szlachetną i dobroczynną walkę również dla siebie samych. Gdyż walcząc tak z miłości do Boga i bliźnich, z miłości do kraju i narodu, zaprawiacie się w wysokim stopniu w cnocie, która jest królową cnót — w miłości Boga i bliźniego.

Idźcie zawsze naprzód tą piękną, wzniosłą i szlachetną drogą. Staczejcie coraz mężniej i lepiej ten święty bój.

Kościół ze szczególną radością patrzy na waszą działalność, bo cała ta walka, to dzieło jest z istoty swej doniosłym uczestnictwem w apostołstwie, w rzeczywistym i prawdziwym apostołstwie Kościoła; znaleźliście bowiem drogę, na której możecie uratować wiele dusz, bardzo często także i ciało, drogę, na której możecie przywieść tak wiele dusz z powrotem do matki, do Kościoła“.

*

Ojciec św. Pius XI, szczególną Swoją uwagą i opieką otoczył I. Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy w Warszawie (11—14 września 1937 r.) Świadczą o tem wymownie pisma JEm. Kardynała Stanu Pacellego (obecnie Ojca św. Piusa XII) do św. p. Kardynała Aleksandra Kakowskiego, ogłoszone w Pamiętniku tego Kongresu, wydanym p. t. „Świat Katolicki w dążeniu do odnowy obyczajów“ (Poznań, 1938), gdzie czytamy m. in.:

... „Miło mi donieść Ci, że Najwyższy Pasterz z radością przyjął wiadomość o tem pomyślnem wydarzeniu (o przebiegu i wyniku Kongresu) i przesyła gorące życzenia, aby praca, podjęta w celu pokonania występku pijaństwa, tak zgubnego dla moralności publicznej i prywatnej, przyniosła rychło obfite owoce dla dobra narodów i rodzin“.

Jan Szymański.



Ś. P. ALEKSANDER KARDYNAŁ KAKOWSKI.

(Odczyt wygłoszony na Akademji Żałobnej w Tow. „Trzeźwość“ dn. 10.I. 1939 r.).

Smutno zakończył się w Polsce r. 1938. Dnia 30 grudnia zmarł Jego Eminencja Ks. dr. Aleksander Kakowski, Kardynał, Arcybiskup, Metropolita Warszawski, Prymas Królestwa Polskiego, Regent Zmartwychwstałej Polski.

Tak niedawno obchodziliśmy 25-letni jubileusz Jego sakry biskupiej i rządów w Archidiecezji Warszawskiej. Niezbadane są wyroki Boże. Wiść o Jego zgonie wywołała wielki smutek i żal w całej Polsce. Odszedł od nas Pasterz dobry i Wielki Obywatel Polski, „który

za życia swego dom podparł i za dni swych świątynię umocnił, który miał pieczę o lud swój i wybawił go od zatracenia, jako ogień błyskający się i kadzidło gorejące w ogniu“ (Eklezjast. 50. 1, 4, 9.).

Ks. Kardynał Kakowski urodził się dn. 5 lutego 1862 r. w Dębinach, w rodzinie szlacheckiej z Franciszka i Pauliny z Osowskich. Kształcił się w Pułtusk, następnie w Warszawie, gdzie w 1878 roku wstąpił do Seminarjum duchownego. W 1882 r. został wysłany na wyższe studia teologiczne do Akademii duchownej w Petersburgu, następnie zaś do Papieskiego Uniwersytetu Gregorianum w Rzymie, gdzie zdobył stopień doktora Św. teologii i prawa kanonicznego. Wróciwszy do Ojczyzny dn. 30 maja 1886 r., otrzymał święcenia kapłańskie. Różnorodna była Jego 52-letnia praca kapłańska i na różnorodnych stanowiskach: jako wikariusz przy kościele Św. Andrzeja, profesor i regens Seminarjum Metropolitalnego Św. Jana w Warszawie, jako rektor Akademii duchownej w Petersburgu. W r. 1913 dn. 7 maja Papież Pius X po zgonie ś. p. arcybiskupa Wincentego Chościak Popiela, mianował ks. rektora Kąkowskiego Arcybiskupem Metropolity Warszawskiej, sakrę biskupią otrzymał 22 czerwca w kościele Św. Katarzyny w Petersburgu, rządu Archidiecezją Warszawską objął dn. 14 września. 28 października 1919 r. konsekrował na tytularnego Arcybiskupa Lepanto, ówczesnego Nuncjusza Apostolskiego w Polsce Achillesa Ratti — Papieża Piusa XI.

Papież Benedykt XV na konsystorzu dn. 14 grudnia 1919 roku obdarzył ks. Arcybiskupa purpurą kardynalską, jako prezbitera tytułu Św. Augustyna. Ks. Kardynał posiadał najwyższe odznaczenia Polskie: Wielką Wstęgą Orderu Orła Białego i Polonia Restituta I-jej klasy.

Najważniejszą Jego troską w życiu i pracy kapłańskiej było wychowanie i kształcenie młodzieży duchownej. Trudny był wówczas obowiązek wychowawczy kleru katolickiego na ziemiach polskich. Rząd rosyjski z całą bezwzględnością tępił polskość. To też niezwykley roztropności i poświęcenia było potrzeba, by w takich warunkach pracując, urabiać w sercach i umysłach alumnów ducha Bożego i kapłańskiego i patriotycznego. To doniosłe zadanie spełnił Jego Eminencja jako rektor Seminarjum i Akademii i jako Ordynariusz Archidiecezji Warszawskiej.

Rządy Archidiecezją Arcypasterz objął w przededniu wojny światowej, gdy jeszcze cała władza w b. zaborze rosyjskim była w rękę rdzennych Rosjan. Wówczas stanowisko arcybiskupa warszawskiego miało wielkie znaczenie i pod względem politycznym. Prymas Królestwa Polskiego był moralnym przywódcą i reprezentantem Narodu. Tak pojmowali swe posłannictwo arcybiskupi warszawscy i społeczeństwo polskie. Takim był Jego Eminencja gorliwy Pasterz Kościoła, piastun i obrońca ideałów narodowych polskich, stając się „wszystkiem dla wszystkich“.

Zarządzeniem Opatrzności Boskiej Jego Eminencja stał się jednym z budowniczych Polski. W r. 1917 podczas okupacji niemieckiej Ks. Arcybiskup zostaje członkiem Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego, stanowisko to przyjął po dłuższym zastanowieniu, po zasięgnięciu opinii i uzyskaniu aprobaty od Papieża Benedykta XV i Biskupów polskich.

Jako przedstawiciel Kościoła kładł Jego Eminencja razem z innymi patryotami pierwsze podwaliny pod budzącą się do życia państwowość Polski dzisiejszej. Dzięki Regencji zastaliśmy w chwili odzyskania niepodległości w dn. 11 listopada 1918 r. gotową już organizację Państwa Polskiego: własną oświatę, sądownictwo, administrację, skarb, przemysł, handel, rolnictwo — wogóle cały aparat życia państwowego, mimo toczącej się na frontach wojny. W tej pracy organizacyjnej państwowości, nie umniejszając w niczem zasług dwóch innych członków Rady Regencyjnej: księcia Lubomirskiego i p. Ostrowskiego, Ks. Arcybiskup włożył olbrzymi wysiłek, doświadczenie, znajomość dziejów Polski i urzędzeń państwowych. Ocenę działalności Jego Eminencji jako Regenta, dali nawet obcy, jak marszałek Foch podczas wizyty Arcypasterza w Paryżu.

Po odzyskaniu niepodległości Ks. Arcybiskup uważał swą misję Regenta za ukończoną, złożył swą władzę wraz z innymi Regentami w ręce Komendanta Legionów Józefa Piłsudskiego. Jako Pasterz i gorący Patryota, nie ustawał we współpracy z władzami państwowymi ku chwale i dobru Ojczyzny. Arcypasterz pracował wytrwale w organizowaniu stosunków i normalnego biegu życia w Archidiecezji *).

Gdy Rosjanie opuścili Warszawę w r. 1915, wydaje instrukcję do duchowieństwa o zakładaniu szkół po wsiach, by każde dziecko mogło się uczyć. Arcypasterz zawsze czuwał nad duchem szkoły polskiej i wychowaniem młodzieży akademickiej, szkolnej i robotniczej. I temi słowy o niej przemawiał: „Kocham młodzież. W młodzieży naszej, w jej życiu uczciwym i moralnym i ukochaniu przez nią wiedzy pokładam nadzieję lepszej przyszłości Narodu. Jaka młodzież — taka przyszłość“ **). Młodzież oparta o zdrową rodzinę i wychowana w dobrej szkole katolickiej, będzie najlepszą gwarancją Polski silnej.

Celem odrodzenia swej Owczarni w Chrystusie, Jego Eminencja na duszpasterską pracę baczną zwrócił uwagę: nabożeństwa odprawiał, wizytował parafje, nauczał, katechizował, bierzmował, pociągał wszystkich niezwykłą dobrocią i uprzejmością. Za Jego rządów powstało przeszło 220 kościołów i kaplic, nowe parafje erygowane, zgromadzenia zakonne męskie i żeńskie, wskrzeszony Wydział Teologiczny na Uniwersytecie Warszawskim, dom rekolekcyjny w Skrzyszewach.

Jego Eminencja od chwili objęcia rządów w Archidiecezji żywo się interesował czynem publicznym katolików, nawołując do tej pracy i podtrzymując wszelkie inicjatywy społeczne. Celem omówienia każdej ważniejszej sprawy, wydawał Listy Pastorskie. Od pierwszego Jego Orędzia do wiernych w dn. 14 września 1913 r. co roku ukazywały się stale odezwy Arcypasterza na Wielki Post, zachęcające wiernych do świadczenia miłosierdzia, popierania prac Polskiej Macierzy Szkolnej, do modlitwy za Ojczyznę, do zgody w Polsce, do zasilania Skarbu Państwa Polskiego, do obrony Górnego Śląska, do modlitwy o powodzenie oręża polskiego w walce z bolszewikami, o wyborach do Sejmu i Senatu, o Synodzie Archid., o wielkim Jubileuszu, Sakramencie Małżeństwa, o uroczystem obchodzeniu dziesięciolecia niepodległości Państwa

*) Wiadomości Archid. Warsz. Maj 1936 r.

***) Przemów. do deleg. stud. Un. Warsz. 26.I. 1914 r.

Polskiego, o trzeźwości i abstynencji z okazji pierwszego katolickiego Kongresu Przeciwalkoholowego obok XXI. ogólnego międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie w czerwcu 1937 r., oraz list pasterski do Wiernych Archid. Warszawskiej z okazji 50-lecia kapłaństwa Arcypasterza i inne.

Jego Eminencja ogłosił wiele prac i artykułów z dziedziny prawodawstwa ogólnego, w szczególności prawodawstwa kościelnego w Polsce.

Do spotęgowania wpływu myśli katolickiej we wszystkich dziedzinach życia i kultury Narodu Polskiego, eryguje Jego Eminencja dn. 21 grudnia 1933 r. „Archidiecezjalny Instytut Akcji Katolickiej, a w 1937 r. dn. 11 listopada „Instytut Wyższej Kultury Religijnej“. Tak w życiu całej Archidiecezji formuje się typ obywatela katolika-Polaka z pełnym zrozumieniem dla autorytetu Władzy Państwowej, jednocześnie czujnego w stawianiu swoich żądań w imię prawdy Bożej i zdrowia społeczeństwa i Państwa. Wreszcie dnia 23 lutego 1926 r. Ks. Kardynał wznosi wspaniałą „Dom Katolicki im. Piusa XI.“ który jako Nuncjusz brał czynny udział w życiu Państwa Polskiego i w budowie Kościoła w Polsce.

W 1931 roku Jego Eminencja wydaje List Pasterski „O miłosierdziu chrześcijańskim“, powołując do życia Katolicki Związek „Caritas“. Dziś już „Caritas“ może się wykazać dużemi pozycjami w ogólnej działalności pomocy Państwu i społeczeństwu nad opanowaniem nędzy i jej złowrogich skutków.

Dla dobra nauki historii Kościoła Polskiego, Jego Eminencja polecił zorganizować jedno z bogatszych archiwów kościelnych — Archiwum Archidiecezjalne Warszawskie. Dnia 14 września 1938 r. w 25-rocznicę swojego ingresu na Arcybiskupią Stolicę Warszawską otworzył Muzeum Archidiecezjalne cennych zabytków naszej kultury religijnej w Polsce pozostałych.

W r. 1938 Jego Eminencja wziął udział w podniosłych uroczystościach Kanonizacji św. Andrzeja Boboli — pierwszego świętego Odrodzonej Polski — w Rzymie, oraz w przywiezieniu Relikwii Świętego do stolicy naszej. Ostatnio wziął udział w tymże roku we wspaniałej pielgrzymce K.S.M.M. na jasnej Górze w Częstochowie.

Żywot Jego Eminencji, to jedno pasmo pracy. Jego umiłowanie pracy i wytrwałość w niej były wzorem dla nas wszystkich.

Zasnął w Panu Ks. Kardynał Arcypasterz. Jak pobożnie żył, tak też pobożnie umierał po przyjęciu Ostatnich Sakramentów Świętych i błogosławieństwa Papieskiego, przez J. E. Ks. Nuncjusza udzielonego.

Cześć Jego świetlanej pamięci!

Requiescat in pace!

Ks. prał. Wincenty Balul.

ZASŁUGI Ś. P. KARDYNAŁA ALEKSANDRA KAKOWSKIEGO NA POLU WALKI Z ALKOHOLIZMEM.

(Przemówienie, wygłoszone na Akademii Żałobnej ku czci ś. p. Kardynała Aleksandra Kakowskiego w Tow. „Trzeźwość“ dn. 10 stycznia 1939 r.).

W szeregu zagadnień, które szczególnie silnie interesowały zmarłego Księcia Kościoła, jedno z naczelnych miejsc zajmowała sprawa alkoholizmu i jego zwalczania.

Gdy przed laty po raz pierwszy miałem zaszczyt brać udział w delegacji Zarządu Głównego Towarzystwa „Trzeźwość“ u Jego Eminencji, uderzyło mnie bardzo silnie przejęcie się ś. p. Kardynała Kakowskiego sprawą alkoholizmu. W łaskawej i ożywionej rozmowie Jego z nami, pomijając wielką uprzejmość i serdeczność, które nosiły cechy bezwzględnej szczerości, najwięcej zwracało uwagę bezpośrednie i żywe zainteresowanie Jego Eminencji sprawą, o której mówiliśmy.

Niezapomniane wrażenie pozostawiło opowiadanie Jego, o wypadku, pełnym tragicznej wymowy, który niedawno przedtem miał miejsce na prowincji — oto dziecko wyrobnika podarło, nie mające już żadnej wartości marki polskie — ojciec alkoholik, gdy to zobaczył, wpadł w gniew i w pasji zabił dziecko, gdy ochłonął z gniewu i zobaczył, co się stało, wybiegł do stodoły i tam się powiesił; w tym czasie żona jego w sąsiedniej kuchni kąpała malutkie dziecko; gdy na krzyk zabijanego dziecka wpadła do izby i zobaczyła, co się stało, zmarła na aneurizm serca, a malutkie dziecko, pozostawione w wanience, utopiło się.

Przejęcie się, z jakim ś. p. Kardynał Kakowski opowiadał nam tę straszliwą tragedję, jasno wskazywało, jak głęboko odczuwał On cały bezmiar niedoli, spadającej na niewinnych ludzi wskutek alkoholizmu.

Jako Arcypasterz Archidiecezji Warszawskiej wielokrotnie bardzo wyraźnie zaznaczał swe stanowisko w sprawie alkoholizmu i jego zwalczania.

I znowu niech mi wolno będzie odwołać się do osobistych wspomnień — przed rokiem, dn. 17 stycznia 1938 r. miałem zaszczyt być na posłuchaniu u Jego Eminencji w delegacji Prezydium Zarządu Głównego naszego Towarzystwa.

Ś. p. Kardynał Kakowski przyjął nas bardzo łaskawie i serdecznie, a że był rekonwalescentem po ciężkiej i długotrwałej chorobie — w samym fakcie przyjęcia nas widzieliśmy dowód szczególnego Jego zainteresowania sprawą walki z alkoholizmem. Gdy na prośbę naszą udzielił zezwolenia na przedruk nakładem „Trzeźwości“ Swego Listu Pastorskiego w sprawie walki z alkoholizmem, J. Eminencja opowiedział nam, co następuje:

Po nominacji na Arcybiskupa Warszawskiego (przed 25 laty), podczas pierwszej wizytacji kanonicznej, gdy przybył do pewnego proboszcza, na przyjęciu zobaczył na stole szereg butelek z rozmaitego rodzaju napojami alkoholowymi. Dodać należy, że przed wizytacją za-

wiadomił podwładne duchowieństwo, iż podczas wizytacji na przyjęciach alkohol ma być całkowicie wykluczony. Gdy więc na pierwszym kroku spostrzegł, że zarządzenie Jego w sprawie alkoholu nie zostało wykonane, zwrócił się do proboszcza z oświadczeniem: „albo ja, albo alkohol“. Rzecz jasna, że alkohol natychmiast został usunięty.

Trwałym pomnikiem zainteresowania ś. p. Kardynała Kakowskiego zagadnieniem alkoholizmu i jego zwalczania jest właśnie wyżej wspomniany

List pasterski.

Cechuje ten List wielkie przejęcie się sprawą, dokładne i sumienne jej zbadanie, zagłębienie się w nią i przemyślenie.

Kilka ustępów z tego Listu najlepiej potwierdzi powyższą jego ocenę.

Czytamy tam m. in.:

„Niestety, ze smutkiem stwierdzić należy, że sprawa trzeźwości w szerokich warstwach naszego społeczeństwa, jak również zagadnienie walki z alkoholizmem, przedstawiają się niezbyt pomyślnie. Nałóg pijaństwa w Polsce odrodzonej, podobnie, jak w okresie jej najsmutniejszych dziejów podczas rządów saskich, zatacza szerokie kręgi, zaprzęgając do zwycięskiego rydwanu nie tylko uboższe warstwy ludności wiejskiej i miejskiej, ale również naszą inteligencję, a co najgorsze i niezwykle dla przyszłości narodu groźne — nawet naszą młodzież i, o zgrozo, działwę szkolną“.

„Naród nasz trapią w czasach dzisiejszych już nie tylko, jak to dawniej bywało, sporadyczne, mniej lub więcej częste wypadki pijaństwa, ale uderza nań z niezwykle silną niszczycielską potęgą, umiejętnie i planowo zorganizowany system, zwany alkoholizmem i zespół czynników, czerpiących zysk z nałogu pijaństwa“.

I wobec ogromu klęski alkoholizmu:

„Czy mogą być obojętnymi i biernymi widzami kapłani, rodzice katolicy, przedstawiciele organizacyj katolickich, ciał ustawodawczych i władz państwowych, gdy w mętnych falach alkoholizmu wraz z mieniem, dobrobytem i zdrowiem fizycznym narodu polskiego ginie i tonie: religijność, cnota, dobre obyczaje, hart woli, honor, świętość i trwałość ognisk życia małżeńskiego i rodzinnego?“

Nie, po stokroć nie! Na to pozwolić nie możemy, zwłaszcza dziś, gdy tylu i tak silnych wrogów, nie przebierających w środkach działania, zagraża wierze ojców i państwowości polskiej!“

„Do zgodnej, planowej i zdecydowanej walki z alkoholizmem wystąpić muszą w czasach dzisiejszych na różnych polach naszego życia publicznego, społecznego i prywatnego: Kościół, państwo, organizacje samorządowe i społeczne, szkoła i rodzina...“

„Duchowieństwo katolickie w pracy przeciwalkoholowej nie tylko nie powinno zachowywać się biernie i obojętnie, ni też dać się wyścignąć w tej pracy przedstawicielom wyznań akatolickich, które wiele wysiłków na tem polu czynią, ale obowiązane jest w propagandzie przeciwalkoholowej przodować, świecić przykładem bohaterskich wysiłków, śmiałością i planowością inicjatywy i osobistą gorliwością“.

I dodaje w tem miejscu Dostojny Autor następujące głębokie zdanie:

„Próżne i w znacznej mierze bezowocne będą częstokroć najbardziej intensywne i gorliwe prace i poczynania naszych kapłanów w zakresie pracy nad wiernymi ściśle religijnej, kościelnej, ascetycznej, charytatywnej i kulturalno-oświatowej, jeśli ci sami kapłani nie przyczynią się walnie do opanowania i pokonania rozszalałego żywiołu pijaństwa i alkoholizmu, które w szerokich masach ludności katolickiej, nawet religijne praktyki wypełniającej, wypaczają charakter, osłabiają odporność woli w walce z pokusami i grzechem, utrudniają, albo wręcz uniemożliwiają działalność łasce Bożej w duszy, znieprawiają nasze życie towarzyskie, zebrania, obchody i uroczystości społeczne, narodowe i kościelne, np. odpusty, wiążąc je nieodłącznie z nadużywaniem alkoholu, z pijatykami i wynikającymi z nich wykroczeniami zmysłowemi i niejednokrotnie — z krwawymi porachunkami i waśniami“.

Ubolewa dalej ś. p. Kardynał Kakowski, że nasza ustawa przeciwalkoholowa „została mocno rozluźniona i okrojona“; gdyby ustawa była wykonywana, „oddałaby wielką usługę akcji przeciwalkoholowej“.

Specjalnie silny nacisk kładzie List na zagadnienie alkoholizmu wśród dzieci i młodzieży:

„W szczególniejszy zaś sposób nasze czynniki państwowe i społeczne powinny rozwinąć jak największą energję i czujność, aby nie dopuszczać do krzewienia się potwornej plagi alkoholizmu pośród młodzieży szkolnej i pozaszkolnej. Co za smutna i tragiczna przyszłość czeka nasz naród, gdyby jego młode płonki i kwiat zatruł i zniekształcił jad alkoholizmu i, towarzyszący mu zwykle, rak nieobyczajności i rozwiązłości!“

„... Władze szkolne, łącznie z dozorami szkolnymi i związkami rodziców i opiekunów dziatwy szkolnej, z całą stanowczością i zapobiegliwością obowiązane są usuwać od młodzieży wszelkie okazje i zakusy ze strony złych kolegów, lub nieuczciwych szynkarzy, którzy sprzedają nieletnim napoje wyskokowe.

Księża katecheci i nauczyciele winni przewodzić nie tylko w szkole, ale i poza murami szkoły, w doniosłem dziele obrony młodzieży naszej przed zarazą alkoholizmu. Zagadnieniu temu należałoby poświęcić doniosłe miejsce w wykładach szkolnych, w odczytach i referatach, wygłaszanych w organizacjach młodzieżowych przeciwalkoholowych, a księża katecheci, ponadto — w kazaniach niedzielnych i świątecznych, oraz w konferencjach rekolekcyjnych.

Niewiele jednak dokonać będzie mogła szkoła polska wraz z nauczycielstwem w tej dziedzinie, jeśli nie przyjdzie jej z pomocą rodzina polska.

Alkoholizm na ziemiach naszych bodaj dlatego tak silnie korzenie zapuścił, że rodzice polscy już od najwcześniejszych lat wprowadzają swą dziatwę do picia alkoholu, w postaci wina, piwa i alkoholowych napojów owocowych. Uczą tego nałogu dzieci przedewszystkiem, folgują sami temu nałogowi w mniejszym lub większym stopniu, oraz tolerują w swoich ogniskach rodzinnych pijackie obyczaje towarzyskie, które domagają się, aby „zakrapiano“ alkoholem każdą uroczystość rodzinną, każdą zabawę, każde wesele, chrzciny, imieniny, jubileusze, pogrze-

by, kontrakty kupna i sprzedaży, słowem wszystkie ważniejsze wydarzenia życiowe.

Zachęca się przy tej okazji również małą dźwiatwę do kosztownia „przysmaków“ alkoholowych.

Młodzież, która wyrasta, rozwija się i kształci w takiej atmosferze rodzinnej, przesyconej zwyczajami i przesądami o konieczności absolutnej alkoholu w życiu rodzinnem i towarzyskiem, nie potrafi najczęściej sama wydobyć się z więzów alkoholizmu w ciągu swego szkolnego i pozaszkolnego życia. Zresztą nałóg pijaństwa, na mocy praw dziedziczności, coraz silniej działa w następnych pokoleniach, obarczając je rozlicznymi ułomnościami i zwyrodnieniami fizycznymi i psychicznymi, które często kończą się nieuleczalną chorobą, obłądem lub samobójstwem. Setki tysięcy naszej kochanej młodzieży polskiej, tak potrzebnej do rozwoju i obrony kraju przed wrogami, idzie przedwcześnie do grobu, częstokroć ze skargą lub przekleństwem na ustach na swój los i na grzech pijaństwa rodziców, i to z winy tych ostatnich. Niemniej straszne są dzieje życia tej dźwiatwy, która długie lata w kalcetwie pędzi swój żywot, z pełną świadomością w duszy, kto temu winien.

Rodzice i wychowawcy-katolicy, miejcie litość nad dźwiatwą, której wychowanie i wykształcenie tyle was zachodów i trosk kosztuje! Miejcie litość nad krajem i społeczeństwem naszym, które w dobie dzisiejszej potrzebuje silnych i zdrowych duchowo i fizycznie obywateli państwa!

Nie gubcie swej dźwiatwy i Ojczyzny przez hołdowanie nałogowi pijaństwa i tolerowanie w waszych domach i obyczajach towarzyskich plagi alkoholizmu!

Pamiętajcie o tem, co Chrystus mówi o dających zgorszenie dźwiatwie: „A ktoby zgorszył jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi i zatopiono go w głębokości morskiej“ (Mat. 18, 6).

Powyższe wywody o bezwzględnej szkodliwości alkoholizmu dla dzieci, o konieczności walki z nim i o zadaniach szkoły w tym zakresie świadczą wyraźnie, jak doniosłą wagę przywiązywał ś. p. Kardynał Kakowski do tej sprawy. Znając ją na podstawie badań i dokładnych relacyj, uważał fakt alkoholizmu wśród dzieci za wielkie i groźne niebezpieczeństwo dla narodu i Państwa. Dawał też temu przekonaniu nadzwyczaj silny wyraz w rozmowach.

Dwie są drogi w walce z alkoholizmem: umiarkowanie i abstynencja. List zaleca abstynencję, albowiem:

„Ona jedynie najskuteczniej może przeciwstawić się pladze alkoholizmu i ona przedewszystkiem może obudzić żywy ruch przeciw-alkoholowy w szerokich masach i kołach społeczeństwa“.

Omawiając następnie szeroko zadania „Bractw Trzeźwości“, zauważa m. in.:

... „Niech członkowie i przedstawiciele „Bractw Trzeźwości“ czynnie współpracują ze wszystkimi poczynaniami innych organizacyj przeciwalkoholowych w dziedzinie wspólnej walki z alkoholizmem na wszelkich odcinkach życia społecznego i publicznego“.

List Pasternski o trzeźwości i abstynencji jest w gruncie rze-

czy bardzo poważną rozprawą o zagadnieniu alkoholizmu, niezmiernie głęboko i trafnie ujmującą zagadnienie walki z alkoholizmem. Z szeregu ustępów widać, że sprawy w nim poruszone leżały Dostojnemu Autorowi na sercu, że zbadał je, poznał i przemyślał dokładnie i wszechstronnie i przedstawił je w Liście bez obsłonek, jasno i szczerze, odważnie.

Stąd nieprzemijająca wartość jego.

List wydany został z powodu I Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie we wrześniu 1937 r., który się odbył w związku i w ramach XXI. Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie. Była to jednak tylko okazja, powód. Ś. p. Kardynał Aleksander Kakowski wypowiedział w nim to, co oddawna już pragnął publicznie wypowiedzieć.

Stąd pochodzi ta siła argumentacji, powaga, przekonanie i serce. Dobrze, kochające, pełne troski i niepokoju.

W sprawach organizacyjnych I Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie brał ś. p. Kardynał bardzo gorąco i czynny udział.

Wziął osobisty udział w otwarciu XXI. Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego i następnie Katolickiego Kongresu, w którego pracach i zamknięciu brał bardzo żywy udział.

Zamykając Kongres, wygłosił następujące przemówienie:

„Kończy się I M-wy Katolicki Kongres Przeciwalkoholowy. Ale dopiero teraz otwiera się dla nas właściwe pole do pracy nad wprowadzeniem w życie zasad, na których opiera się walka z alkoholizmem, nad urzeczywistnieniem postanowień i rezolucji, któreśmy na tym kongresie czy to względem siebie samych, czy też względem innych powzięli.

Kongres podobny jest do konsylium lekarzy, stawiających diagnozę nad chorą duszą i chorym ciałem alkoholika. Zbawienną jest rzeczą postawienie dobrej diagnozy, ale jeszcze pożyteczniejszą i zbawieniejszą jest przeprowadzenie i utrzymanie człowieka w zdrowiu.

Narkomania jest nieszczęściem dzisiejszego społeczeństwa — najwięcej wśród dorosłych, bardzo często wśród młodzieży i, niestety, nieraz nawet wśród dzieci.

My, cośmy tę chorobę badali i poznali, powinniśmy ją teraz leczyć.

Rozjedźcie się po świecie i po kraju do domów waszych. Stańcie wszyscy wśród swego otoczenia i na swych stanowiskach, jako siewcy zdrowego ziarna trzeźwości i wstrzemięźliwości.

Zadanie to spełnić winni w pierwszym rzędzie duchowni — przede wszystkim księża proboszczowie w swoich parafjach.

Niech każdy ks. proboszcz, jak to zaleca mój list pasterski, założy w swojej parafji bractwo trzeźwości. Będzie ono ogniskiem promieniującym wokoło.

Rozszerzajcie, zwłaszcza wy, Polacy, przekonanie, że Polska jest *za biedna, aby mogła tracić miliony na alkohol.*

Jeśli będziecie głosicielami i szermierzami tych haseł i zasad, które były tu omawiane, nie wątpię, że przyszłe pokolenia zachowają o was wdzięczne wspomnienie“.

W październiku 1927 r. pracowałem nad przygotowaniem Jedno-

dniówki „Trzeźwość“, która miała być wydana z powodu VII. Polskiego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie. Zwróciłem się do J. Eminencji z prośbą o łaskawe wzięcie udziału w Jednodniowce. Jakaż była radość redaktora, gdy poczta przyniosła rękopis własnoręczny, a tak czytelny, że można go było reprodukować w oryginale:

Tylko na drodze czuwania i pracy nad sobą, rozwijania charakteru, siły woli i mocy ducha, z oparciem się przede wszystkim na pomocy Bożej, można skutecznie przeciwdziałać klęsce alkoholizmu.

Walka z alkoholizmem powinna się rozpoczynać od podstaw, a zatem w rodzinie i w szkole, a potem trwać dalej przez całe życie.

Kościół Katolicki w tej pracy zawsze brał wybitny udział i błogosławieństwem swem ją darzył.

Warszawa, dn. 7 listopada 1927 r.

† Aleksander Kardynał Kakowski.

*
* *
*

Dochody Państwowego Monopolu Spirytusowego w ostatnich latach zaczynają wybitnie wzrastać, a jednocześnie ze wszystkich stron kraju nadchodzą wieści o wzroście liczby przestępstw, popełnianych pod wpływem alkoholu, lub w związku z alkoholizmem, z chęci „użycia życia“, co zawsze łączy się z wyuzdaniem alkoholowem. Alkoholizacja dzieci i młodzieży szkolnej, demoralizacja publiczna, to groźne dla nas wszystkich ostrzeżenia.

Tem ważniejszą i pilniejszą jest potrzeba dokładnej znajomości stanowiska, jakie w tej, niezwyklej wagi kwestji zajmował zmarły Arcybiskup Warszawski.

Stanowisko to i publiczne wypowiedzenie się, wyżej przytoczone, stanowią jakby testament i przykazania ś. p. Kardynała Kakowskiego w zakresie kwestji alkoholizmu i metod oraz dróg jej rozwiązania.

Manifestacyjne uroczystości pogrzebowe, datki na cele dobroczynne dla uczczenia pamięci Zmarłego — to mało — trzeba jeszcze żywego czynu, świadczącego o naszym przejęciu się tem, co interesowało i przejmowało tego, pod wieloma względami tak wybitnego człowieka, — jednym z takich żywych pomników ś. p. Aleksandra Kardynała Kakowskiego byłoby wzmoczenie i systematyczne prowadzenie walki z alkoholizmem w Polsce.

Jan Szymański.

PAŃSTWO W WALCE Z ALKOHOLIZMEM.

(Przemówienie, wygłoszone na Akademji Tow. „Trzeźwość“ podczas XIII „Tygodnia Propagandy Trzeźwości“ w Warszawie, dn. 5.II. 1939 r.).

I. Zadaniem państwa jest dbać o dobro i spokój swych obywateli. W tym celu ma umożliwiać im otrzymanie pracy i usuwać niebezpieczeństwa zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Dobrobyt zaś łączy się z posiadaniem cnót naturalnych: pracowitości i oszczędności, czyli państwo ma zwracać uwagę, by te właśnie cnoty obywatele posiadali.

Pracowitość jest skutkiem umiłowania pracy. Wzorowy obywatel przeto skrętnie unika tego wszystkiego, co mu pracę odbiera, lub mu w dni poświęteczne w przeważającej ilości fabryk i warsztatów, a nawet biur, robotnicy i urzędnicy gorzej pracują i stosunkowo duża ich liczba opuszcza pracę. Badania wykazały, że tego rodzaju zjawisko łączy się ściśle ze sprawą alkoholizmu. Robotnik bowiem, który w niedzielę nadużyje alkoholu, dnia następnego nie jest zdolny wykonywać zadawalniająco powierzonej mu pracy. Dzieje się to dlatego, że nawet mierne użycie alkoholu osłabia w pewnym stopniu siły fizyczne i duchowe, a niekiedy prawie całkowicie je niszczy.

W soboty, po tygodniowej pracy, otrzymuje robotnik płacę i wcale nie sporadyczne są wypadki, że zamiast do domu — idzie do szynku. Rezultat wiadomy, skutki — mniej lub więcej przykre. Żona z dziećmi oczekuje tych kilkunastu czy kilku złotych, a tymczasem otrzymuje jakieś drobne miedziaki, często z akompaniamentem przekleństw i pogroźek.

Chyba przeto słuszny był wniosek skierowany do Ministra Opieki Społecznej, na posiedzeniu komisji budżetowej w Sejmie dn. 17 stycznia 1939 r., by postarał się o wydanie ustawy, któraby pozwała żonom na podejmowanie części pensji męża - alkoholika *).

Trudność tkwi tylko w tem, że trzeba tu znaleźć właściwą podstawę prawną. Sądzę, że przy uwzględnieniu dwóch okoliczności, trudności znikną. Mianowicie:

- 1) każdy pracownik ma prawo do otrzymania całej umownej czy ustanowionej płacy;
- 2) państwo zaś ma prawo do zabrania mu części płacy na z góry przeznaczone cele, np. na podatek dochodowy, na ubezpieczenia społeczne, a więc może też postanowić, że część pensji zatrzymana będzie na określone cele, np. na utrzymanie rodziny.

Trzeba również dodać, że głowa rodziny ma obowiązek dbać o swoją rodzinę, a jeżeli tego nie czyni, chociaż jest w możności, państwo może zdecydować, kto z jego funduszków będzie czerpał na utrzymanie żony i dzieci.

Patrząc z punktu widzenia moralnego na tę kwestję, również dojdziemy do nieulegającego wątpliwości wniosku, że prawo Boże naturalne nakazuje troszczyć się ojcu o swoją żonę i dzieci, podobnie jak dzieciom o swych starych rodziców. Jeżeli ojciec to prawo łamie, popełnia czyn przestępny w obrębie prawa moralnego. Pragnąc naprawić skutki moralne zła, tak Kościół, jak i państwo mogą go zmusić do zachowywania norm prawnych.

II. Drugim obowiązkiem państwa jest czuwanie nad bezpieczeństwem obywateli. Musi przeto posiadać siłę zbrojną, gotową do odparcia nieprzyjaciela i do zmuszenia go do respektowania swych praw suwerennych.

W skład sił zbrojnych wchodzi obecnie między innymi broń pancerna, lotnictwo, oddziały zmotoryzowane. Dla tego rodzaju wojska potrzebna jest benzyna. Wiemy, że za kilka lat znacznie nam ubywać ropy naftowej i węgla. Czy Polska wobec tego ma zrezygnować z broni pan-

*) Wniosek ten zgłosił ks. poseł Dr Władysław Padacz (Przyp. Red.).

cernej? Ależ byłoby to zrezygnowaniem ze zniszczonych marzeń dzia-
dów, ojców i naszych własnych! Byłoby to zrezygnowaniem z wolności!
Zdrowo myślący obywatel musi powiedzieć sobie: „Materiały pędne są
nam potrzebne dla wojska! Muszą się przeto znaleźć!“ I tu właśnie zja-
wia się zagadnienie dla nas ogromnie ważne: skoro zabraknie w Polsce
benzyny, a jest ona bezwzględnie potrzebna, to należy wyszukać ma-
terjału zastępczego. I właśnie spirytus oddać tu powinien kolosalną
przysługę: on bowiem zastąpić potrafi w dużym stopniu benzynę.

Przewidując taki stan rzeczy, rozporządzenie p. Prezydenta Rze-
czypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. w art. 48 głosi: „Rada Ministrów
może wprowadzić w drodze rozporządzenia przymus mieszania spiry-
tusu do płynnych materiałów napędowych w zakresie i na warunkach
przez siebie ustalonych“.

Sprawa ta znalazła swoje mocne echo w Sejmie dn. 20 stycznia
1939 r. w komisji budżetowej podczas obrad nad monopolami państwo-
wymi. Mianowicie 2 posłów omówiło zagadnienie materiałów napędo-
wych, a jeden z nich poruszył przy okazji sprawę alkoholizowania się
ludności i skierowania przeto spirytusu z drogi konsumpcji na drogę
przemysłowo-gospodarczą, przyczem zgłosił rezolucję, aby Rząd jak-
najprędzej wydał rozporządzenie, stosownie do wspomnianego art. 48*
Na to odpowiedział wiceminister skarbu w słowach następujących: „Sły-
szałem tu dwie, niezupełnie zgodne opinie, co do przymusu stosowania
mieszanek napędowych. Droga, po której Rząd zamierza pójść w tej
sprawie, jest pośrednia, a mianowicie: przymus faktyczny bez przymu-
su formalnego. W tej chwili dyrekcja monopolu spirytusowego przedło-
żyła do zatwierdzenia układ, zawarty z przemysłem naftowym, który
gwarantuje, że praktycznie w roku przyszłym będziemy mieli benzynę
czystą na rynku tylko w bardzo rzadkich wypadkach, gdyż zastrzeżone
jest nabycie spirytusu w wysokości 15 proc. całej ilości benzyny sprze-
danej na rynku krajowym. To zagadnienie ma niesłychaną doniosłość
nie tylko dlatego, że wydajność naszych złóż nafty aktualnie nie nadą-
ża za rozwojem zapotrzebowania, ale ze względu na horoskopy, jakie
stawia przed rolnictwem polskim“.

Jesteśmy zatem na bardzo dobrej drodze. Dzięki zastosowaniu
mieszanek spirytusowych zaoszczędzi się dużo benzyny, a przeznaczy
się ją na cele, związane z obronnością Państwa naszego.

III. Jeżeli teraz chcielibyśmy spojrzeć na doniosłość ruchu ab-
stynenckiego dla wojska, to przedewszystkiem trzeba zwrócić uwagę
na tężyzną fizyczną, która przy alkoholizmie jest niemożliwa do osią-
gnięcia.

W kilku pismach pojawiły się notatki, że w tych powiatach Polski,
gdzie alkoholu więcej spożywają, lub gorzej się odżywiają, młodzież,
przybywająca do wojska, pod względem zdrowia i konstrukcji cieles-
nej przedstawia wiele do życzenia.

W interesie przeto państwa leży krzewienie trzeźwości wśród
swych obywateli, z nich bowiem tworzą się oddziały armji narodowej,

*) Posłami tymi byli: ks. Dr Władysław Padacz, oraz inż. Mieczysław Wy-
szyński. rezolucję zaś zgłosił ks. poseł Padacz. (Przyp. Red.).

a im zdrowszy fizycznie i moralnie obywatel, tem lepszy żołnierz i mocniejsze wojsko.

Doświadczenia również wykazały, że żołnierze, nie używający napojów alkoholowych, lepiej i szybciej wykonywują pracę im powierzoną, niż pijący napoje wysokokowe. Np. w Szwecji przeprowadzono ciekawy eksperyment. Mianowicie urządzono w wojsku ćwiczenia w ten sposób, że przez kilka dni przeprowadzano strzelanie, raz po uprzednim podaniu żołnierzom napoju alkoholowego, innym razem przy zupełnem wstrzymaniu się od alkoholu. Próbie było poddanych sześciu żołnierzy. W wyniku badań okazało się, że żołnierze po spożyciu przed ćwiczeniami po 34 do 44 gramów alkoholu, osiągnęli w strzelaniu znacznie gorsze wyniki, niż przy zupełnem wstrzymaniu się od użycia alkoholu.

I u nas w pamiętnym 1920 r. zauważono, że harcerze na froncie bojowym łatwiej znosili trudy wojenne, niż inni żołnierze polscy. Zagadkę rozwiązać łatwo: harcerze nie używają napojów alkoholowych.

Zwazywszy na powyższe okoliczności, państwo powinno energicznie zwalczać alkoholizm. Może tego dokonać, wydając ustawy, któreby wpłynęły na zmniejszenie się pijaństwa. Ustawy te nie mogą zawierać tylko negacji, muszą coś pozytywnego dodać. Trzeba zatem wychowywać w duchu bezalkoholowym społeczeństwo, a zwłaszcza młodzież polską. Wychodząc z tego założenia, państwo polskie powinno:

- a) wprowadzić obowiązkowe nauczanie w szkołach o ujemnem działaniu alkoholu na życie duchowe i fizyczne człowieka, oraz przymusowy egzamin z dziedziny alkoholologii dla kończących licea pedagogiczne, szkoły zawodowe, kursy higieniczne i t. d.;
- b) wydać ustawę, któraby miała na celu popieranie przetwórstwa owocowego, wyrobu bezalkoholowych naturalnych soków owocowych i krajowego mleczarstwa.

Nowa zaś ustawa przeciwalkoholowa powinna iść po linii następujących zasad:

- 1) władze administracyjne ściśle powinny przestrzegać, by koncesjonariusze dokładnie stosowali się do dotychczas obowiązującej ustawy przeciwalkoholowej artykułu 8, mówiącego, że nie wolno sprzedawać ani podawać napojów alkoholowych do 21 roku życia uczniom szkół niższych i średnich bez względu na wiek, konsumentom pod zastaw, na kredyt, wzamian za zboże, inne wytwory gospodarstwa wiejskiego, za wykonaną pracę lub na pokrycie zobowiązań;
- 2) ponieważ statystyka kryminalna wykazuje, że 43% przestępstw całego tygodnia, popełnionych pod wpływem użycia alkoholu zostaje popełnionych w soboty i niedziele, t. j. w dni, w których ludzie, wzięwszy pensję, najwięcej mają czasu i najwięcej konsumują alkoholu—ustawa winna zabronić sprzedaży i podawania napojów alkoholowych w dni przedświąteczne od południa, oraz w dni świąteczne i wypłat. Przyczyniłoby się to do wybitnego zmniejszenia przestępstw;
- 3) za przekroczenie 2-krotne ustawy przeciwalkoholowej, prócz kary, winien szynkarz utracić koncesję;

- 4) zmniejszyć ilość miejsc detalicznej sprzedaży napojów alkoholowych, oraz ilość szynków;
- 5) wznowić dawne komisje do walki z alkoholizmem, których zadaniem byłoby między innymi decydowanie, kogo należy uważać za alkoholika;
- 6) zakazać sprzedaży napojów alkoholowych w buteleczkach o wartości mniejszej, niż $\frac{1}{2}$ litra;
- 7) policja powinna po 3-krotnym aresztowaniu w ciągu miesiąca osoby, będącej w stanie nietrzeźwym, zgłaszać jej personalja do komisji opieki nad alkoholikami;
- 8) godzina prawnie określająca czas otwarcia lokali z wyszynkiem powinna się kończyć daleko wcześniej, niż godzina, określająca czas otwarcia lokali bez wyszynku;
- 9) władza administracyjna władna jest zarządzić pobranie krwi od kierujących pojazdami mechanicznymi (samochód, kolej, samolot), jako też od osoby uszkodzonej w razie katastrofy;
- 10) zakazać reklamy napojów alkoholowych, jako rzekomo zdrowotnych i leczniczych, reklamy, posługującej się imionami świętych lub nazwami zakonów, tudzież propagandy pijaństwa w filmach, audycjach radiowych, w przedstawieniach scenicznych, w literaturze i sztuce;
- 11) ważniejsze artykuły ustawy przeciwalkoholowej winny być wywieszane w lokalach, w których sprzedaje się napoje alkoholowe, w urzędach, szkołach całego Państwa, w domach ludowych, świetlicach i t. p.

*

Obecny XIII „Tydzień Propagandy Trzeźwości“ odbywa się pod hasłem, „Trzeźwość obywateli podstawą obronności państwa“. Protektorat nad „Tygodniem“ objęli: najwyższy hierarcha Kościoła Katolickiego w Polsce, Jego Eminencja Ks. Kardynał Hlond i najwyższy dowódca sił zbrojnych marszałek Śmigły Rydz.

Jest to niezbitym dowodem, że Kościół i Państwo przywiązują wielką wagę do zwycięstwa ruchu trzeźwościowego w Polsce. Jak wielki przeto błąd popełniają ci, którzy ośmielają się głosić, że abstynenci szkodzą państwu. Mogą tak twierdzić jedynie ci, którzy nie zdają sobie sprawy, że przecież chodzi tu o zdrowego, pożytecznego dla państwa obywatela.

Nie ulega wątpliwości, że alkohol jest przyczyną utraty przez obywatela siły tak moralnej, jak i umysłowej, oraz fizycznej; alkoholik staje się człowiekiem nieszczęśliwym.

Ileż to sum pochłania opieka społeczna i prywatna nad tymi, którzy są nieszczęściem dla państwa. Oni to bowiem zapełniają przytułki dla ubogich, więzienia, domy poprawcze, zakłady dla umysłowo chorych, szpitale i t. p.

Dla państwa nie powinno być rzeczą obojętną, skąd idą pieniądze do skarbu państwowego. Monopol zaś spirytusowy nie może nam za-

mącić jasności sądu, bo nie dochody z niego, lecz tężyzna obywateli decyduje o potędze państwa.

Skoro jest rzeczą dowiedzioną, że nadużywanie alkoholu prowadzi do katastrof, do zbrodni, do nieszczęść, do łamania przykazań Bożych, kościelnych i państwowych, to trzeba z nim walczyć. A więc, kto walczy, ten jest pożyteczny dla państwa i odwrotnie, kto darzy ruch trzeźwościowy obojętnością, nie może być nazwany pełnowartościowym obywatelem.

Abstynenci, pracując dla dobra Kościoła i Państwa, dokładnie zdają sobie sprawę, że mają całkowitą słuszność, zwalczając energicznie alkoholizm. Czują, że nie stoją na straconej pozycji, ale owszem, ufni w pomoc Bożą i korzystając z wielce pomyślnych okoliczności, jakie im samo życie społeczne i polityczne nasunęło, przechodzą do generalnego ataku.

Zaczęło się od trybuny sejmowej, a dalej atak ten podejmują nasze katolickie organizacje przeciwalkoholowe na wszystkich dostępnych dla nich polach, w sukurs przychodzą nam stowarzyszenia Akcji Katolickiej, odzew już dał się słyszeć w Warszawie i Wilnie.

Pójdzie teraz praca pozytywna w kierunku wzmocnienia wytwórczości płynnego owocu, w kierunku zakładania gospód bezalkoholowych, przychodni, poradni, świetlic dla alkoholików. Nie taimy, że frontowy atak przypuścimy do tych, którzy, działając na wyrazną szkodę państwa, bo obniżają jego siły żywotne i obronność, rozpijają naszą młodzież.

W chwili niezwykłego natężenia alkoholizmu, kobiety amerykańskie w ten sposób przemawiały do sprzedających napoje wysokowe: „Zwracamy się do Was z błaganiem, abyście się wyrzekli swego zawodu, który ludzkość do zguby prowadzi, aby nasi mężowie i bracia, a w szczególności nasi synowie nie byli narażeni na najstraszniejsze pokusy i byśmy nie patrzyły na nich, kroczących po drogach, co do występku prowadzą, na duszy i ciała ztratę. Odzywamy się do Waszego sumienia. Czynimy to w imię zrujnowanego życia rodzinnego, zawiedzionych nadziei i złamanych serc. Na cześć naszego państwa, na dobre imię naszego miasta i na rany Boga żywego, który Was i nas sędzić będzie, na zbawienie nakoniec Waszej duszy, która kiedyś usprawiedliwiona lub potępiona zostanie, zaklinamy Was i błagamy, porzućcie ten grzech straszliwy i stańcie w szeregach tych, którzy usiłują siebie samych i swoich bliźnich podnosić i uszlachetniać“.

Nadszedł czas, że i nasze kobiety Polki, gromkim okrzykiem wzywają Rząd, by wydał mądrą ustawę przeciwalkoholową, która by wyrwała kraj ze szponów alkoholizmu. Katolickie Stowarzyszenie Kobiet w Warszawie posiada już blisko 10 tysięcy podpisów w tej sprawie.

W walce o zdrowie fizyczne i moralne obywateli wszyscy ludzie dobrej woli muszą sobie podać bratnie dłonie i ruszyć w bój o trzeźwą Polskę mocarstwową. Zwycięstwo, da Bóg, będzie nasze i przyszłość nasza!

*Ks. Dr Władysław Padacz,
poseł na Sejm.*

„I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE...”

Ale człowiek o tem zapomniał i całym sercem, rozumem i wolą zaczął się modlić o chleb, ale o chleb, rozumie się, tylko dla siebie. A modląc się tak żarliwie, przeoczył, czy też zapomniał, że Chrystus powiedział: „Chleba naszego”—wyraźnie naszego. Nie mojego, ale naszego, dla wszystkich ludzi jednakowo potrzebnego i pospólnego i tak tylko tę prośbę należy rozumieć i tak się modlić o chleb powszedni, i dla ludzi *wszystkich* jednakowo potrzebny. A pod tem słowem chleb, należy i trzeba rozumieć wszystkie nasze ludzkie potrzeby, wszystko, co nam do życia niezbędne i o co jako chrześcijanie prosimy, Ojca naszego, który jest w niebie i który wie, że tego potrzebujemy. Jako Ojciec miłujący daje On nam to wszystko, ale człowiek w przekornej swojej woli przeinacza myśl Bożą i prośbę o chleb tylko dla siebie rozumie.

Zboże, dar Boży ku żywieniu ludziom dane, przemienia na truciznę alkoholową i za to pobiera od ludzi złoto; tak więc została zniekształcona i przeinaczona myśl Boża. Rzecz zbożną przemieniono na truciznę i sprzedano ją za to, co jest zapłatą zła. Złoto.

A skutki?

Straszne.

Zatrute ogromne masy ludzkie, a u nas w Polsce szczególnie. Szczególnie dlatego, że tu, w Polsce, każdy prywatny właściciel włości miał prawo zatrwać alkoholową trucizną swoich t. zw. poddanych, jak tylko chciał i mógł i jak mu się podobało. Chleb, zboże, przerabiał na truciznę i brał za to od propinatora *Złote*, a ten znowu brał miedziaki od tych, których truł, od włościan, chłopów.

A przecież ci nabożni właściciele gorzelń i karczem z pewnością codzień modlili się i prosili o chleb powszedni dla siebie; mówili też i o pokusie, ale sensu tej prośby nie chcieli, czy też nie mogli zrozumieć. A tymczasem Chrystus, dał tę modlitwę wszystkim chrześcijanom wszystkich czasów i narodów, jako zobowiązanie i prawo życia, którego zaniedbać, ani zapomnieć, ani zapominać nie można. Nie można dla swojego chleba pozbawiać chleba drugiego człowieka, nie można—ponieważ ten chleb jest nasz, nie mój i nie twój, ale nasz pospólny i powszechny i tak to trzeba rozumieć i nie tylko rozumieć, ale i w życiu wykonywać, abyśmy nie byli obłudnikami i gorszycielami, i aby nasz chrześcijaństwo nie stał się wygodną, pustą formą, w którą przystrajamy prośbę o nasze własne potrzeby, o chleb dla nas wyłącznie. Pragniemy go otrzymać chociażby z ciężką krzywdą wszystkich ludzi, chociażby miał być wydarty w przemyślny sposób innym ludziom.

Długo, bardzo długo, bo wieki całe stosowano w życiu tę prośbę o chleb dla siebie. Zatrutowano i zatruto krew pokoleń. Obarczono pijaństwem lud; obecnie nałóg ten stał się najstraszniejszą jego chorobą, która prześladowuje go i w kraju, i zagranicą. Lud zmuszony biedą, nędzą, opuszcza ojczyznę i idzie w świat za chlebem, a wraz z nim kroczy i nałóg pijaństwa, ta jego choroba. W 1939 r. Instytut Gospodarstwa społecznego wydał pamiętnik Emigrantów. Są to dwa duże tomy, o 700 i 500 stronicach dużego formatu. 1-szy tom, to pamiętniki wychodźców tułaczy z Francji, 2-gi — to pamiętniki tułaczy z krajów

Południowej Ameryki, z Argentyny i Brazyli i t. d. Bardzo to są ciekawe i niezmiernie smutne księgi. Wśród pamiętników z Francji wyróżnia się wybitnie pamiętnik 30-ty. Napisał go człowiek niezmiernie spostrzegawczy, robotnik rolny z Kieleckiego, który rozumem społecznika, uczuciem Polaka patrioty, a okiem obserwatora patrzył i opisał tę nagminną chorobę polskiego tułacza na ziemi francuskiej, upijającego się nałogowo i hańbiącego imię Polski. Nic dziwnego, że Francuzi każdego pijanego nazywają „Upił się jak cała Polska“. Ponieważ Francuzi pijąc słabe wino, rzadko się upijają, a Polacy i we Francji piją wódkę, więc upijają się i stają się pośmiewiskiem Francuzów. Tak nam to opisał pamiętnikarz Nr. 30 w księdze o emigracji polskiej we Francji. Doprawdy, nie przynosi to nam zaszczytu. W pamiętnikach z Ameryki Południowej bardzo często spotykamy opisy pijaństwa, jakże nasza biedna ciemna ziemska brać na tej półkuli uprawia.

Z tego widzimy, że wypędzane z kraju przez biedę masy niosą z sobą nie tylko biedę i ciemnotę, ale i nieszczęsne nałogi: pijaństwa i niezaradności. A więc fatalny nałóg pijaństwa wylał się po brzegi; poszedł z polskim ludem w jego pielgrzymstwo smutne, w jego poszukiwanie na obczyźnie pracy i chleba. Pijaństwo stało się wiernym towarzyszem tułactwa. Więcej o tem pisać nie będę. Może kto inny zada sobie trud i przeczyta te smutne — tęsknotą i bólem przesiąknięte wielkie księgi o alkoholizmie na naszej emigracji i napisze o nich *). Ja wracam do pacierza-prośby o nasz chleb powszedni i o „niewodzenie“ ludzi, braci-bliźnich na pokuszenie, do grzechu straszego, do zbrodni, którą Jezus Chrystus, pełen miłosierdzia i litości, potępił i osądził w słowach: i „lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi i zatopiono go w głębokości morskiej“. Mateusz rozdz. 18 w. 6.

Niechże nie zasłużą na tę karę chrześcijanie doby obecnej i niech nikt nie gorszy, nie kusi, nie psuje i nie znieprawia brata-bliźniego.

29.I. 1939 r.

Tomasz Nocznicki.

DELEGACJA POLSKA NA KONGRES W HELSINKACH.

W końcu lipca i w pierwszych dniach sierpnia ma się odbyć XXII Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy w Finlandji w Helsinkach.

Czas już najwyższy poważnie się zastanowić nad zorganizowaniem licznej delegacji polskiej. Należy opracować najodpowiedniejsze i najtańsze warunki zbiorowej wycieczki, mającej skupić jaknajwiększą ilość osób, pragnących wziąć udział w Kongresie. Delegatami na Kongres mogą być tylko osoby doskonale zaznajomione z najgłówniejszymi zasadami ruchu przeciwalkoholowego, a więc takie, co do których będziemy pewni, że w obcym kraju nie wezmą do ust ani kropli alkoholu. Delegacja nasza będzie reprezentować na zewnątrz polski ruch przeciwalkoholowy i w całej pełni musi się poczuwać do obowiązków, jakie taka reprezentacja nakłada.

*) Poniżej na str. 26, p. Hulka-Laskowski porusza to samo zagadnienie.

Wyprawienie polskiej sztafety kolarskiej wymaga bardzo dokładnego, sumiennego opracowania, sprawnej, przewidującej organizacji, zapewniającej na przestrzeni z górą tysiąca kilometrów, wszelaką pomoc i opiekę natury technicznej i zdrowotnej.

Organizacje i poszczególne jednostki pragnące wziąć udział, czy to w wycieczce na Kongres, czy w sztafecie, proszone są o zgłaszanie się do Tow. „Trzeźwość“, Oboźna 4 m. 28, w celu wspólnego omówienia i zorganizowania wyjazdu.

Aleksander Iżycki.

Z DZIENNICZKA NIEDOŚWIADCZONEGO NAUCZYCIELA.

W dn. 5.II. r. b. byłem na Akademji urządzonej przez Tow. „Trzeźwość“.

Zostałem głęboko ujęty całością tego cywilizacyjnego przedsięwzięcia.

Jednocześnie przeżyłem wstrząs moralny.

Jak to? Będąc od lat młodocianym zdecydowanym przeciwnikiem narkotyzmu w życiu narodowym i osobistym, dotąd prawdziwie nie nie zrobiłem, by (po za obrębem swego osobistego i rodzinnego życia) ten ruch czynnie poprzeć?

Stało się to oczywiście w braku „czasu“; z racji nawału pracy „zawodowej“ i t. d.

Po przeżyciach na Akademji 5.II. b. r. postanowiłem wyjść ze stanu tej bierności społecznej i czynnie zacząć pracę, nadrabiając ten grzech bierności całego mego życia.

Rozpocząłem od rzeczy drobnych, traktując moje zamierzenia jako wypoczynek w pracy i świąteczny.

Dzisiaj ubiega równo miesiąc od tej przełomowej dla mnie Akademji.

Próbuję więc niejako ułożyć sprawozdanie z mego miesięcznego wysiłku. Da to mi osobiście możność ustalić jaki taki planik tej mojej pracy społecznej na dalsze miesiące b. r.

Więc tak:

1. Urządziłem odczyt na temat:

„Alkoholizm w życiu i dziejach narodu polskiego“ (12.II. 39 r.). na walnem zgromadzeniu rodziców w II-giem Miejskiem Gimnazjum Mechanicznym i Stolarskiem (obecnych było 200 osób).

Odczyt doszedł do skutku dzięki nader życzliwemu stanowisku Dyr. Gimn. inż. A. Boglewskiego, oraz organizacyjnej pomocy inspektora Gimn. p. St. Vogtmana.

W wyniku odczytu: rodzicielskie zgromadzenie uchwaliło powołać do pracy sekcję „Trzeźwość“ w gimnazjum.

2. Zachęcony tem powodzeniem urządziłem w pięciu klasach na lekcjach geografji gospodarczej pogadanki z młodzieżą o alkoholizmie i paleniu tytoniu w ujęciu geograficznym, historycznym i społecznym (dla 150 uczniów) w okresie 12.II — 20.II. r. b.

3. Przy szkolnem Kole rodzicielskiem (Nr. 232) tegoż Gimnazjum powstał (18.II. r. b.) oficjalnie tymczasowy komitet „Trzeźwość“, który polecił mi wygłoszenie 3-ch odczytów o narkomanji, dla całej szkoły (w 3-ch grupach po 120 uczniów).

W wyniku tej akcji propagandowej ma być powołana w Gimnazjum organizacja młodzieżowa „Trzeźwość“.

Ta grupa młodzieżowa łącznie z Kołem rodzicielskiem (po zakończeniu cyklu odczytowego), przystąpi do zorganizowania uroczystości, poświęconej zwalczaniu narkomanji.

Przedsięwzięcie to zostanie wykonane w oparciu o pomoc organizacyjną Tow. „Trzeźwość“, oraz Mokotowskiego Ośrodka Zdrowia i z zaproszeniem *wszystkich szkolnych Kół rodzicielskich tej dzielnicy*.

4. Niemniej życzliwy oddźwięk sprawa walki z alkoholizmem znalazła w Naukowym Instytucie Rzemieślniczym im. Marszałka Józefa Piłsudskiego (w miejscu).

Dzięki czynnemu poparciu tej idei przez Dyr. St. F. Cretti, zostały przez Instytut zorganizowane 2 moje odczyty na temat:

„Narkotyzm w życiu człowieka i Narodu Polskiego“ dla czynnych rzemieślników, a słuchaczy uzupełniających kursów zawodowych tego Instytutu.

Odczyty odbyły się 19.II i 26.II w obecności Dyrektora i niektórych członków władz Instytutu.

Po zakończeniu tego cyklu, Dyr. S. F. Cretti, przemawiając do słuchaczy, zaznaczył, że zagadnienia narkomanji i unowocześnienia osobistego oraz rodzinnego życia rzemieślnika polskiego zostaną wprowadzone jako część programu ogólnie rozwojowego dla kursantów Instytutu.

Za ten mały wysiłek z mej strony spotkała mnie nagroda wzruszająca, a prawdziwie niespodziewana.

Otóż jeden ze starych i zasłużonych kierowników pracy społeczno-cywilizacyjnej wśród warszawskich cechów (obecny na moim wykładzie) zaproponował mi, bym odczyt powtórzył za opłatą honorarjum dla członków pewnego cechu, oraz ich rodzin w siedzibie cechowej.

Oczywiście honorarjum uchyliłem, a do spełnienia tego wyjątkowego życzenia przystąpiłem z całym zapałem.

5. Obecnie pracuję nad zorganizowaniem odczytów w środowisku robotniczem i marzę o nawiązaniu kontaktu z chłopską młodzieżą akademicką.

*

*

*

Tak mi upłynął pierwszy miesiąc mojej społecznej, czynnej pracy, w walce z narkomanją.

Nawet to dzisiejsze sprawozdanie rozumiem, jako zajęcie moich skłonności dziennikarskich w służbie tej idei, bo jak dotąd przez 25 lat pracy pisarskiej interesowałem się sprawami najróżnorodniejszymi, lecz na tematy „o narkomanji“ dziwnie nie miałem „czasu“.

Chcę obecnie ten błąd całego mego życia choć zlekka odrobić.

*

*

*

Obecny krótki mój szkic na temat, jak spędziłem odpoczynkowo moje wczasy niedzielne w ciągu tylko 1 miesiąca, oczywiście nie ma na celu wykazania moich „zasług“ neofity.

Przeciwnie, nie warto byłoby nad tem się rozwodzić i zaprzętać czas sobie, oraz innym.

Nic nie robiłem społecznie dla walki z narkomanją przez całe życie; wykonywałem jednak inną pracę społeczną.

Tamta praca wsiąkła w obieg gromadnego życia i to tak gruntownie, że sam nawet nie umiałbym jej odtworzyć i wywołać z całkowitego zapomnienia.

Również będzie to samo i z moim obecnym miesięcznym wyczynem w dziedzinie narkomanji i jej społecznych skutków.

Dzisiaj mnie zastanawia zupełnie inna płaszczyzna, a mianowicie:

„Siła rezonansów psychiczno-społecznych w życiu zbiorowem“.

Uczucie, myśl, czyn, gdy trafią na zbiorowość nieprzygotowaną, nie wywołują rezonansu, lecz przeciwnie: protest, bunt, zniszczenie.

Powyższy drobny eksperyment otworzył przedemną wcale interesujący świat zjawisk ogólnych.

Otóż:

1. Mój wysiłek powstał, jako refleks *u jednego* z pośród około 900 obecnych na Akademji w dn. 5.II. 39 r.

A takich refleksów w życiu mogło się narodzić w tej sali wiele, b. wiele.

Tylko, że one już wsiąkły w sam obieg życia bez utrwalenia.

2. Gdy ja, nawet jako neofita, spróbowałem pewne zagadnienia narkofobji poruszyć w różnych płaszczyznach młodego i starszego życia, spotkałem szeroki i głęboki rezonans w sferze

uczucia,

myśli

i zorganizowanego czynu tam, gdzie *jak gdyby* nic nie było.

Mało tego, młodzież rzemieślnicza w dyskusji wysunęła myśl taką:

każdy obywatel, „bojkotując“ wytwory monopolu spirytusowego (w części pijackiej) i tytoniowego, naraża państwo na 15 zł. strat skarbowych rocznie (oczywiście pozornie tylko). Winię więc on je odrobić co roku w postaci kilku dni pracy społecznej na rzecz Państwa i gminy.

3. Jeżeli, pomimo zadawnionego pijackiego obyczaju u nas, zagadnienia walki z narkomanją wywołują jednocześnie oddźwięk społeczny (jak to ujawnił mój miesięczny lilipuci eksperyment), to dla czego Państwo nie zejdzie z drogi pijackiego i zatabaczonego obyczaju w dziedziny planowej, celowej i terminowej walki z narkomanją?

Próbowałem z moją młodzieżą rzemieślniczą obliczyć, co Państwo straciłoby w budżecie, gdyby Polacy stali się w życiu trzeźwi?

Okazało się z rachunku, że z samej tylko *zwiększonej wydajności* trzeźwej pracy Państwu przybyło by $\frac{1}{12}$ całego rocznego wysiłku pracy w Narodzie, i to zupełnie gratis.

Ponadto dojsć musiałyby oszczędności na:

opiece społecznej,

pomocy zdrowotnej,
kosztach więziennictwa i t. d.

Czyli, że: trzeźwy Naród Polski nie będzie miał żadnych strat budżetowych z racji utraty podatku z wyszynku; wręcz przeciwnie, powstały by zupełnie nowe wiele, wielo-miljonowe źródła dla cywilizacyjnego i bojowego dozbrojenia Polski trzeźwej, a więc niezwykłonej.

Kryje się więc w zagadnieniu państwowego dzisiejszego „zwalczania“ narkomanji jakaś nieprawda, poczynając od kołyski młodego Polaka, poprzez szkołę i warsztat pracy, aż po trybunę sejmową, kazalnicę kościelną i katedrę naukową.

Mam wrażenie, że zagadnienie walki z narkomanją należało by umieścić jako jedno z głównych zagadnień w naszej narodowej *hierarchji celów*, ponieważ bez tego uzupełnienia nasz wysiłek narodowo-obronny może być mocno podważony.

Najnowsze groźne spostrzeżenia na ten temat zostały już uchwycone dla naradzającej się nowej obyczajowości w C. O. P. (patrz Sztafetę Melchjora Wańkowicza).

Niemniej zatrwajające objawy rozkładu i zdziczenia zarejestrowane są dla całych powiatów w wydawnictwach Instytutu Kultury Wsi. 19. 5.III. 39.

Mieczysław Ptaszycki.

„GORZAŁKA“ ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

Tak się zdarzyło, że czytałem niemal równocześnie „Młode pokolenie chłopów“ Józefa Chałasińskiego (Państwowy Instytut Kultury Wsi, Warszawa 1938, tomów 4), „Pamiętniki emigrantów“ (Instytut Gospodarstwa Społecznego, Warszawa 1939, tomy 2) i „Gorzałkę“ Dygasińskiego. Przy rozczytywaniu się w „Młodym pokoleniu chłopów“, musiałem mimowoli wspominać bezustannie uczonego niemieckiego, Alfreda Vierkandta, który w dziele swoim o ludach pierwotnych i ludach kulturalnych (Naturvölker und Kulturvölker, Lipsk 1896) wprowadza płodne pojęcie energii społecznej, dzieląc ją na energję organizującą i „igrającą“. Energia igrająca ludów pierwotnych wytwarza czasem istne arcydzieła swoistej sztuki, wymagające i wielkiej zręczności i niesłychanej cierpliwości.

To jest przesłanka, która w sposób już ustalony wiąże się z pracą oświatową społeczeństw europejskich. Oświecanym daje się maximum dostępnę dla nich kultury z dziedziny wiedzy, sztuki i literatury, w oczekiwaniu, że ta kultura, niby szczepionka, wywoła ferment w organizacji psychicznej oświecanego i że w gruncie rzeczy wynikiem ostatecznym tego procesu fermentacyjnego, będą pewne wartości cywilizacyjne, to znaczy, że kultura osobnicza i niejako prywatna przemieni się w wartości społeczne, pomnoży w określony sposób siły danego ogółu, powiększy sumę wartości realnych.

Niestety, ten rachunek częstokroć zawodzi. W pamiętnikach bezrobotnych, chłopów, a także emigrantów, to jest ludzi, którzy przeszli przez twardą szkołę, życia, znajdujemy wiele poczucia odpowiedzialności za siebie i za ogół, a ich życie świadczy, że potrafili wydobyc z siebie dużo wartości kulturalnych i przerobić je na wartości cywilizacyjne. Natomiast w przedstawicielach młodego pokolenia wiejskiego, do którego oświata przychodzi w postaci kredytu, zabezpieczonego jedynie zaufaniem wierzycieli - oświatowców, panoszy się taka deklamatorska frazeologia, taka patetyka bierności, że wprost budzi się wątpliwość, czy teoria niemiecka (Vierkantta, Spenglera i innych) o przemianie kultury na wartości cywilizacyjne, społeczne i gospodarcze, jest trafna. W Niemczech, klasycznym kraju oświaty, gdzie „balkalarze“ wygrywają wojny, ustala się przekonanie, że kultura, przyswajana w postaci oświaty, ma swoje ścisłe granice. *Kto ma* — w sensie biologicznym — *temu będzie dano*, kto nie ma — talentów wrodzonych — temu nauczanie odbiera dużo energii życiowej daremnie.

Z jednej strony zapewne już w elementach naszej oświaty, tkwi niejedno, co nie wzbudza energii, ale ją raczej czyni bierną (przerost formy wobec treści np. w literaturze współczesnej), z drugiej strony, wciąż jeszcze pokutuje w naszych głowach ideał jakiejś wzniosłej bezinteresowności, rezygnacji i pogarda dla „dorobkiewiczostwa“, podczas, gdy wszystkie siły należy wyteńczyć, aby powstało śród nas jak najwięcej dorobkiewiczów, zamożnych, mądrych, światłych. Chodzi o szczepienie niezadowolenia twórczego, czyli o takie stany psychiczne, które prowadzą do realnych przemian życia, pomnażają jego siły i wartości. Nie wiem, czy istnieje na wsi choć jedno takie stowarzyszenie, które uczyłoby młodych, że od nich zależy przebudowa Polski teraz i natychmiast. Porządny dom mieszkalny, dobre warunki istnienia, radość życia, kultura, to są rzeczy dla każdego dostępne. Każdy z nas może i powinien tworzyć więcej, niż potrzebuje do spożycia dla siebie i rodziny. Kultura musi mu w tem pomagać, a nie rozgrzeszać go. Trudna rada, ale u nas istnieje taka patetyka rozgrzeszająca. Niejednemu się zdaje, że byle się ładnie powzruszał na tematy patriotyczne, to już może się o nic nie troszczyć.

Jednocześnie wszakże czytam „Gorzałkę“ Dygasińskiego i książka ta, działa na mnie w sposób wprost objawicielski. Przywykliśmy spotykać na każdym kroku preparaty alkoholowe w takich odmianach licznych i tak zachwalane, że już nawet nie zastanawiamy się nad prostym banalnym faktem, że chodzi tu o fatalną truciznę, tem fatalniejszą, że działającą bardzo wolno i wyniszczającą najcenniejsze dobro biologiczne: energję. Zadowolenie, które może dawać tylko poczucie spełnionego obowiązku, użyteczności dla ogółu, samowiedza niezależności gospodarczej i siła, która otwiera sobie Sezamy, pełne rozkoszy wiedzy i sztuki, osiąga bierność ludzka przy kieliszku. Wypił, zalał robaka, czy też tak zwaną pałę, pojaśniało w głowie, ulżyło, stłumiło zgryzoty — dobre. Czego jeszcze szukać i czego chcieć od życia, skoro wystarczy parę groszy, aby się napić wódki?

Na Śląsku widuje się dużo ludzi zwyrodniałych, skarłatych fizycznie, tępych umysłowo. Łażą sobie te dziwaczne potworki za bydłem, nie mają żadnych pretensji do życia i do nikogo, dostają jeść i wege-

tują. Gdy się zapytać świątłego człowieka, co to za okazy zwyrodnienia, usłyszy się w odpowiedzi dużo o propinacji, o przymusie picia wódki jeszcze w niedawnych czasach. Alkohol towarzyszył człowiekowi nieodmiennie: w zamroczeniu alkoholowem począł się nowe życie, zamroczeniem pijackiem uzupełniano chrzest człowieka, pito na weselu i nad grobem. Musiano pić, bo tego wymagała feudalna tradycja, bo właściciele gorzelni potrzebowali pieniędzy! Dmowski w pracy swej o upadku myśli konserwatywnej w Polsce, powiada, że „dochodziło nawet do tego, że księżom przeszkadzano (ze strony konserwatywnej magnaterji) nakłaniać lud z ambony do trzeźwości, ażeby uszczerbku nie doznała dająca dochody karczma“.

Może kiedyś zrozumiemy wreszcie, iż obecny stan wsi polskiej, to skutki alkoholizowania całych pokoleń. Energje i siły, które powinny były przeistoczyć się w wartości kulturalne, przepadały w walce z systematycznym zatrutowaniem organizmu biologicznego i społecznego, osłabiając siły, pozbawiając dusze inicjatywy i woli. Podczas gdy w Niemczech, w Belgji czy w Skandynawji kultura wyrastała bezpośrednio z mas ludowych, rozbudowując kraj we wszystkich kierunkach, stwarzając wspaniałe rolnictwo i hodowlę bydła, u nas istniała ona na wsi, jako zjawisko szczątkowe pozostałe po szlachcie, która ze swej strony zapożyzczała się niewyplacalnie u obcych i w obyczaj, i w strój, i w literaturę. Z wyjątkiem Śląska, gdzie lud polski był pozostawiony samemu sobie, nigdzie na ziemiach polskich lud nie wytworzył własnej chłopskiej kultury, a kultura jego nie wyszła w gruncie rzeczy poza sferę energii igrającej i naśladowczej.

Można śmiało powiedzieć, że gdziekolwiek rodzi się pewna samodzielność duchowa, warunek wszelkiej kultury społecznie twórczej, *tam na wstępie niejako, zaczyna się walka z alkoholizmem*. Rodzi się wola trzeźwości, powstaje pragnienie życia świadomego, mądrego, pełnego. Pragnienie trzeźwości jest pierwszym przejawem najracjonalniejszej walki z żywiołem, jest to walka z sobą i o siebie. Niestety, na walkę z alkoholizmem spoglądamy zazwyczaj z perspektywy abstrakcji. Takie, a takie dane statystyczne: tyle się wyprodukowało różnych wódek, likierów, win, i piwa, tyle się wypilo. Liczby nas nie wzruszają. Owszem, wiemy, że w stanie pijackiego omamienia ludzie dopuszczają się przestępstw i zbrodni, ale wiemy także, że prawo traktowało dotychczas stan zamroczenia alkoholowego, jako okoliczność łagodzącą. Poznajemy więc tylko jaskrawe przypadki skutków alkoholizmu, nie znamy całokształtu szkód biologicznych i gospodarczych, wyrządzanych każdemu pijackiemu społeczeństwu przez alkohol. Dyspozycje do chorób, wypadki zawinione przez zmniejszoną czujność po wytrzeźwieniu, upośledzone potomstwo pijaków, chore, rachityczne dzieci ze skłonnościami przestępczemi, to już sprawy dalszego planu w świadomości społecznej.

Czasem legitymuje się produkcję alkoholu względami gospodarczymi i rzuca się pytanie, co zrobiliby ludzie, którzy znajdują kawałek chleba w tej gałęzi przemysłu, gdyby nagle nastąpiła najpowszechniejsza trzeźwość. Zapewne, alkoholizm jest pozycją gospodarczą, tylko że krążenie pieniądza między wytwórcą, a spożywcą nie jest krążeniem zdrowej życiodajnej i życiotwórczej materji. Podobnie, jak niektóre leki,

mające niepożądane działanie uboczne, więcej powodują szkody, niż przynoszą ulgi, tak i alkoholizm, jako pozycja gospodarza ma swoje działanie uboczne, obciążające całe społeczeństwo skutkami nałogu pewnych grup. Nie chodzi tu jedynie o wybuchy szału pijackiego i białą gorączkę, ale o wielkie mnóstwo przejawów drobnych, niedostrzegalnych, może, nawet jeszcze nie dobrze znanych, w postaci stałego drażnienia energii i siły twórczej społeczeństw pijących. Abstrakcja statystyki nabiera żywszych rumieńców dopiero wówczas, gdy stajemy się przypadkowo świadkami jakiego dramatu czy tragedji, których autorem bezpośrednim jest alkohol.

I tu właśnie tkwi wielka zasługa Dygasińskiego, że uplastyczył abstrakcję, ukazując nam linje, przebiegające od producenta do spożywczy alkoholu. Są to linje klęski i spustoszenia tak wielkiego, że nie budzą w nas zgrozy jedynie chyba dzięki egoizmowi ludzkemu, który nie bałby się i dżumy, gdyby mu ona nie groziła bezpośrednio, jak nie grozi mu bezpośrednio cudzy alkoholizm. Dygasiński nie jest moralizatorem, nie prawi w swej książce morałów, ale poprostu pokazuje nam gorzelnię, karcznię, bogactwo jednostek i nędzę setek tysięcy. Produkcja alkoholu to przemysł taki sam, jak każdy inny: rozwija się, doskonali, racjonalizuje, szuka spożywców i nie troszczy się o ich los.

Mamy tu przede wszystkim dwóch braci Strumskich: Walerego i Ksawerego. Pierwszy jest właścicielem gorzelni odziedziczonej po ojcu, drugi jest ofiarą gorzeln. Pan Walery, to człowiek praktyczny, umiejący chodzić około swoich spraw i interesów. Wrósł w dziedzictwo, otrzymane po ojcu, wykształcił się fachowo i nie szczędził trudu, aby wzbogacić produkcję krajową wytworem swej gorzelni. Ożenił się ambitnie, kształcił syna na uniwersytecie, a do córki przyjął Francuskę i porastał w pierze, w szacunek i w cnoty obywatelskie. Jego brat Ksawery, troszkę lekkomyślny i dlatego bardzo łatwo wykiwany przez brata Walerego z dziedzictwa po ojcu, rozpija się i marnieje, w miarę, jak jego brat powiększa swój majątek.

I druga para braci: ksiądz Brzost, surowy asceta, bardzo wymagający dla siebie i dla innych, ma brata złodzieja i oszusta, wyjątkowo przebiegłego. Ten sprytny oszust orientuje się szybko, że takiego Ksawerego Strumskiego można dobrze wyzyskać w grze z jego bogatym bratem i oczywiście nie waha się zarobić na nieszczęściu biednego Ksawcia. Udaje, że opiekuje się nieszczęsnym nałogowcem, ale w gruncie rzeczy myśli tylko o sobie i własnych zyskach. W gorzelni Strumskiego pracuje chłop Maruda, duży talent gorzelniany, bo przy pomocy smaku i powonienia umie zorjentować się daleko lepiej, niż gorzelany przy pomocy swojej aparatury zawodowej. Ten Maruda, wdowiec, miał piękną młodą córkę, która padła ofiarą właśnie Ksawerego Strumskiego, nałogowego pijaka. Umarła opuszczona przez ojca i kochankę i pozostawiła po sobie dziecko, małego Tomka, który chowa się przy dziadku. Maruda nosi w sercu krzywdę swego dziecka i nienawidzi krzywdziciela. Przestał pić, jest trzeźwy i zacięty w sobie. Ale pewnego razu przychodzi do niego Ksawcio, ojciec Tomka, wyszczuty psami swego brata, chce mu się pić i dostaje od Marudy wódki. Maruda pije z nim razem, nanowo przyzwyczajają się do picia i tu zaczyna się jego dramat osobisty.

Dygasiński nie zawahał się wobec trudności zadania i zakreślił plan szeroki, sięgający daleko poza gorzelnię i rodzinę Strumskich. Produkcja okowity rośnie w Królestwie z roku na rok, ale właśnie dzięki temu producenci nie mają już tych zysków, jakie mieli dawniej, gdy nie było tak wielkiego współzawodnictwa. Na widowni bardzo sprytny pan Koperkiewicz, z zawodu nauczyciel z powołania „macher“. Czapką i papką, jako mąż wdowy po obywatelu Grzybkowskim, montuje Towarzystwo spirytusowe, obiecując złote góry wytwórcom okowity, ale myśląc o tem jedynie, aby się porządnie obłowić na łatwości szlagonów. Okrada porządnie to zacne Towarzystwo, które zmontował dla siebie przedewszystkiem. Obok tego grasanta jest wielu innych różnego typu. Oszust Brzost kradnie i oszukuje, Ksawcio umiera śmiercią pijacką, Maruda doprowadzony do rozpaczyny niesprawiedliwością i losu i Strumskiego, podpala gorzelnię i wędruje do kryminału. To jest niejako naturalne tło działalności gorzelni.

Tymczasem rodzą się panu Waleremu Strumskiemu nowe trudności. Nie udało mu się dzieci: Syn August patrzy na zawód swego ojca bardzo krytycznie i nie szczeni rodzicowi przymówek. Nie chce mieć nic wspólnego z rozpajaniem ludu i dorabianiem się kosztem moralnej i fizycznej degradacji ludu, buntuje siostrę Marę, egzaltując ją i ją i siebie. Rodzice mają z temi „nieudanemi“ dziećmi dużo kłopotu, ale młody August Strumski zakochuje się w córce zubożałej hrabiny Melskiej i bunt przelewa się bez reszty w uczucie. Chce się żyć, chce się mieć pieniądze na życie i użycie. Sprytny Koperkiewicz swata jednego ze swoich pasierbów, Cezara Grzybkowskiego, z panną Marą Strumską i w sąsiedztwie jej rodzinnych Grodowic powstaje nowa gorzelnia. Maruda wraca z kryminału, Filip Brzost, brat księdza idzie do kryminału, gorzelany grodowicki, Chrapowicz, przypadkiem znajduje pieniądze, zakopane w lesie przez Brzosta i zakłada także gorzelnię. Okowita płynie szeroką strugą przez kraj, zmywając z dusz ludzkich obraz i podobieństwo Boga. Ta niewspółmierność, jaką tu na każdym kroku widzimy, między majątkiem jednych, a klęską setek tysięcy, jest wstrząsająca.

Nie ma w tej powieści jakiejś zamierzonej pedagogicznej przesady. Zachował tu Dygasiński wielki umiar, ale właśnie dlatego powieść ta, napisana przed czterdziestu paru laty, działa na nas tak potężnie. W bardzo cennych przypisach wydawcy ostatniego wydania „Gorzałki“ (Pisma tom 21), czytamy m. in.: „W wieku XIX potop okowity zalewał kraj w dalszym ciągu“ (Bo i w Polsce przedrozbiorowej pijaństwo uczyniło bodaj więcej spustoszeń, niż ktokolwiek przypuszcza i kto wie, czy przyszły badacz, lepiej od nas zorjentowany, nie będzie mógł zapisać na konto gorzałki części przyczyn naszego upadku politycznego w wieku XVIII). „Włościanie Królestwa Kongresowego oddani byli w monopol propinacyjny. Gorzelnia dworska miała zbyt w karczmie, wypuszczonej w arendę żydowi. Zdarzało się często, że włościanom płacono kwitkiem do karczmy... Stany Generalne naliczyły w r. 1820 w Galicji 5.500 gorzelń... W r. 1863/64 w Królestwie Polskim było czynnych 1942 gorzelnie, które wyprodukowały 3,957,000 wiader okowity. W roku 1894/95 zaś produkcja 296 gorzelni dała 7,300,000 wiader“. To znaczy, że na mieszkańca Królestwa przypadało

więcej niż wiadro. Oczywiście, że dużo okowity i spirytusu wywożono poza granice Królestwa, tem nie mniej kraj był dosłownie zalewany trucizną okowity. Wielki wychowawca, Dygasiński, wiedział, że gospodarka kraju, oparta na rozpajaniu ludu, musi wydać owoce najfatalniejsze i dlatego chciał pokazać wszystkim olbrzymi mechanizm, zatruwający nasze życie.

„Gorzalka“ jest powieścią realistyczną w najlepszym znaczeniu słowa. Oparta jest na materiale starannie zebrany i skontrolowany. W pozostałych po Dygasińskim papierach znaleziono bruljon przedmowy do pierwszego wydania książkowego „Gorzalki“. Przedmowa ta nie została zamieszczona w książce, a szkoda, bo jest bardzo ciekawa. Czytamy w niej m. in.: „W powieści społecznej „Gorzalka“ autor przedstawi obrazy pracy wyrabiania i rozpowszechniania wódki; bohaterowie powieści są to przemysłowcy starszej i nowszej daty, gorzelani, destylatorowie, kupcy, szynkarze, robotnicy (wogóle producenci i pośrednicy) z jednej strony, z drugiej — konsumenci. Czynność wyprodukowania i spożywania alkoholu nie ustaje ani w dzień, ani w nocy, uwydatnią to więc fabryczne obrazy i sceny w wiejskich szynkach, w handlach i knajpach miasta“.

To warto podkreślić, że wytwarzanie i spożywanie alkoholu nie ustaje ani na chwilę, czy to w dzień czy w nocy. Trucizna krąży w organizmie społecznym, jak krew w organizmie istoty żywej. Adamowi Mickiewiczowi bardzo podobało się ongi słowo hr. de Maistre'a, że „nie ma chwili, żeby kielich nie był podniesiony i ofiarowany na globie“, czyli, że każdej chwili, dniem i nocą, gdzieś na kuli ziemskiej, odprawiają się msze, przypominające ludziom konieczność ofiary i poświęcenia dla istnienia świata. To słowo Mickiewicza z wykładu z 23 stycznia 1844 r. przypomina się przy czytaniu stwierdzenia Dygasińskiego, że alkoholizacja człowieka nie ustaje na globie ziemskim ani na chwilę i dokonywa się i we dnie i w nocy.

„Gorzalka“ była ongi traktowana, jako powieść „tendencyjna“ i dlatego w pokoleniu estetyzującej „sztuki dla sztuki“ nie znalazła należytego zrozumienia. Dziś, gdy znowu chcemy i pragniemy być tendencyjni, chociaż nazywamy to inaczej, gdy znikła sztuka dla sztuki, etykieta tendencyjności już nas źle nie uprzedza. Rozczytując się w tej pięknej i mądrej książce, zwracamy uwagę na życie minionego pokolenia, przesycone oparami gorzalki i śledzimy życie bogatych i ubogich związanych z okowitą, bogactwem i spodleniem. „Gorzalka“, która ukazała się na pięć lat przed „Ludźmi bezdomnymi“, zawiera mnóstwo dowodów, że Stefan Żeromski inspirował się Dygasińskim, aż do subtelności wczuwania się w piękno hieratycznej łaciny kościelnej.

Ta książka jest wciąż jeszcze aktualna i jako obraz pewnej rzeczywistości polskiej i jako przykład literatury, która w niewoli brała na siebie wielką odpowiedzialność za przyszłość Polski, a choć była skazywana na milczenie, nie przestawała walczyć z każdą postacią oszołomienia, rozumiejąc, że Polsce potrzebny jest człowiek trzeźwy i mocny.

LECZNICZE WŁASNOŚCI MUZYKI.

(Willem van de Wall „Music in Institutions“ New York. Russel Sage Foundation 1938).

Dr Van de Wall w pracy swej pod wskazanym tytułem omówił zagadnienie o bardzo doniosłym znaczeniu, które u nas jest prawie zupełnie nieznanne ani w literaturze prawniczej, ani w medycznej, a mianowicie o zastosowaniu muzyki w szpitalach, zakładach dla umysłowo chorych, oraz w zakładach penitencjarnych, jako środka leczniczego i wychowawczego.

Powyzsza praca ma nie tylko charakter teoretyczny, lecz jest oparta na długoletniej praktyce autora w zakładach dla umysłowo chorych i psychopatów.

Autor, omawiając dokładnie psychiczny wpływ muzyki, w szerokim znaczeniu tego słowa, na jednostki, umieszczone w powyzszych zakładach, m. in. stwierdza, że działanie muzyki może być wyzyskane przede wszystkim, jako środek diagnostyczny, celem zapoznania się i rozpoznania osobowości umysłowo chorego. Muzyka zmniejsza uczucie oporu i sprzeciwiania się człowieka względem otoczenia, „łamię lód“, t. j. daje często pierwszą możność zbliżenia się do człowieka. Jednostka, która zupełnie się zamknęła w „sobie samej“, pod wpływem muzyki zaczyna opowiadać o sobie i swoich potrzebach i w ten sposób staje się możliwe nawiązanie z nią bliższego kontaktu. Muzyka zmniejsza i łagodzi nieprzyjemności i dolegliwości, związane z pobytem w zakładzie, przyspiesza społeczne wychowanie, przyczem jest wentylem, odświeżającym potrzeby duchowe, odwleka myśl od skupienia nad samym sobą, zwalcza egoistyczne i antyspołeczne usposobienie i obudza poczucie interesu społecznego.

Wysoce doniosłą rolę odgrywa muzyka względem umysłowo chorych przez podniesienie uczucia życiowego. Znaczenie psychjatryczne muzyki polega głównie na tem, że ona, jako zabieg leczniczy, działa bezpośrednio na uczucia chorego i w taki sposób doprowadza go do zrozumienia rzeczywistości. Niektórzy pacjenci mają chorobliwą wyobraźnię i swoiste obejście się i wskutek tego stawiają nauczycielowi muzyki dziwne żądania, które on powinien skutecznie w tej lub innej postaci, albowiem ludzie w stanie psychopatologicznym wymagają natychmiastowego „wentyla“ muzycznego, a przeto nie wolno czekać, nim taki ostry stan u jednostki przejdzie. Jednym nauczyciel-muzyk sam coś zagra, innym da różne sprzęty celem wykonywania rytmicznych uderzeń, innym udzieli instrumentu, na którym ci już umieją grać, innych wreszcie namówi do tańca lub do maszerowania.

Specjalną uwagę autor zwraca na psychopatów, których stan duchowy ulega przeważnie łatwiej podniecalności i drażliwości, zmienności uczuciowej, osłabieniu woli, z powodu braku wogóle równowagi funkcj psychicznych. Dla nich muzyka powinna być nie rozrywką lub odpoczynkiem, lecz środkiem utrzymania dyscypliny w postaci przymusowej pracy, wymagającej skoncentrowanego wysiłku.

W dalszym ciągu autor omawia stosowanie tańca i śpiewu, jako środka leczniczego i wychowawczego.

Taniec, jako forma muzykalno-rytmicznych ruchów ciała, ma wpływ na złagodzenie i ulżenie psychicznego napięcia. Autor przytacza kilka przykładów, kiedy kobiety psychicznie upośledzone z początku długo uchylały się od zaproszeń do tańca, a następnie, zgodziwszy się, tańczyły widocznie z wielką przyjemnością. Ponadto tańce dają możliwość do przyjemnego spotkania osób różnych płci, które są ciągle rozłączone, i młodzi ludzie w taki sposób, korzystając z nieszkodliwej i wesołej zabawy, przyzwyczajają się do przyzwoitego i przystojnego zachowania się. Oczywiście takie spotkanie się nie powinno mieć miejsca zaraz po minionym ataku podniecenia duchowego, lecz już po nastąpieniu zupełnego uspokojenia.

Zdaniem autora, reprodukcja pieśni lub ballady o historycznej treści może mieć bardzo doniosłe znaczenie wychowawczo-lecznicze, albowiem częstokroć wywołuje chęć pozbawienia się swojej osobowości, nabycia cudzych cech charakteru, z jednoczesnym dążeniem do poskromienia i pohamowania popędów swego temperamentu. Jednakowy wpływ ma uczestnictwo aktywne w przedstawieniach teatralnych.

Nauczyciel muzyki, śpiewu i tańców dla umysłowo chorych, lub psychicznie upośledzonych, powinien być nie tylko wykwalifikowanym fachowcem, lecz ponadto zdolnym wychowawcą, z głęboką znajomością psychologii normalnej i częściowo psychopatologii.

Stanisław Czerwiński.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

(Janina Surynowa - Wyczółkowska).

„Rzetelny pisarz nie naśladowuje rzeczywistości, lecz ją modeluje w zamierzonym kierunku, aby wydobyć z niej pogłębioną i zwłaszcza wzmocnioną prawdę życia.

„Zdobyć się na odwagę i wydrzeć szmat nieubłaganemu czasowi, to dopiero początek zadania. Właściwy cel, do którego się przystępuje z tkliwością i wiarą, polega na tem, aby ten ocalony fragment życia dźwignąć pewną dłoń — bez wahania i lęku i ukazać go wszystkim oczom w świetle szczerości. Oddać jego tętno, jego prawdy, odsłonić tajne źródło, jego natchnienia, siłę i namiętność — rdzeń każdej ważkiej chwili. Jeśli się ma za sobą zasługę i szczęście, samotny ten wysiłek może niekiedy osiągnąć taką szczerość i jasność wyrazu, że objawiony obraz żalu czy litości, grozy czy wesela, obudzi w sercach widzów uczucie owej nieodpartej wspólności — wspólności w tajnym źródle bytu, w znoju, weselu, w nadziei i w niepewności losu — uczucie, które wiąże ludzi ze sobą i jednoczy ludzkość z widzialnym światem“

Józef Conrad - Korzeniowski.

Podczas czytania i zastanawiania się nad książką Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej: „Świat zamknięty na klucz“¹⁾, wpadł mi do

¹⁾ Janina Surynowa - Wyczółkowska: „Świat zamknięty na klucz“. Warszawa, 1930. Rój. Str. 255.

ręki artykuł P. Marji Hausnerowej w „Kurjerze Literacko-Naukowym“ („I. K. C.“) z dnia 13.II b. r. i wywołał chęć polemiki z niektórymi zawartemi w nim twierdzeniami.

Korzystam z doskonałej sposobności przeanalizowania książki Wyczółkowskiej, gdyż dostarcza ona świetnego materiału, obrazującego na przykładzie literatury, iż autorka artykułu niektóre cechy współczesnej twórczości powieściowej tłumaczy, zdaniem moim, niesłusznie. Przypadek poprostu zdarzył, że posługuję się książką Wyczółkowskiej, w dyskusji z P. Hausnerową, ale jestem przekonana, że większość powieści obecnych nadawałaby się również do tego celu i to mi dodaje odwagi w wypowiedzeniu mego poglądu.

P. Hausnerowa zarzuca dzisiejszej twórczości środowiskowej, dzisiejszym nawskroś realistycznym powieściom, że „wieje z nich duszny pesymizm nastawienia materjalistycznego“, że postawa bohaterów powieściowych „wobec otaczającej rzeczywistości jest najczęściej niezdecydowana, bierna lub też nierówna, neurasteniczna. Ideologia? Poczemu pytać o ideologję? To graniczyć może z patosem!“... a „powieść nowoczesna zaczęła, jak wiadomo, nowy okres od *przekreślenia patosu*. Poczęto się obawiać i unikać — zaiste — niby grzechu śmiertelnego, nawet cienia patosu“. Czytelnik zaś ma prawo żądać od powieści „rzeczy nadzwyczajnych“, „wyświetlenia sensu życia“.

Mimowoli nasuwa się wątplenie - pytanie: czy owa „nadzwyczajność“ nie wkraczałaby już wówczas w sferę niemożliwości!?

Mamy więc zarzuty natury niezmiernie poważnej: „materjalizm“, „brak idejowości“, karygodne wyrzeczenie się „patosu“. Tu muszę wyznać ze wstydem, że nie bardzo rozumiem, o jakiego rodzaju „patos“ chodzi autorce? Znamy wielkie nieśmiertelne idee, ale one są właśnie przedziwne proste, wolne od patosu.

Skonfrontujmy tak ostry sąd ze świeżo wydaną książką Wyczółkowskiej ze środowiska więziennego, a więc środowiska społecznie najbardziej upadłego, bezidejowego, wynikającego z owego nadmiernego rozrostu najbardziej pierwotnych instynktów. A obok życia więziennego mamy obrazy z życia p.p. inżynierostwa, doktorostwa, mecenasostwa. Szerokie pole do porównań, analogji, przeciwieństw. Możliwe może się spodziewać, że tam, w górze, będzie idejowość, będzie głęboko odczuty sens życia, będzie to wszystko, co się przeciwstawia materjalizmowi czasów obecnych, ba, może nawet zobaczymy bodaj cień owego „patosu“, konkretyzujący i odsłaniający oblicze sfinkska!?

A więc więzienie kobiece: cztery kobiety, których tragedje wypełnią prawie całą książkę.

*

*

*

Józefa Pawelec — zabiła w chwili gniewu i rozpaczy męża pijaka.

Blima Kret — oskarżona o stręczycielstwo nieletnich.

Tekla Smara — oskarżona o zaduszenie dziecka.

Florka Wosakówna — oskarżona o kradzież 15.000 złotych z domu, w którym pracowała, jako krawcowa.

A dalej: adwokaci, doktorzy, ksiądz kapelan, pani komisarz, straż więzienna.

Oskarżone pochodzą z proletariatu miejskiego (wyjątek — Józefa Pawelec — gospodarska córka), a Wosakówna ze znanej rodziny złodziejskiej.

Wosakówna jest wyjątkowo ładną dziewczyną — krawcową, szyjącą po domach prywatnych. W domu p.p. inżynierostwa Kowalskich, u których ostatnio pracowała, dokonano kradzieży około 15.000 zł. Kluczyk od maszyny do szycia otwierał jednocześnie mahoniowe biurko p. inżyniera, w którym leżały owe pieniądze uciulane przez panią inżynierową Kowalską w ciągu długich lat wyrzeczeń się wszelakich przyjemności i rozrywek. Kluczyka tego miała dostarczyć Wosakówna kochankowi swemu, Janowi Kostarzowi, w wiadomym celu.

Zahaczamy odrazu o rolę alkoholu w życiu młodej dziewczyny. Powtarza się zawsze ta sama historia: z alkoholem łączy się wszystko, co miłe, rozkoszne, co daje zapomnienie o ciężkim dniu codziennym.

Florka w nocie więzienne „wyobrażała sobie, jak wyglądała ulica. Ale nie ta, która opasywała łamaną linią więzienie i stanowiła jakby jego część. Tylko ta inna, daleka, śródmiejska. Rozjarzona czerwonym zygzakiem reklamy, wesoła od pijackiego pomruku i ciepła od uśmiechu skręcającej poza progiem prostytutki.

„Florka przewróciła się na przycy i westchnęła.

„Jakże chciałaby teraz być stąd daleko. Tam, gdzie bywała prawie co dnia z Janem.

„Wspomnienia tamtego życia wypełniały teraz jej świadomość aż po same wręby. W mózgu pod białą skórą czoła, pod zwichrzoną gęstwą bardzo ciemnych włosów, kłębiło się przypomnienie tamtej zabawy, doświadczenia, muzyki.

„Wchodziła do knajpy po trzech schodkach, wprost z ulicy wyjaśkrawionej blaskami neonu. Już tam była. Wewnątrz. W lustrze odbijała się jej postać strojna, wzniesiona sztucznie na wysokich obcasach lakierek. I twarz, z której jest tak dumna: twarz radosna, spragniona życia, poczestunku, muzyki i tańca.

„Pierwszy pokój miał niebieskie tapety. Drugi czerwone. W drugim pokoju pod oknem czekał na nią Kostarz. Kostarz miał pieniądze. Fundował co najdroższe potrawy. Nawet wino i antrykot z indyka (za 4.50). Życie różowiło. Łudziło obietnicami zbytków, leżenia w puchach i bimbania na cały świat! Chcesz samochód? Masz samochód. Chcesz futro? Masz futro. Nie pracujesz. Jesz i pijesz, tańczysz i tylko raz na tydzień z tym Kostarzem, który ci się nie podoba, w łóżku leżysz.

„Ot życie. Ot... marzenie. Obiecanki djabelskie, które się nigdy nie sprawdziły“.

„Florka uśmiechnęła się w ciemnościach, przytulając głowę do wzniesionych kolan. Czowała już opiekę nad sobą (matki). Było jej lepiej — prawie dobrze.

„Tam daleko, na przedmieściu „tamci“ nie dadzą jej zginąć. Żyją zwartą gromadą złodziejską, gwarnie, wesoło, krzykliwie, pijacko, w rozjątrzeniu nad podziałem łupu, to znów w poszepecie, spisku, lub obronie. Tam, daleko... na przedmieściu... myślą o niej. Chociaż się

jej noga powinęła. Myślą. Myśli matka — „szopenfeldziarka“ i wujo — „kieszonkowiec“. Brat „lipkarz“¹⁾ i przyjaciółka brata — „potokarka“²⁾.

„Florka nie była już sama, chociaż gdzieś w dali turkotały obrycze ciężarowego wozu, a tu blisko, za ścianą stąpały ciężkie kroki.

„Jedna więcej godzina nocna minęła“.

A gdy była na wolności, to całe noce spędzała w eleganckiej restauracji „Imperial“, w której to miał miejsce ów tragiczny wypadek z kluczykiem.

Florka jest w ciąży — w więzieniu rodzi córeczkę.

To jest na razie wszystko, co może być traktowane, jako fotograficzna, bezidejowa kopja życia.

Przechodzimy do postaci księdza, kapelana więziennego, który nie prawi morałów, nie straszy piekłem, lecz w rozmowie z panią komisarz powiada, że wolałby widzieć w jej ustach trochę więcej... „litości“, i

„chciałbym, aby zamknięcie nie tylko karało za winy, ale i leczyło z grzechu. Bóg przecież nakazuje, aby ludzie nie śpieszyli w dalsze, grzeszne życie, tylko przystanęli... Przystanęli na miesiąc, rok, dwa lata, dziesięć lat więzienia. Przystanęli przy swym grzechu i wejrzeni w głąb jego ciemną. I zastanowili się...

„Bardzo to piękne, co ksiądz kapelan mówi, ale... nierealne. Więzienie jeszcze nikogo nie uszlachetniło, a przeciwnie...

„Więc z tego wynikałoby, że więzienia są rozsadnikami bakcyli? Czy tak?“

Na to pytanie pani komisarz nie odpowiedziała.

Ksiądz kapelan, wyszedłszy z kancelarji, udał się do cieplarni i spotkawszy jedną z kobiet tam pracujących, odezwał się:

„Bardzo prosiłbym panią o kilka prymuli do dekoracji kaplicy więziennej i ze dwie, trzy na okna szpitalne“. „Za mało one widzą błękitu przez okienka w celach wycięte i może dlatego nie umieją odrywać się myślą od ziemi. Od tego gnoju, który leży po kątach szklarni i zaśmieca życie“.

To również jest błahe żądanie i tylko bezduszne fotograficzne zdjęcie. Ale traf zdarzył, że ów wazonik z prymulką, skierowany prawdziwą, chrześcijańską dobrocią księdza trafił na okno właśnie tego szpitalnego pokoiku, w którym po porodzie leżała Florka Wosakówna. Prosi ona pielęgniarkę o otworzenie okna i

„Za chwilę białe ściany separatki szpitalnej wypełniły się świeżością powietrza, chwiejnem wachlowaniem firanek i promienistością słońca. Była już wiosna z całą pewnością. Na białej kracie przysiadł wróbel szary, krągły, tłusty i miły; ćwierkał, kręcił łebkiem. Rozglądał się. Nadśluchiwał. Skakał. Był tak blisko.

„Florka bała się wysunąć rękę z pod koca, aby nie spłoszyć ptaka. Oddychała cicho, miarowo i uśmiechała się. Na szerokim parapetcie ustawili doniczkę kwitnącej prymuli. Cieszyła się jej widokiem. Było dużo czasu na to patrzeć. Więc dziewczyna przyglądała się pu-

¹⁾ Lipkarz — kradzież przez okno.

²⁾ Potokarz — kradzież z wozów.

szystym liściom, nastroszonym piórkom, drobnym płatkom i chwytliwym śmiesznym pazurkom.

„Są jednak piękne rzeczy na świecie, piękne jakąś odmienną pięknnością — myślała i uśmiechała się do przyjaźni Józefy i do melodji, którą przynosił powiew wiatru.

„Ktoś gra na pianinie — mówiła pani Michałowska i swoim odezwaniem spłoszyła wróbla.

„To zapewne kapelan.

„Słuchały teraz obie.

„Różna bywa muzyka — myślała Florka, ale nie chciała o tem głośno mówić. Różna. Dobra i zła. Zła podnieca do tańca, do hulanki, do całowania. A dobra budzi w człowieku dobre uczucia. Ale jakie? Ale dla kogo? Florka jeszcze tego nie rozumiała. Była zmęczona i senna, ale czuła to już w sobie, kiedy przymykała oczy i wtulała głowę w poduszki.

„Czuła to już w sobie i tak oto zasypiała, ukołysana dźwiękami, które przelewały się, modliły o lepsze życie, o jasność uczuć i o podniesienie zbłąkanych dusz.

„To kapelan grał. Tak właśnie grał“.

Tu już mamy coś zgoła innego, coś, co nazwałabym właśnie wskazywaniem sensu życia przez mądrego księdza, rozumiejącego, jakim sprzymierzeńcem człowieka na drodze w poszukiwaniu własnego odrodzenia jest wrażliwość na piękno przyrody i sztuki, a rozwijanie tej wrażliwości i odczucia piękna prowadzi do Boga, wyzwała pierwiastki dodatnie, ułatwia im dojście do głosu. Czyż sensem życia nie jest czynienie dobra bliźniemu swemu przez nawracanie go ku Dobru? Wazonik prymulki i dźwięki muzyki poruszyły w uwięzionej uśpione drgnienia człowieczeństwa, a więc tęsknotę do lepszego życia. Czyż to mało? Czyż to jest duszne i ciasne? Czyż można mówić o bezidejowości utworu, dającego tego rodzaju fragmenty? Można na to pytanie odpowiedzieć zdawkowo, że przykład jednej powieści jest nie miarodajny w ocenie całokształtu twórczości powieściowej. Niewątpliwie takby było, gdyby „Świat zamknięty na klucz“, był jakimś unikatem. Janina Surynowa-Wyczółkowska w tej książce stanęła na równi z innymi pierwszorzędnymi, współczesnymi powieściopisarkami, które głęboko wrosły w dzień bieżący, ale to bynajmniej im ujmę nie przynosi.

P. Marja Hausnerowa powiada, że „biada pisarzowi, który zbyt silnie i głęboko pragnie wbić stopy w rzeczywistość blahą i przemijającą, a zapomina o „wczoraj“, z którego „dzisiaj“ wyrosło i o „jutrze“, na które współczesność pracuje i czeka“.

I znów coś, co nie bardzo rozumiem. Sądzę, że najlepszą pracą dla jutra jest właśnie takie umiłowanie terażniejszości, by nic nie można było złego przenieść w spadku przyszłości, tak mocne wzięcie się w potrzeby bieżącego dnia, by żadnych zaległości jutru nie przekazać, tak energiczny i przetwarzający czyn, wpływający z potrzeb chwili, by Jutro nie potrzebowało za nas pracować. Entuzjazm dla „wczoraj“ i dla „jutra“, jest często bardzo łatwą ucieczką przed twardymi obowiązkami, których pełno nam dostarcza „dzisiaj“ — powiedzmy to sobie otwarcie — z racji zaniedbań popełnianych przez tak nieraz wielbione „wczoraj“.

Sądzę więc, że raczej chwała pisarzowi, który wreszcie zrozumiał, iż bieżąca chwila bynajmniej nie jest ani „błahą“, ani „przemijającą“, boć ona będzie przecie dla dalszych pokoleń owym wczoraj, i że na niej właśnie należy ześrodkować cały dynamizm twórczy, by obok realizmu wskazać nieśmiertelne źródła człowieczeństwa, podnoszące życie na wyższy poziom. Niezapomniane słowa Franki (Gojawiczyńska): „gdyby jednak rozkwitnąć, pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu“, są krzykiem niemilkącym z dna współczesnej rzeczywistości, i krystalizują wymownie pęd ku idealizmowi obecnego, nad miarę udreżonego pokolenia, z powieści „środowiskowych“.

„Rozkwitnąć“ —oto słowo, z którym posyła ksiądz kwiaty do szpitalika więziennego — oto serdeczne marzenie jego serca, które idzie z dźwiękami muzyki do uwięzionych, tak bardzo serca ludzkiego potrzebujących. Jak tu wobec tego mówić o „materjaliźmie“ dzisiejszej powieści!

A że owa upragniona przemiana wewnętrzna, w dużej mierze uzależniona jest od warunków socjalnych, tak do głębi amoralnych i krzywdzących, to formą rzetelnej pomocy z zakresu moralnego, jest dostarczanie jaknajczęściej owej „dobrej muzyki“, owych „dobrych“ kwiatów, a uczucia, które one wzbudzą, będą niewątpliwie zdrowym fundamentem, na którym powstanie nowy ład społeczny. Połączenie w pracy tych dwóch momentów: odrodzenia moralnego i zbudowania nowych form życia ekonomicznego i społecznego jest programem ideologii dnia współczesnego, o czym powieść nasza tak pięknie mówi. Dziwne, że nie wszyscy umieją ten głos usłyszeć i nie wszyscy pragną go zrozumieć. Czyżbyśmy stale potrzebowali morału białą kredą na czarnej tablicy pisanego, tak dla „pamięci“ — czyżbyśmy zawsze tęsknili do recept gotowych, przez kogo innego (w danym wypadku: pisarza) przygotowanych, nieutrudających koniecznością szukania i wyboru? I tu być może właśnie leży przyczyna owego zarzutu „bezidejowości“ współczesnej powieści. Istotnie, — ona zniewala do rzeczy trudnej, do... myślenia — ona wzywa czytelnika, ona go zmusza często nawet wbrew jego woli do uświadomienia własnej roli w tworzącym się procesie życia, do niejako wznoszenia tej idejowości na podstawie swego osobistego doświadczenia. Nie krzyczy doniośle, że to, a to jest „ideałem“, a podkrađa się do wiązań życia społecznego, wykazując wszystko, co spróchniałe i zgniłe i naświetla nagle promieniem słonecznym jakiegoś czynu, pod wpływem którego odradza się życie w duszy ludzkiej, tak jak to uczyniły kwiaty i muzyka księdza z duszą Florki.

Powieść współczesna, mimo pozorów, nie jest łatwa, bo sam obszerny temat *życia* ma w sobie wielką zawilość spraw najpoważniejszych, tragicznych i zgnatwanych. Zarzucanie bezidejowości jest dowodem niezrozumienia jej i niedoceny jej pozycji, jaką zajęła w obecnej chwili w naszym życiu.

Powróćmy jeszcze na moment do Florki.

Przez Sąd Apelacyjny została ona uniewinniona. Odchodząc z więzienia, jako wolny człowiek, mówi przy pożegnaniu do pani komisarz: „Pani źle robi, wmawiając w nas, że jesteśmy źle. I podłe. I zepsute. I takie już bez prawa ratunku“. „Trzeba nam, pani komisarz, gadać od rana do nocy, że nie jesteśmy najgorsze, że jeszcze z nas coś

będzie, o ile zechcemy uchwycić się pracy i zrozumieć, co to jest poszanowanie prawa i sprawiedliwości“.

„I odeszła.

„Wlokła się wzdłuż czerwonego muru, spojonego mocno, cegła przy cegle. Wlokła się z dzieckiem na rękę i tobołkiem przerzuconym przez ramię. Była już na wolności. Na ulicy.

„Ale jeszcze sobie z tego nie zdawała sprawy. Odwracała oczy ku małym, półokrągłym, okratowanym oknom. Ku potrójnej linii drutów. Ku tamtemu życiu, które pozostawiała poza sobą“.

Czyż obraz odejścia Florki z więzienia nie wprowadza czytelnika w dziedzinę problematyki ideowej? Czyż nie wyciska on w naszych mózgach pytania: co się stanie z dziewczyną (ileż ich jest!), gdy powróci do środowiska złodziejskiego i pijackiego, z którego pochodzi i do którego uda się z konieczności po opiekę i przystań dla siebie i dziecka? Czy uczucia, które na chwilę się obudziły w sercu Florki pod wpływem kwiatów i muzyki — tam, w tej strasznej melinie złodziejskiej, eufemicznie zwanej „domem“, będą mogły rozkwitnąć? Stajemy wobec krzyżujących się pytań, słyszymy rozgwar wielu spraw, nabierających wagi w obliczu ogromu niebezpieczeństw, czujemy naszą własną tak upokarzającą bezsilność, której jednak będziemy musieli przeciwstawić zorganizowaną planowość czynu społecznego. A więc, zawdzięczając powieści, budzą się w nas najdodatniejsze, konstruktywne czynniki naszej psychiki i zaczynają coś tworzyć, coś realnego przeciwstawiać zakorzenionemu złu. Takby właśnie można w krótkości zdefiniować posłannictwo społeczne współczesnej powieści środowiskowej.

*

*

*

Czas przejść do omówienia innych postaci z tej bardzo cennej książki. Zatrzymamy się na Józefie Pawelec. Zapytana, za co siedzi, odpowiada szczerą prawdę, którą jakby chciała czempredziej ze siebie wyrzucić.

„Za co siedzę? Za „zbój“. Rozumiesz panienka? Pił. Chłwał. Piędzy do domu nie przynosił. I jeszcze moje zarobione przepijał. Polec. Drań. Cholera. Alem jeszcze zdzierzyła tę krzywdę. Jeszczem darowała. Jeszczem, mówię, zdzierzyła. Dziecko do krewnych oddałam i do kantoru poszłam za gosposię się najać. Mieli mi płacić 60 zł. miesięcznie. Mieli mi dać pokój służbowy i wychodne co niedziela. Myślę sobie — odetchnę. Myślę sobie — dziecko wychowam zdala od tego pijaka. Myślę sobie — czystą pościelą zaścielię sobie łóżko. Niebieską koldrą. Białem prześcieradłem. Dwoma poduszkami w poszewkach nansukowych. I pikową kapą w różowy deseń. I jak człowiek będę żyć. I do gęby będę miała co włożyć“.

„No i co dalej było? — dopytywała niecierpliwie Florka? — Więc jak się pani wystarała o pracę?

„Ano... to zostawiłam zadatek i świadectwa dawne, przedślubne. Dobre świadectwa po dwa i trzy lata. Zostawiłam i wracam po rzeczy. Drzwi z klucza otwieram, wchodzę i aże mnie z nóg ścięło. Ten bydlak leży schlany, zabłoconymi butami prosto na zaslanym czyściutko łóż-

ku. Na różowej kapie. Na poduszkach nansukowych, jeszcze ciepłych od żelazka. To mówię wam, zatkało mnie. Ani tu już tej pościeli nie zawieść do obowiązku nowego, bo spaprana i zaświniona, że nie daj Bóg. Tom wtedy wściekła się i rozum mnie odebrało. Przyskoczyłam i prask go w pysk cuchnący od wody. W mordę czerwoną. Na odlew. Czem tam miałam pod ręką, to waliłam. Z całutkich sił. Za moją krzywdę. Za dziecka głodowanie. Za nasze przekłete życie. Waliłam podleca. Cholerę. Łajdusa. Waliłam kluczami. Pogrzebaczem. Siekierą“.

„Odratowali go? — spytała cicho któraś?

„Gdzie tam.

„A dziecko?

„U ludzi... Bez matki... O Jezu mój... O Jezu... — rozpląkała się.

„Pocieszały ją teraz wszystkie trzy w zrozumieniu wzajemnem. Bliskie i serdeczne“.

„Józefa rękawem wycierała oczy. Już była spokojniejsza. Już była spokojna. Pierwszy raz w życiu spokojna o swego Olka małego, trzyletniego, (co piwne miał oczy i bledziuszką, zawsze zastrachaną gębusię). O dzieciaka jej przecież chodziło najwięcej. O synaczka. Aby miał co zjeść i zdrowo wyglądał, jak inne chłopczyśka w jego wieku. Aby śmiać się lubił i bawić mógł na słońku, w ogrodzie. Aby w czystej pościeli sypiał i dobrych ludzi miał wokół siebie, co matkę siedzącą w więzieniu mu zastąpili.

„W tych myślach Józefy o synu nie było już miejsca na myśl o sobie, o swojej biedzie, o swoim zamknięciu i dlatego może po raz pierwszy w życiu spokój wypełnił ją i przeniknął tak, że się uśmiechnęła“.

I oto ta sama gwałtowna kobieta, która w chwili szalu w tak okrutny sposób zamordowała męża - pijaka, ma w sobie nieprzebrany zapas dobroci czynnej, pomocnej, serdecznej, dla bliźniego, dla towarzyszy niedoli więziennej, Florci, mającej wkrótce zostać matką. Gdy Józefa, Blima i Tekla dowiedziały się, że ta nowa, którą umieszczono w ich celi jest w ciąży, to

„Coś w nich roztajało i pocieplało od przyływu dobrych uczuć dla dziewczyny, na którą zwał się zły los. Była taka ładna i młoda. Dla kobiet ładnych i młodych przecież zawsze łatwiej o pokusę, o przynęty, o grzech zatajony w gorącym poszeptcie męskiego głosu. Pochyliły się nad nią ze współczuciem wszystkie trzy: Józefa, Tekla i Blima“.

„Każde uczucie Józefy było równie silne, jak i ona sama. Miłość dla dziecka, nienawiść do męża, przyjaźń dla Florci, przejmowały ją aż do głębi, przenikały i pochłaniały całkowicie tak, że już w niej ani kącika nie było na myśl rozczulenia się nad sobą. I w tej chwili Józefa nijakiej litości nie miała nad swoim pochylonym grzbietem, nad swoimi aż po łokcie, urobionymi rękami, nad swoim spotniałym w znoju czołem. Nijakiej litości... tylko była w niej ta chęć gnania na pomoc przyjaciele“.

A gdy Florka opuszczała więzienie, Józefa żegnała ją słowami:

„Niech ci Bóg da wszystko jak najlepsze. I tobie i twojemu dziecku — mówiła, obcierając oczy wierzchem dłoni“.

Te wszystkie fotograficzne odbicia przemijających drgnień ser-

ca istot wykolejonych i szarych, dowodzą niezaprzeczonego faktu, że do każdego z nich istnieje droga podejścia, zdolnego je przemienić i przeobrazić. Dowodzą, że są sposoby, umożliwiające wyprostowanie skrzywionej linii życiowej, tkwiące w ich psychikach, tylko trzeba się umieć do nich dostać. Czyż, wychodząc z tego założenia, można również mówić o bezidejowości utworów powieściowych? Czyż nie służą one najtrudniejszej może ze wszystkich sztuk: *sztuce życia*? Czyż, tkwiąc po uszy w rzeczywistości szarego dnia codziennego, nie można go rozbłękitnić i przeświecić wartościami realnymi serca i mózgu, a na nie to wskazuje powieść nasza? Bez „patosu“ wprawdzie, ale z dziwnie wzruszającym pięknem prostoty, mówi do nas o wszystkim, co się wokoło dzieje, o tem, co się dzieć nie powinno — a także o tem, co się *dzieć musi*. I w tem także jest jej posłannictwo nie „materjaliistyczne“, lecz do głębi idejowe.

Ale to jeszcze daleko nie wszystko, co można o książce Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej powiedzieć. Po zapoznaniu się ze światem kobiet uwięzionych przejdziemy do pań i panów z towarzystwa — do żon inżyniera i doktora, no i do pana inżyniera i pana doktora. Pan inżynier jest tylko co prawda prawie zupełnie w cieniu, zwłaszcza wobec imponującej sylwetki swej żony, o której mamy coś niecoś do powiedzenia.

Przedewszystkiem rzuca się nam w oczy, że alkohol i tu ułatwia wszystko, co w stosunkach nizin społecznych uważamy za zło i brutalność. Sądzę, że tą samą miarę musimy stosować do analogicznych postępów, przytrafiających się paniom i panom z „towarzystwa“. Jest jeszcze jeden moment drastyczny: oto romanse pań i panów z „towarzystwa“ odbywają się na tych samych kanapkach tej samej eleganckiej restauracji „Imperial“, gdzie się bawiły, romansowały i piły znajome nasze z więzienia: Florka i Blima Kret, oraz ich kochankowie — ci, o których p. mecenas Misenzon tonem bezapelacyjnie stwierdzonej diagnozy powiada, że są to:

„Złodzieje obciążeni dziedzicznie z pokolenia w pokolenie łańcuchem kradzieży. Ludzie stale zamroczeni alkoholem. Ludzie, dla których znaleźć można świetne określenie w języku francuskim: „déséquilibrés“.

Pan prokurator do zdania pana mecenasa dodaje pośpiesznie i swój pogląd:

„Zakała społeczeństwa. Żeby to ode mnie zależało, kazałbym ich wygubić co do nogi. Toczą, jak rak, albo gruźlica, zdrowy organizm społeczeństwa. Należałoby ich wytępić, wystrzelać, powywieszać, pokastrować... Och, pardon... uśmiechnął się w stronę pań“.

Mimowoli nasuwa się nieśmiało pytanie: a gdzie p. prokurator znacznie szukać w całej pełni „zdrowego organizmu“ społecznego? Obawiam się, że poszukiwania będą żmudne i o tyle napełnią pesymizmem, że tego istotnego „zdrowia“ znajdzie o wiele zamało w stosunku do potrzeb. A w ślad za pytaniem, naprasza się stwierdzenie smutnego faktu, że bakcyle rozkładu przesączają się silnym nurtem do życia społecznego ze wszystkich środowisk, a te, które płyną ze sfer „towarzystwskich“, są specjalnie demoralizujące i specjalnie bolesne. To gorzkie, ale prawdziwe.

Uciekam się zawsze do cytata alkoholowych, bo one w naszym pi-

śmie nie tylko dają obraz alkoholizacji społeczeństwa, ale również służą podkreśleniu i udokumentowaniu pewnych wniosków, które wyprawdzam, a które mogłyby się wydać komuś zbyt dowolnymi, lub nawet naciąganyymi. Więc i w tym miejscu przytoczę niektóre bardziej charakterystyczne urywki.

Oto na raucie u p.p. Misenzonów z ust dotychczas cnotliwej p. inżynierowej Kowalskiej (u której miała miejsce kradzież. Kluczyk. Wośakówna) pada następujące wypowiedzenie się:

„Jestem pewna — uśmiechała się — że dziewczyna, którą dzisiaj ukarano ośmiomiesięcznym więzieniem, (Wośakówna — sprawa w I-ej instancji właśnie tego dnia miała miejsce i p. Kowalska była na niej w charakterze świadka), byłaby dotąd na wolności, gdyby nie chęć zabawy, tańca i chlapania pieniędzmi na prawo i lewo. Och... rozrzutność może doprowadzić do tragicznych rezultatów, włącznie nawet z ławą oskarżonych.

„Przyznano jej rację“.

Trudno odmówić słuszności sentencji moralnej, wypowiedzianej przez p. Kowalską, zobaczymy tylko z dalszego postępowania tej pani, jak dalece okazała się ona pustym frazesem, a prawdą jedynie w odniesieniu do tych „maluczkiach“, co wyszedłszy z nizin, zapatrzeni w przykład sfer „wyższych“, ośmielili się naśladować obyczaje, tam przyjęte i sankcjonowane.

Oto podczas tego samego wieczoru, ta sama dotychczas cnotliwa p. Kowalska

„... w środku kolacji pod wpływem kilku kieliszków i kilku połyskliwych spojrzeń przeobraziła się i zbuntowała.

„I dlaczegoż to — myślała — nie mam się raz zabawić, raz odechnąć pełną piersią i raz, od święta zażyć tego, co innym jest dane na co dzień?

„Teraz już z opuszczonych do połowy powiek patrzyła śmiało w oczy Komarnickiego i rozchyłała usta. A potem w tańcu odnajdywała nieznaną rozkosz w zbliżeniu z „nim“.

„Ten człowiek właściwie był dużo brzydszy od jej męża, brutalny w rysach, zmięty w fałdach twarzy i zwalisty w budowie, ale pomimo to, a może właśnie dlatego podobał się jej.

„W przyciemnionym hollu wypila jeszcze dwa koniaki i maleńką filiżankę kawy, słuchając piśszcotelnych słów i śmiałych propozycji.

„Pani jest zupełnie nierozbudzona — powiedział jej właśnie w chwili, kiedy najbardziej na nią „działał“.

„Roześmiała się zbyt głośno i zaczepnie, zwracając tym uśmiechem uwagę dwóch pań, które, trzymając się pod rękę, wchodziły na schody tuż pod ich głowami.

„Uporczywy wzrok Cesi Komarnickiej (żona dr. Komarnickiego, kuratorka więzienia kobiecego) sprawił jej przyjemność, — za to wesoły szepł Misenzonowej — poiryłował.

„Przeciągnęła się leniwie i zapaliła papierosa. Było jej dobrze przed chwilą i postanowiła za wszelką cenę, aby jej dobrze było pomimo wszystko. Nie pogńiewała się więc za dotknięcie gorących ust na karku i dopiero wtedy oprzytomniała, kiedy zobaczyła nachyloną nad sobą twarz męża.

„Już idziemy — rozkazywał — śmiesznie wykrzywiając usta.

„Dobrze — odpowiedziała — tylko pozwól, że wypalę papierosa.

„Nie śpiesząc, podniosła się z kanapki i wolno obróciła do lustra.

Dwóch mężczyzn stało za jej plecami i to się jej wydało zabawne. Jeden z nich przed chwilą całował ją w kark, a drugi za chwilę będzie ją zapewne całował w szyję, w to miejsce pod brodą, które tak bardzo całować lubił. Nie wiedziała, co ma robić, żeby zamaskować uczucie zmieszania i odruchowo zaciągnęła się papierosem.

„Tam, w lustrze, smuga dymu przesłoniła na chwilę szare błyszczące oczy i mocno pałające policzki, poczem rozwiła się, ukazując dziwną, przeobrażoną twarz i cynizm uśmiechu, zbliżony do wyrazu ust tamtej, skazanej dziewczyny, którym się przed kilku zaledwie godzinami tak gorszyła“.

I cóż się dzieje dalej z p. Kowalską?

„I dlaczegóż to nie mogę iść raz do knajpki? pytała samą siebie, kiedy ją na ulicy spotkał dr. Komarnicki i namawiał na kolację do „Imperialu“?

„Dała się łatwo przekonać, że ich w tym lokalu nikt nie spotka.

„Z półuśmiechem na pełnych ustach i tajoną ciekawością w spojrzeniu pozwoliła się prowadzić przez natłoczony przedsiónek i wielką salę restauracyjną, w której jeszcze nigdy nie była. Rozzuchwiała się do tej przygody w przekonaniu, że postępuje jedynie tak, jak to mają we zwyczaju wszystkie jej znajome i przyjaciółki.

„Przesuwając się między gęsto rozstawionymi stolikami, odurzała się atmosferą „knajpy“, zapachami potraw, szelestem wentylatora, szmerem rozmów, muzyką, czerwonym kolorytem ścian i przyciemnieniem światła.

„Podobało się jej wszystko: uśmiechy, spojrzenia, ukłon małego, łysiejącego blondyna“.

„Już teraz nie dziwiła się Florce, że chciała tu często przebywać, siadać na tej oto czerwonej kanapce i uśmiechać się do kochanka w świetle krwistego abażuru.

„Na wpuł odurzona, usiadła przy stoliku, który białł kwadratowym obrusem i zaraz zdjęła kapelusz i ściągnęła rękawiczki“.

Zostawiamy na chwilę p. dra Komarnickiego z p. inż. Kowalską i posłuchamy rozmowy, która się toczy przy sąsiednim stoliku.

„W chwilowej pauzie muzycznej ktoś śmiał się głośno, brzęczały rozkładane noże i niepokoił się jakiś kobiecy szept.

„Boję się, jak Blima wyjdzie z więzienia.

„Sama sobie winna — odpowiedział głos męski — pocóż przysyłała do mnie ładną koleżankę z pozdrowieniem?

„Ale, co ona powie, jak się przekona, że jej zabrałam ciebie? że jej zabrałam przyjaciela? I dom? I wszystko?

„Też się jest nad czem zastanawiać? Napij się, Tekluniu. Napij.

„Ona napewno będzie wymyślać... Będzie krzyczeć!

„A ty się boisz, mała kobietko?

„Pewno, że się boję. Blima do wszystkiego jest zdolna. Na wszystko gotowa. Ona może kwasem mnie oblać i tobie oczy wypalić...

„Betty (Kowalska) z ciekawością oglądała się na rozmawiającą par-

kę. Dziewczyna była drobną, pucułowatą blondynką, z zadartym nosem i wystraszonemi oczami. On — przystojnym brunetem.

„To znany fordanser—objął dr. Komarnicki, zapalając papierosa. — Ładne towarzystwo? Co?

„Ta Blima, to musi być numer.

„Roześmieli się, obserwując wstającą do tańca parę.

„Na szczęście w naszej sferze nikt nikogo kwasem siarczanym nie oblewa... Bo gdyby nie, to kto wie, czy moglibyśmy tak bezkarnie broić?

„Myślisz o swojej żonie?

„Tak, — uśmiechnął się. — O Cesi.

„Z niesmakiem wspominał kobietę, która mu urodziła już dwoje dzieci, a teraz, zdaje się, znowu, zaszła. Komarnicki nie cierpiał w domu pieluszek i poirytowany był nowiną, że za kilka miesięcy znów ich będzie miał pełną sypialnię i łazienkę.

„Proszę cię, nie myśl o niej. Jestem zazdrosna.

„Mówiła mu po imieniu. Patrzyła w jego oczy. Jakaż była ładna. Zachwycał się jej uśmiechem, rozchyleniem ust, które mówiły: „jestem zazdrosna“.

Jeszcze dalej o kilka stolików od nich „mały mecenas rozmawiał z kolegami o kobietach“.

„Czy wiesz, że w kobiecej egzystencji, nie może być wyjątków. Ot taki jeden jedyny raz, takie jedno pójście do „Imperialu“, to jak szpulka nici rzucona na podłogę. Roskręci się, popłacze i już jej potem nie nawiniesz na codzienny uczciwy ład¹⁾.

„Moralizator. Byle czem się gorszy. Takiego to zaprowadzić do więzienia, do tego piekła. Niechby popatrzył, posłuchał i porównał, co jest prawdziwym grzechem, a co jego cieniem.

„Nazywasz więzienie piekłem?

„Oczywiście.

„A ja nazwałbym je raczej czyścem, pokutą.

„Piekłem zaś „Imperial“ — tą roztańczoną salę czerwoną od światła i cieni“.

Powróćmy na chwilę znów do pani Kowalskiej:

„Już była zdecydowana pójść z nim na górę, do numeru hotelowego. Nie chciała, nie umiała już czekać na rozkosz, ani odmawiać sobie czegokolwiek, co nazywała radością życia. Chęć odwetu za dotychczasowe wyrzeczenie rosła w niej z minuty na minutę. Fliś? (mąż). Cesia Komarnicka? Przestali dla niej egzystować. Zapadli się pod ziemię.

„Jednocześnie, tuż obok przy sąsiednim stoliku inna kobieta z innym mężczyzną również namiętnie rozmawiała, zapominając o całym świecie i o zdradzonej przyjaciółce — Blimie Kret.

„Jakże były te kobiety podobne do siebie w tej chwili i jakże ze sobą zrównane... w grzechu“.

Z dalszych kartek książki dowiadujemy się, że p. dr. Komarnicki,

¹⁾ Analogja ze szpulką do nici tylko wtedy może uzyskać prawo obywatelstwa jeżeli będziemy jej używać do mężczyzn i do kobiet. Minęły czasy podwójnej moralności. Uczciwość zaś męska w tej dziedzinie, jak dotąd przynajmniej, zbytnio nie obarcza sumienia mężczyzn trudem dźwignania jej na ich wątplych, a nieprzyzwyczajonych do tego rodzaju ciężaru - barkach.

już ojciec dwojga dzieci, pragnie przeprowadzić rozwód z żoną i poślubić p. inż. Kowalską. Flirt rozpoczęty w restauracji „Imperial“ zaprowadził daleko, niewątpliwie dalej, niż się spodziewano. Tak samo jak Florka Wosakówna nie przeczuwała, że bawiąc się z Kostarzem w restauracji „Imperial“ dojdzie do krat więzienia.

Trudną o lepszą charakterystykę działania odurzenia alkoholowego na system nerwowy, a więc na mózg, jak w powyżej fragmentarycznie przedstawionych scenach, pisanych przecież nie w celu propagowania „pociesznej“ idei abstynenckiej, a tylko zaobserwowanych i „sfotografowanych“. Tego rodzaju fotografię nie wiem, jak nazwać z punktu widzenia „czystej sztuki“, ale wiem, że ma ona wielką tragiczną wymowę, z której, kto umie, to może wyciągnąć daleko idące praktyczne wnioski. Rodzina, ta najważniejsza komórka życia społecznego, bezpieczna przystań, gdzie mają rozkwitać wszelakie cnoty, gdzie ma się hodować zdrowo i bogobojnie młodzież, nasza przyszłość i duma — zostaje zmieciana po kilku nocach, spędzonych w alkoholowej restauracji! Nie popadajmy jednak w przesadę, nie przypisujmy już tak niszczycielskiego działania alkoholowi, używanemu krótko i powiedzmy sobie jednocześnie, że i z ową moralnością pań i panów z towarzystwa, było coś niezupełnie w porządku, że nie miała ona podstaw ugruntowanych i umocnionych, że nie wynikała z konsekwentnie przemyślanej i świadomie nakreślonej linii życia. Była to moralność tak chwiejna i powierzchowna, jak ta, którą piętnujemy u ludzi z tak zwanych „dołów“ społecznych; a więc dla jednych jak i dla drugich bezmyślne życie w ramach atmosfery dancinowo-restauracyjnej jest bardzo niebezpieczne, a w skutkach swych jednakowo fatalne. Tamte wszystkie „upadłe“ dziewczęta, oraz p. inżynierowa Kowalska (jako już pewien symbol kobiet z dancingu), mają jeszcze jedną wspólną cechę, decydującą o tem „kim“ one są, a mianowicie: brak wszelkich wewnętrznych hamulców. One wynikają z życia religijnego, z poglądów etyki świeckiej, z poczucia odpowiedzialności społecznej i t. d., ale ich niema tam, gdzie wogóle znajduje się zanik wszelakiego życia psychicznego, a są tylko wyuczone, narzucone pewne normy, obok silnego pragnienia użycia życia w tym najwulgarniejszym tego słowa znaczeniu. Wówczas następuje bezwolne oddanie się instynktom, które bez powściągów natury etycznej, rzucają biednego człowieka w stan kompletnego chaosu. Tam niema mowy o miłości, niema mowy o uczuciu — tu wchodzi w grę, w gruncie rzeczy, małe namiętności, tylko podtrzymywane, dopingowane przez alkohol, — a małe duszyczki tych ludzi w konfliktach życiowych, prowadzących często do tragicznego rozwiązania, nie wiedzą nawet, czem są wielkie dramaty, ludzi umiających naprawdę głęboko i mocno kochać. Dramaty takie nie mają scenerji sal dancinowych i nie rozgrywają się przy brzęku kieliszków, lecz są przeżywane całkowicie „na trzeźwo“, w poczuciu pełni wszystkich sił, jakie są dane człowiekowi. Tamci nie znają miłości — oni się bawią w „miłość“, nie rozumiejąc nawet, jaką ona może być potęgą, i nie wiedząc, ile z niej płynie czynników twórczych dla życia.

Janina Surynowa-Wyczółkowska zdaje sobie doskonale z tego sprawę, bo ani razu ludzie z jej powieści nie mówią o miłości. Jest miłość macierzyńska, pięknie przedstawiona w sercu notorycznej złodziejki, Agaty Wosakowej, która gdy córkę aresztowano, to

... „przysiadła na stołku pod oknem i zapatrzyła się w to piękno dalekie. Uplanowała oto sobie, że zmieni życie i nie trafi do więzienia. Była zmęczona kradzieżą, ciągłym niepokojem, aresztowaniami, okłamywaniem policji i gniciem w więzieniu. Chciała zmienić fach, zakładając mały sklepik na drugim końcu miasta, za rzeką. Tam, gdzieby jej nie znali. Gdzieby o niej nic złego nie słyszeli. Gdzieby ją szanowali, jako uczciwą kobietę i matkę dzieciom.

„Dla córki swej (Florki) umyśliła sobie inne życie.

„Dziecko było od małego przez nią kochane i na prostą drogę kierowane. Do kościoła je prowadziła co niedziela. O kradzieży zabroniła ludziom przy niem wspominać. Do szkoły zawodowej je oddała. Pracować nauczyła. Żeby mogło nie na złodziejkę wyrosnąć i na ten kawałek chleba zarobić uczciwie. Stara Wosakowa marzyła o ślubie dla córki w kościele. O welonie białym i o wianku. O zięciu, któryby znał rzemiosło, nie pił i co sobotę zarobiony grosz do domu oddawał. O wnuczkach, któreby miały rodziców chrzestnych, bieluchne czapeczki na głowie i medaliki złote na szyi.

„Tak oto marzyła Wosakowa. Ale marzenia nigdy nie miały się spełnić. Jej własne grzechy obróciły się przeciwko niej i dalejże szarpać uczucia matczyne. Dalejże krwią serdeczną, z samego serca płynącą, ją zalewać“.

Florka Wosakówna zaczyna kochać urodzoną w więzieniu córeczkę — bardzo pięknie przedstawiła autorka budzące się uczucie macierzyńskie, — ale miłości między mężczyzną, a kobietą niema w tej książce i to właśnie jest również bardzo prawdziwe i słuszne pod względem psychologicznej prawdy.

Na zakończenie muszę się zająć jeszcze p. doktorową Cesią Komarnicką, matką dwojga dzieci, która już wie, że sprawę rozwodową wszczął jej mąż. Pewnego dnia, jedzie ona do więzienia kobiecego, by spełnić swe obowiązki kuratorki. Rozpoczyna urzędowanie. Staje przed nią Blima Kret — ta sama, którą kochanek - fordanser w Imperialu zdradzał z drugą dziewczyną, siedząc obok stolika zajętego przez d-ra Komarnickiego i p. Kowalską. Blima Kret powiada:

„Jabym prosiła, żeby pani kuratorka zrobiła widzenie dla mego przyjaciela.

„On sam powinien się o to starać.

„Un nie był już u mnie od dwóch miesięcy.

„A na sprawie był?

„Nie.

„Zamilkły obie. Tamta kobieta w szarym kubraku i kuratorka nachylona nisko nad kajetem. Zapisując nazwisko i adres fordansera, który zapomniał o Blimie Kret również szybko, jak zapomniał doktor Komarnicki o swej żonie — pani Cesia czuła się jakby zrównana w swym opuszczeniu z ową prostą Żydówką“.

Drugą kobietą, która przyszła z prośbą o napisanie krótkiego listu do synka:

„pozdrawiam syna mego Olusia Pawelec i na urodziny posyłam mu w podarku 2 zł. 50 gr., zarobione uczciwą pracą w więzieniu“,

była Józefa Pawelec, która na pytanie kuratorki za co siedzi, odpowiedziała:

„Zabiłam męża siekierą, bo mnie ponad miarę ukrzywdził“.

„Możecie odejść.“

„Teraz kuratorka została sama. Oburącz podparła głowę ciężką od myśli i przymknęła oczy.“

„Och, czyżbym miała odwagę zabić? Zabić tak, jak to zrobiła ta prosta kobieta? Naturalnie nie siekierą, ale zastrzelić tego podleca, który żył ze mną przez dziesięć lat w szczęściu i zgodzie. Dał mi dwoje dzieci i to trzecie, które się ma urodzić za kilka miesięcy. I naraz... odszedł...“

„Nie. Nie miałabym odwagi tego zrobić“.

Przed kuratorką stanęła dawna krawcowa, która szyla u niej w domu, Florka Wosakówna i zaczęła opowiadać szczerze całą prawdę o sobie:

„Cała krzywda, że mnie przecież pani inżynierowa Kowalska posądziła niesłusznie.“

„Padło nazwisko kobiety, o której myśleć nie mogła spokojnie i kuratorka Komarnicka surowo ściągnęła brwi. Oto po raz trzeci dzisiejszego dnia była poniżona zrównaniem swej niedoli z niedolą tych prostych kobiet. Z Blimą Kret zrównała się w opuszczeniu przez kochanego człowieka. Z Józefą Pawelec w chęci popełnienia takiej samej, jak ona zbrodni i z Florentyną Wosakówną w pokrzywdzeniu przez jedną i tą samą kobietę.“

„Dziewczyna opowiadała, co i jak było. Jak to kluczyk od maszyny i centymetr przez pomyłkę wsunęła do torebki, śpiesząc się na randkę z Kostarzem. Jak potem zamilczała o wszystkim na policji, bo się obawiała, że jej nikt nie uwierzy. I o tem opowiadała, jak w Imperialu, kiedy chciała upudrować nos, wyrzuciła kluczyk razem z puderniczką na obrus. Jeszcze dotąd widziała, jak on leżał po prawej stronie talerza, obok dużej owłosionej łapy Jana. Jeszcze dotąd czuła w sobie walkę między chęcią pozostania w oświetlonej czerwonymi neonami sali, a odniesieniem kluczyka do pani inżynierowej. Jeszcze dotąd słyszała muzykę, gwar, szcęk talerzy i swój własny głos, który tłumaczył Kostarzowi, że musi już iść, bo przecież rzucą na nią podejrzenie, bo przecież posadzą ją o umyślne zabranie klucza, aby otworzyć nim biurko wyładowane pieniędzmi.“

„Florka opowiadała, co i jak było. Przyznała się, że pozostała aż do rana tańcząc i dopiero o szóstej wróciła do domu zalana w pestkę. Przyznała się też, że na drugi dzień w torebce kluczyka nie znalazła, ani w restauracji również dokąd o dziesiątej rano pobiegła z duszą na ramieniu. Kelner z nią razem szukał w czerwonych skórą krytych poduszkach kanapy, we wgłębieniach poręczy, pod stołem, pod czerwonym chodnikiem i wszędzie. I przyznała się, że powróciła do domu i udała chorą. I przysięgała na wszystkie świętości i na głowę swojej Krysiuni, że o niczem więcej nie wiedziała i dopiero na śledztwie otworzyły się jej oczy — ale już było zapóźno. Zapóźno na odwołanie pierwszych kłamstw, że „o kluczyku ani wiedziała, ani słyszała“.

Pani kuratorka postanowiła ratować Florkę — przedstawiła całą sprawę znanemu panu mecenasowi Misenzonowi i uprosiła, by na siebie wziął obronę. Florka uradowana, wdzięczna odeszła, a pani Komarnicka:

„była znów sama ze swoimi myślami. Z troską o własne dziecko, które tak samo przed urodzeniem pozbawione było ojca i z troską o własne życie, które stało na skraju przepaści. Tylko praca mogła ją uratować. Tylko praca patronacka nad równie, jak ona nieszczęśliwymi kobietami“.

Pragnęłabym bardzo, by wszyscy czytelnicy „Trzeźwości“ przeczytali piękną książkę pani Janiny Surynowej - Wyczółkowskiej — znajdując w niej dużo ciekawego materiału, którego nie mogłam wyzyskać w powyższej ocenie.

Hanna Nałęcz - Ostrowska Szymańska.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Francis Carco: „La dernière chance“, Paryż, wydanie A. Michel).

Niejednokrotnie już podkreślano w różnych pracach ścisły związek między nierządem i handlem żywym towarem z jednej strony, a alkoholizmem, narkomanją, przemysłem narkotyków i nielegalnym handlem środkami odurzającymi — z drugiej.

Ten ścisły związek bardzo wyraźnie występuje w powieści Francis Carco p. t. „La dernière chance“ (ostatnia szansa). Nie jest to właściwie powieść, ale cykl reportaży z podróży na Bliski Wschód, zainicjowanej przez władze francuskie, odbytej w ściśle określonym celu zaznajomienia się z życiem nocnym miejsc rozrywkowych, jako to bary, dancingi, kabarety, palarnie opium i t. p. Autor zwiedza Ateny z portem Pireus, Smyrnę, Istambul (Konstantynopol), Beyruth i Tunis. Wszędzie oprowadzają go wyżsi funkcjonariusze policji, i ci spośród miejscowych przyjaciół, którzy w handlu żywym towarem lub narkotykami, a często w jednym i drugim biorą mniej lub więcej czynny udział. Nic dziwnego, że dzięki takim przewodnikom Carco może przed nami odsłonić rąbek tajemnicy, okrywającej świat podziemny, który dla łańcuchowo zrozumiałych względów niechętnie dopuszcza niewtajemniczonych w swe skomplikowane i zbrodnicze poczynania.

„Handel żywym towarem po wojnie przestał istnieć“, utrzymuje Carco, „jest nie do pomyślenia, aby dziś ktoś chwycił niewinne dziewczę i gwałtem wywoził ją do lupanaru południowo-amerykańskiego, gdzie kupują je na wagę złota. Nikt dziś nie porywa, nie wywozi i nie sprzedaje. Idą same, bo zmusza je do tego nędza, niemożność znalezienia uczciwej pracy. Kto zna te stosunki, wie dobrze, że nie lenistwo, nie zamiłowanie do błyskotek pcha kobiety na złą drogę. Może dałoby się to powiedzieć o jednostkach, ale wielki szary tłum pożąda pracy, gotów jest zadowolnić się byle czem, tymczasem nie znajduje nic“. Aby nie zginać z głodu, decyduje się na poniewierkę, której opisy grożą przejmują czytelnika.

Na zanik handlu żywym towarem wpłynęła nie działalność rozmaitych instytucji z Genewą na czele, nie Zjazdy i Kongresy, nie ulotki i propaganda, ale poprostu kryzys. Dziewczęta, przeważnie młode i przystojne, idą ze wsi do miasta, przechodzą z jednego miasta do drugiego, z jednego kraju do drugiego, przejeżdżają z jednego kontynen-

tu na drugi. Kosztowny pośrednik stał się zbyteczny, adresy przechodzą z rąk do rąk, podaż i popyt reguluje tu sprawę, jak to się dzieje przy każdym innym towarze.

Handel żywym towarem przestał istnieć w dawnej przedwojennej formie, ale odrodził się w innej, zmienionej: inne są jego cechy zewnętrzne, ale treść i osoby działające pozostały te same. Mamy teraz do czynienia z „ajencjami artystycznymi“, które towar, zwany „artystki“, kierują z zachodu na wschód, z północy na południe, załatwiają kontrakty „artystek“ i dbają, aby w stosunku do władz wszystko było w porządku. Nie zapominają oczywiście o własnym interesie. „Artystka“ jedzie według ściśle określonej marszruty, w każdej z przewidzianych miejscowości co wieczór odtańczy lub odśpiewa swój numer — a że właściwa praca zaczyna się dopiero potem, o tem wiedzą wszyscy, nawet funkcjonariusze policji, którzy do czasu przymykają oko: jedyną ich troską jest nie dopuścić do skandalu, a gdyby przypadkiem to się zdarzyło, mają w ręku broń wszechmocną — ekstradycję. Osoba i dalsze losy dziewczyny są im najzupełniej obojętne.

W Grecji istnieje bardzo ścisła reglamentacja nierządu. Autor opisuje dom publiczny, w którym pensjonariuszki mieszkają skoszarowane. Główna brama jest strzeżona przez umundurowanego wartownika, wieczorami odbywa się apel przez funkcjonariusza policji. Wyjście na ulicę jest dozwolone tylko za przepustkami, wydawanymi przez tegoż policjanta.

W niektórych miastach istnieją specjalne dzielnice, przeznaczone dla prostytutek. Są to przeważnie siedliska nędzy i brudu. Nawet 15-letnie dziewczynki, czasami młodsze jeszcze, wykonywują ten najcięższy z zawodów: uroda szybko mija, a po kilku latach młode dziewczyny mają wygląd starych kobiet. Po czterdziestce robią się z nich wiedźmy, do których normalny mężczyzna musi odczuć nieprzewyciężony wstręt.

I tu występuje przemożna rola alkoholu. On to sprawia, że człowiek szuka miłości w takich warunkach, w takim otoczeniu, i że bierze ją tam, gdzie znajduje. Wszędzie spotykamy napoje alkoholowe, czy to w knajpie dla marynarzy, czy w eleganckim dancingu dla oficerów, bogatych przemysłowców i bankierów. Przy pijatykach asystują oczywiście kobiety, dostarczane przez lokal; „artystki“ miejscowe lub cudzoziemskie, fortancerki, kelnerki, czy jak się one na danym stopniu hierarchji zawodowej nazywają. Rola ich jest wszędzie jednakowa, są to t. zw. „Aniemermädchen“, których zadaniem jest spoić mężczyzn. Idzie wszak o jaknajwiększe ilości alkoholu — wypitych kieliszków czy butelek, od czego pobierają procenty. A spojonemu do utraty przytomności można jeszcze wyciągnąć portfel, przywłaszczyć sobie w odpowiednim momencie precjoza i kosztowności.

A co robią mężczyźni, którzy wraz z zanikiem właściwego handlu żywym towarem stracili źródło utrzymania? Carco utrzymuje, że to oni właśnie uprawiają handel narkotykami. Wylicza, że przedmiotem tego handlu są przeważnie opjum, haszysz, kokaina i heroina. Handel odbywa się systemem łańcuszkowym, od wytwórcy legalnego lub tajnego poprzez hurtowników i mniejszych handlarzy do odbiorców. Ci ostatni rekrutują się przeważnie wśród tragarzy i szoferów zarówno w Grecji, jak i w Egipcie i w Turcji. W Stambule np. szoferzy taksówkowi jeżdżą

z zawrotną jeśli nie warjacką szybkością. Wszyscy doskonale wiedzą, że przeważnie 8 na 10 z nich, to nałogowcy — kokainomani.

Opjum idzie różnemi drogami. Do Smyrny corocznie po zbiorach karawany prowadzą je z Konji, Azaru, Usaku, Kuli, Tehalu, Bovoradina. W Turcji wolny obrót opjumentem jest zakazany. Wprowadzono monopol państwowy, ale to ograniczenie nie ma żadnego znaczenia. Dwa główne ośrodki tego handlu, to Smyrna i Konstantynopol. Pierwszy koncentruje całą produkcję Azji Mniejszej na południe od Ankary aż do Persji, jest on najważniejszy i najstarszy. Do Konstantynopola przywożą opjum z Macedonji, i stamtąd przedostaje się dalej drogą lądową i morską, ale nadzór coraz ściślejszy zaczyna przeszkadzać: przemysł staje się bardzo trudny.

Opjum tureckie wysokiego gatunku, ekspedjowane na Zachód przez port marsylski, napotyka poważną konkurencję w postaci opjum chińskiego, wywożonego aż do ostatnich czasów w olbrzymich ilościach na transportowcach amerykańskich. Jest to walka na śmierć i życie, zainteresowani są nie tylko przemysłnicy, ale również rolnictwo, przemysł i handel w tylu krajach, możność egzystencji setek tysięcy rodzin jest poważnie zagrożona. Tem zagadnieniem zajmie się najbliższa konferencja genewska w sprawie surowców do fabrykacji alkaloidów opjumowych.

Ostatnio Saloniki i Belgrad nabierają znaczenia w handlu narkotykami. Ogromny zbyt znajduje kokaina również wśród prostytutek. Stwierdza to szef policji greckiej, i dodaje: gdybyśmy chcieli zamykać wszystkie, które się narkotyzują, więzienia byłyby przepełnione, a lista jeszcze nie wyczerpana.

Ciekawą drogę odbywa np. heroina z Rosji Sowieckiej. Handlarze uzyskują legalne certyfikaty wwozu i wywozu w Szwajcarii i Sowietach. Uzyskaną w ten sposób heroinę ładuje się w beczki z kredą i drogą morską wysyła tranzytem przez Niemcy lub Wolny Port Hamburg. Ta niebezpieczna trucizna, wywieziona napozór legalnie, przechodzi niepostrzeżenie do handlu nielegalnego i dostaje się w ręce nałogowców. W Polsce podobna transakcja jest niemożliwa: fabryki, wyrabiające morfinę, nie produkują wcale heroiny, pozatem Rząd Polski nie wydaje certyfikatów na wwóz i wywóz heroiny.

Autor wraca do Marsylji, gdzie dowiaduje się, że władze celne natrafiły na przemyt 70 skrzyń opjumu, ilość bardzo poważną wobec znikomych dawek, stosowanych przy recepturze. Przemysłnicy stawili zbrojny opór, przyczem jeden z nich, ciężko ranny, dogorywa w szpitalu. Jest to właśnie jeden z niedawno spotkanych w Grecji przyjaciół autora. Umiera, ale nie wydał żadnego ze swych współników — dostawców. Carco kończy melacholijną uwagą: jaka energja, jaka siła charakteru u niektórych z tych ludzi. Szkoda niepowetowana, że tak źle użyta.

*

Bogom nocy równi.

(Sergjusz Piasecki — Warszawa 1939 r. Tow. Wydawn. „Rój“).

W notatce p. t. „Odgłosy więzienne („Trzeźwość“) nr 7/37, pisałam o Sergjuszu Piaseckim. „Może w jego książkach znajdziemy

rozwiązanie męczącej zagadki, co było przyczyną strasznego wykolejenia jednostki zdolnej, dzielnej i energicznej. Może dowiemy się z nich, jak dalece nałóg kokainizmu przyczynił się do złamania woli i siły wewnętrznej człowieka, który mógł być pożytecznym obywatelem, a stał się ciężarem dla własnego społeczeństwa?"

Piasecki przebywał wówczas na Świętym Krzyżu, skazany na 15 lat więzienia za grabież z chęci zysku. Uwolniony przedterminowo, daje nam w książce p. t. „Bogom nocy równi“ powieść, w której zasadnicza treść jest niewątpliwie autobiograficzna, a Roman Zabawa ma wiele cech wspólnych z autorem. Znajdujemy w niej również odpowiedź na zadane w roku 1937 pytania.

Przeżycia wywiadowcy sztabu, odbywającego ciągle podróże przez granicę na terytorjum sowieckie, ukrywającego się w przebraniu komunisty na służbie rządowej, aby zdobyć tajemnice, potrzebne swym mocodawcom, są bardzo ciekawe. O tych wywiadowcach mówi jeden z nich, Charewski, typ sympatyczny, rycerski i bohaterski: „My jesteśmy bogami nocy. My w rękach swych niesiemy śmierć, a w sercach pogardę dla niej“. A w innym miejscu znajdziemy następujące określenie agentów wywiadu:

„My nie mamy ludzkiej duszy,
Wola do czynu — nasza moc.
Jak bogowie wszystko kruszym,
I odchodzimy w czarną noc“.

Autor szczytnie pojmuje zadanie agenta: „Trzeba pamiętać, że chociaż szpieg jest zawsze w cieniu, lecz on właśnie chroni armję, broń armji, walczy i ginie dla armji. Jedną tylko informacją może przynieść armji olbrzymie korzyści“.

O niebezpieczeństwach, związanych z tem życiem i trudnościach, na jakie agent defensywy jest narażony podczas pobytu w obcym kraju, dowiadujemy się dokładnie z pamiętnika bohatera powieści, Romana Zabawy: „Jeśli chce się być dobrym szpiegiem, trzeba zapomnieć zupełnie o sobie, a pokochać tę pracę. Trzeba się stać naprawdę tym, kogo się udaje. Trzeba naśladować sposób chodzenia, mówienia, czesania się, nawet płucia i palenia. Trzeba zrozumieć całą psychikę wroga i narzucić ją sobie. Lecz nie wolno przesadzić ani słowa, ani ruchu, ani spojrzenia zbędnego.. Wszystko musi być szczerze“.

W tem rozumieniu służby wywiadowczej ukrywa się największe niebezpieczeństwo dla gorliwych i oddanych ludzi. Rozdwojenie osobowości na dłuższą metę staje się zbyt męczące, aby można je było wytrzymać na trzeźwo. Autor tak o tem pisze: „Więc piję, zalewam się alkoholem i tęsknotą za utraconą na zawsze dziewczyną“. Alkohol jest tą przystanią, do której ucieka: „Nalałem przeszło pół szklanki alkoholu i rozcieńczyłem go wodą z kranu umywalki. Nie patrząc na Charewskiego, prędko piłem. Uciekałem od rzeczywistości. Cóż więcej może zrobić człowiek, który kona z rozpacz, że niema wyjścia z tego, co nazywamy życiem, kiedy jedyne legalne wyjście to obłęd“.

Ale niedługo alkohol przestaje dawać te chwile zapomnienia, które są konieczne, aby nadal żyć w ciągłym niebezpieczeństwie, aby wy-

trzymać napięcie nerwów. Pod wpływem i za przykładem Charewskiego, Zabawa zaczyna używać kokainy. Z początku „uważa narkotyzowanie się za słabość, za chęć ucieczki od rzeczywistości, za strach przed życiem“. Mimo to siła woli, jaką rozporządza, okazuje się niedostateczna, bohater waha kokainę. Wkrótce po wejściu na tę niebezpieczną drogę pisze: „Bardzo źle się czuję. Jedyne kokaina daje mi zapomnienie. Dniem jest mi lżej, ale noce są straszne“. Zabawa boi się samotności, trapią go halucynacje, jest bliski obłądu.

Wkrótce następuje reakcja. Jest przekonany, że stoi poza granicą życia, zresztą jest mu już wszystko jedno. Swój stosunek do życia i śmierci określa w sposób następujący: „Jestem szpieg — poza prawem i życiem. I nie mam absolutnie nic do stracenia. Tyle razy zwyciężałem, walcząc za tysiące, że śmierć nie byłaby dla mnie przegraną, tylko końcem szeregu zwycięstw“.

Z życia w Sowietach, jak je obserwuje agent wywiadu w Mińsku i innych miejscowościach, położonych blisko granicy polskiej, mamy garść fotografii bez retuszu. Wywołane wrażenie jest bardzo silne. Głód, nędza, prostytutka, to wszystko są obrazy znane, niemniej budzą one uczucie grozy. Ale jest jeszcze coś więcej. Utrata godności ludzkiej, poniewierka jednostki, doprowadzona do maximum, przynębiają człowieka więcej, niż nędza mieszkaniowa, brak środków żywności. Szpiegostwo i donosicielstwo szerzą się wszędzie: w biurach, urzędach, na ulicy, w domu. Wszyscy szpiegują się wzajemnie i donoszą, gdzie należy, co wytwarza atmosferę zatrutą, stan niepewności o życie, trudny do zniesienia, koszmarny. Jako jedyne zbawca zjawia się alkohol.

Piją wszyscy: starzy, młodzi i dzieci, mężczyźni i kobiety, wszystkie warstwy, wszystkie zawody. Komsomolska piosenka poucza nas nawet, że „prodkomy piją wódkę: zadziwiająco, przerażająco, a pod koniec nawet pouczająco“.

Pamiętnik Lizy, młodziutkiej obywatelki sowieckiej, zasługuje na szczególną uwagę. Jest to dokument, który bez osłonek przedstawia życie 15-o letniej dziewczynki, jej myśli, przeżycia, nadzieje i tęsknoty. Na każdej stronicy, jak refren, powtarza się: „spoił mnie... piłam... upiłam się“. Straszne oskarżenie z ust prawie dziecka, które wkrótce zostanie żoną i matką. Ładne oparcie i przykład dla przyszłego potomstwa.

Książka kończy się ponuro: „Ile mogłem, tyle zrobiłem dla wywiadu. Jeśli nie zrobiłem więcej, to trudno. Za młody jestem i za głupi. Chciałem zawsze, aby było jak najlepiej, a nieraz wychodziło całkiem źle“.

Rzeczywiście wyszło źle, przemyt i rozbój, a potem ostateczne załamanie.

Z książki tej bije szczerłość i za to autorowi powinniśmy być wdzięczni, dał nam rzecz nieocenioną — prawdę. A że ta prawda jest niezmiernie smutna, nie jego wina. Nie szczędził własnej osoby, uczciwie i szczerze wskazując niedomagania, co należy uznać za wielką zasługę Piaseckiego.

Marja Sokalówna.

NIEMCEWICZ.

Kto zna dzieje politycznego upadku Polski w końcu w. XVIII, ten wie, że poprzedzony on został przez długotrwały okres upadku ustrojowego i obyczajowego.

Pijaństwo szlachty i magnatów, a za ich przykładem i innych warstw społecznych, stanowiło niewątpliwie jeden z najbardziej destrukcyjnych czynników naszego życia domowego, społecznego i politycznego.

Pijaństwo i wszystkie jego przywary i skutki.

Spotykamy się jednak niejednokrotnie z twierdzeniem, że posądzenie szlachty o masowe pijaństwo nie jest dostatecznie usprawiedliwione, że oskarżanie przodków naszych z epoki saskiej o to, że Polskę przepili, nie odpowiada prawdzie.

Każda więc nowa praca historyczna, rzucająca światło na interesujące nas zagadnienie ma niewątpliwie poważne znaczenie i historyczne przy ocenianiu warunków i przyczyn upadku wielkiego państwa, i praktyczne, ze względu na chwilę obecną, gdy pijaństwo jest udziałem tak powszechnym warstw wyższych, średnich i niższych.

*

*

*

Taką pracą jest książka p. Karola Zbyszewskiego p. t. „Niemcewicz od przodu i tyłu“ (Warszawa, 1939. Towarzystwo Wydawnicze „Rój“ — str. 367+10 n. l.). Oparta na obszernym materiale źródłowym, zawiera ona bardzo bogate przyczynki do dziejów obyczaju w Polsce w drugiej połowie w. XVIII, a więc i do sprawy pijaństwa, panoszącego się wówczas w Polsce w sposób zaiste przerażający.

Autor bynajmniej nie zwraca jakiejś szczególnej uwagi na zagadnienie pijaństwa; nie ujawnia jakichś specjalnych tendencji przeciwalkoholowych, a już w żaden sposób nie może być posądzony o nastawienie abstynenckie — tem więc cenniejsze są jego informacje o alkoholizmie opisywanej epoki.

Tem więc spokojniej, a zawsze na odpowiedzialność autora, możemy podawać wiadomości, przezeń zebrane, ilustrujące ówczesny obyczaj pijacki w Polsce.

Obraz to wymowny, a soczysty aż do obrzydzenia... aż do przerażenia...

Przyjrzyjmy się mu zbliska, dokładnie.

Autor opisuje obóz konfederatów barskich na Litwie.

„Obóz nie wyglądał groźnie: żadnych wart, w każdym namiocie paru pijanych rycerzy, ani śladu rygoru i karności. Wolny szlachcic przystępował do konfederacji, by się wyzwolić z jarzma moskiewskiego — nie, by znosić jarzmo jakichś zwierzchników; jeśli co robił, to dlatego, że tak mu się podobało, nigdy bo tak mu kazano“ (str. 16).

„Szara brać szlachecka wcale nie gustowała w Puławach. Wprawdzie książę (Adam Czartoryski, generał Ziemi Podolskich) wdziawał kontusz, pamiętał, jak czyja połowica, matka, babka z domu, gwarzył uprzejmie, ale pić nie lubił, sprytnych toastów nie wznosił, nikogo do

picia nie przymuszał. Szlachta lubiła dwory, gdzie nieprzytomnych wyciągano spod stołu i siłą lano jeszcze do gardła. Nie było też w Puławach pojedynków na kielichy, ani wesolych igraszek, jak np. łyknąć duszkiem kwartę gdańskiej wódki i wnet potem wleźć po drabinie na dach stodoły. Dopieroż zabawa, gdy się ktoś ze szczytu zwał jak kłoda! Albo sprowokować do bójki dwóch zalanych w pestkę i patrzeć, jak w zęby sobie trafić nie mogą. Zamiast tych wybornych żartów wciąż uprawiano w Puławach nudne wierszydła, przemądrzałe rozmowy“ (s. 86,87).

Na sejmiku w Kamieńcu po wybraniu 12 posłów na Sejm szlachta dała im jedną tylko instrukcję: „przestrzegać, by broń Boże ła na wino nie nałożono! Inne materje nikogo nie interesowały“ (s. 92).

„Z reguły we wsi po jednej stronie była plebanja, a po drugiej karczma; obrotniejsi proboszczowie udzielali parafjanom ślubu tylko pod warunkiem, że wesele odprawią nie w domu, lecz w karczmie, za co mieli dobry procent od Żyda“...

A oto konterfekt jednego z przywódców przeciwników reform:

„Branicki sprowadził do Warszawy paru chwackich rębaczów sejmikowych, upijał się z nimi w swej melinie na Foksalu, poczem ryczeli spod stołu: — Kiszki wypatroszymy tym, co ośmielą się tknąć veto!“ (s. 177).

„Poznając bogatych mieszczan, Niemcewicz konstatawał, że ich tryb życia jest równie wyszukany, co wielu magnatów... Łykano wyłącznie wina francuskie po 7 dukatów beczułka, u sknerów węgierskie — 4-dukátowe; polskie miody uważano za prostacze pomyje — odsyłano je do kuchni...“ (s. 188, 189).

Pili i hołowali pijaństwu wszyscy. Nie było też wolne od tej przywary i duchowieństwo; były wypadki, że trudniło się nawet wyrobem i sprzedażą napojów alkoholowych!

„Dominikanie sprzedawali wino, gdy wszystkie knajpy już były zamknięte, u nich zawsze można go było otrzymać. Trynitarze fabrykowali na Solcu swój sławny miód, gospody, co go od nich brały, miały na szyldzie duży czerwony krzyż — takiz, jak zakonnicy nosili na habicie. Benoni wyrabiali świetne piwo i mieli w ogródku swego klasztoru sławną z cudów kaplicę; nie godziło się pobierać opłaty za wstęp od tłumnie uczęszczających wiernych, więc obrotni Benoni otoczyli ogródek murem, zostawiając wejście jedynie przez traktjernię. Można było odmówić litanję w kaplicy dopiero po wychyleniu kufła piwa w karczmie“ (s. 203).

„Wśród młodzieży najmodniejszą była tężyzna. Pojedynkować się o nic, przegrać pół majątku na jednej karcie, osiąść wściekłego ogiera, uwieść 6 kobiet jednej nocy, wypić antał wina — oto wyczyny, które określano, jako tężyzna i które bez zastrzeżeń podziwiano“ (s. 204).

W pierwszą rocznicę Konstytucji 3 maja odbył się szereg uroczystości, m. in. „13 maja municypalność stołeczna urządziła ucztę — monstre na 500 osób, cały Sejm upił się do nieprzytomności“ (s. 226).

Niemcewicz zwiedza w Krakowie szpital i autor robi następującą złośliwą uwagę: „Niemcewicz... z lubością oglądał Moskali rannych pod

Raławicami. — No, nareszcie po stu kilkunastu latach usiekliliśmy ko-
goś w bitwie, nie w karczmie! myślał“ (s. 272).

Jak widzimy, przyczynków i to jaskrawych do dziejów alkoholiz-
mu w Polsce zawiera praca p. Zbyszewskiego sporo.

*

*

*

Praca omawiana stanowi tylko część życiorysu Niemcewicza —
od urodzin w r. 1758 do przyjazdu jego do Filadelfji po niewoli pe-
tersburskiej w r. 1797. Ściśle biorąc, nie są to dzieje Niemcewicza,
ale szereg obrazów i migawek z epoki Sejmu 4-letniego i powstania
Kościuszkowskiego. To jest tło, na którym od czasu do czasu autor uka-
zuje nam tytułową osobę „od przodu“, albo „od tyłu“. Natomiast nie-
mal wcale nie widzimy Niemcewicza „od wewnątrz“, a szkoda, bo to
byłoby bardziej istotne i ciekawe pod względem i historycznym i psy-
chologicznym, niż niejeden buduarowy obrazek...

Autor wogóle chętnie hołduje sowizdrzałskiemu sposobowi w swej
pracy. Lekko, z humorem obwiesia traktuje najpoważniejsze rzeczy,
najtragiczniejsze sytuacje. Prawda, dawno już stwierdzono, że od tra-
gicznego jest tylko jeden krok do śmiesznego, ale ciągle „na wesoło“,
to już sowizdrzałstwo. Ratuje sytuację nerw pisarski autora, talent nar-
ratorski, ale rzecz przez to staje się tem bardziej śliska i szkodliwa.

Sowizdrzałstwo w literaturze jest wysoce niebezpieczne, prowa-
dzi często albo do nihilizmu, albo do wstecznicstwa; znamy rażące w tym
zakresie przykłady, a same sowizdrzały ku schyłkowi swego żywota bar-
dzo nie lubią cytat z okresu pierwocin swej twórczości literackiej.

To powinno być nauką i ostrzeżeniem...

Jeżeli w pracy p. Zbyszewskiego tytułowy bohater przedstawi-
ony został niemal wyłącznie od strony zewnętrznej, to nic dziwnego, że
i inne personae dramatis Polski upadającej nie zostały poddane głę-
bszej analizie. Najfatalniej, bo niezwykle jednostronnie wyszedł na tej
metodzie Stanisław August.

Niechęć autora do ostatniego króla polskiego posiada jakiś pod-
kład, powiedzielibyśmy, subiektywny; to jakiś wróg osobisty! Suche
nitki nie pozostało na nim. Odnosi się chwilami wrażenie, że celem głów-
nym i właściwym tej książki było zohydzenie króla. Niemcewicz —
to tylko sztyl i dodatek „od przodu i tyłu“, taka sobie dekoracja.

Siły i prądy pozytywne, twórcze, reformatorskie, z owej epoki
w Polsce są jakby pominięte, pomniejszone, ośmieszzone. Głucho o Koł-
łątaju, Staszicu, Jezierskim, Dekrecie i innych. Błazeństwa i arleki-
nady uwypuklone i z lubością przedstawione.

Z jakżeż wręcz odmienną oceną wartości i znaczenia Stanisława
Augusta spotykamy się u innego pisarza naszej doby: „Król był opatr-
nościowym mężem, który odrodził cywilizację, kulturę i oświatę w Pol-
sce. I to jest dostatecznym i niezaprzeczoną tytułem do wiekopomnej
chwały i wdzięczności narodu“ (J. A. Hertz: Stanisław August Ponia-
towski i Paweł I, Józefa Sliwowskiego. „Świat“ Nr 11, 1939 r.).

Korzon w „Wewnętrznych Dziejach Polski ze Stanisława Augu-
sta“ tak charakteryzuje króla: „Stanisław August, jako charakter —

niedoleżny, przesiąknięty demoralizacją wieku i otoczenia; jako naczelnik państwa, zręczny do drobnych zabiegów, do małej dyplomacji, ale bez wyższych zdolności politycznych, bez szerokiego poglądu, jasnowidzenia, bez poczucia dumy, a chociażby godności monarszej; jako obywatel, przejęty niewątpliwie miłością kraju, a jako inteligencja, człowiek znacznych zasług w sprawie odrodzenia narodu“.

Nie ulega wątpliwości, znakomity historyk miał i znał sporo więcej materiału, na którego podstawie wydał o królu swój osąd bardzo surowy, niż p. Zbyszewski; tem ważniejsza, że w wyroku jego obok słów potępienia są wyrazy uznania. Obraz człowieka jest więc pełny. U p. Zbyszewskiego — zacieklej jednostronność, monopartyjna nietolerancja, jakieś plotkarskie zacietrzewienie.

Plotkarstwo w Polsce zawsze silne, żywotne, prężne, jurne i bezczelne, a nadewszystko niemądre, wszystko i wszystkich szkalujące, nie znające nic drogiego, ani świętego — pluące na wszystko — jest objawem i cechą bezgranicznej płycizny umysłowej.

Alkowa, kuchnia, kredens i inne „ubikacje“, to miejsca, skąd zaczerpnięto klimat wielu, wielu stron omawianej książki.

Gadki i opowiadania głupiej, ciemnej szlachty, dobrze „w czubie“ mającej, stanowią podkład treściowy niejednego fragmentu.

Ani przez chwilę nie myślę bronić owej epoki przed najcięższymi oskarżeniami, ale trzeba widzieć i okoliczności łagodzące. Na życie nie można patrzeć tylko i wyłącznie z punktu widzenia oskarżyciela — otrzymałoby się obraz fałszywy. Takim stała się praca p. Karola Zbyszewskiego, patrzącego się na ludzi i sprawy jednostronnie, głównie od strony zewnętrznej, a to mało, bardzo mało.

W przedmowie do „Niemcewicz“ p. Cat-Mackiewicz pisze hymn pochwalny dla swego „Karola“, rozgrzeszając go z rąbaniny na odlew na wszystkie strony, przebacząc mu z rozrzewnieniem wszelkie trywjalności i krótko mówiąc chamstwa; tak bardzo go zachwyca, że „Karol jest satyrykiem wspaniałym“, że posiada „wielkość pióra“, polegającą na „niesłychanej jędrności i wyrazistości“.

Zgoda — chętnie i szczerze przyznajemy duże zdolności pisarskie p. „Karolowi“. Stąd też płyną tem większe: odpowiedzialność i obowiązki.

Gdy zaś mowa o satyrze — warto może w tem właśnie miejscu przypomnieć, co o niej mówił *książe poetów polskich*:

„I śmiech niekiedy może być nauką,
Kiedy się z przywar, nie osób natrzasa,
I żart, dowcipną przypawiony sztuką,
Zbawienny, kiedy szczyple, a nie kąsa...“

Niestety, nasz autor lubuje się w przyprawach *ordynarnych, kąśliwych...*

Talent, to nie glejt do bezkarnego hulania w beztroskiej swawoli *sobiepanka* Polski pańszczyźnianej, nie znającego ani obowiązków, ani wędzidel, a literatura, to nie smutnej pamięci sejmik szlachecki.

Jan Szymański.

JAK JEST ZBUDOWANY WSZECHŚWIAT?

(Na tle odczytów, wygłoszonych na „Dekadach“ w Tow. „Trzeźwość“ w Warszawie).

Czy zastanawiałeś się człowieku kiedyś nad tem, gdzie mieszkasz, gdzie się znajdujesz?

Bo o tem, gdzie jest czyjaś kamienica, czy domek, każdy wie dobrze. że znajduje się przy tej czy owej ulicy, powiedzmy w mieście Warszawie, że poza domem jest drugi dom, albo ogród lub rzeka, a nad domem dużo powietrza, chmury, krańce atmosfery...

A co dalej?

Interesujesz się, kochany, tem, co jest na podwórzu sąsiada, co słyhać w krajach ościennych, lub na kuli ziemskiej. A czy zainteresowałeś się kiedyś, czem jest ta kula ziemska, po której chodzisz? Co jest w pobliżu niej?

I co jest dalej w przestrzeni?

— Dalej mamy przestrzeń wypełnioną materją.

— Pięknie.

Ale jak to wszystko jest zbudowane, jak rozmieszczone — oto pytanie, nad którem warto się nieco głębiej zastanowić.

Więc z czego i jak jest zbudowany Wszechświat?

Może jednak ograniczymy się do ciaśniejszego zakresu, gdyż pojęcie całości Wszechświata jest czemś tak szerokiem, tak nieosiągalnem dla umysłu ludzkiego, że gdybyśmy posługiwali się tem pojęciem, to niemoc nasza ujawniłaby się już na samym wstępie rozważań. Powiedzmy sobie więc, że zajmiemy się rozpatrywaniem budowy tej części Wszechświata, która jest osiągalną dla naszego wzroku, uzbrojonego w potężne instrumenty optyczne i aparaty pomocnicze, względnie dla naszych obliczeń.

Z jakich elementów jest zbudowany poznawalny dla nas Wszechświat?

Odpowiemy krótko.

Z energii, promieniowania, materji, przestrzeni, czasu i ruchu.

Aby zrozumieć rolę i znaczenie powyższych elementów składowych, cofnijmy się myślą wstecz, ale tak daleko, aby stanąć u progu czasów, kiedy jeszcze nic nie było. Ani materji, ani przestrzeni, ani czasu.

Cóż więc było przedtem?

Energja, która dała początek materji.

Ale czem jest ta energja?

Czem jest?

Trudno odpowiedzieć. Można by rzucić banalne określenie, że energja jest jakgdyby zasobem pracy lub zdolnością wykonania pracy; niczego nam to jednak nie tłumaczy. Zamiast jednego, wstawiliśmy trzy słowa i w dalszym ciągu nic nie wiemy.

Skąd się wzięła?

Nie możemy odpowiedzieć.

Zgodzimy się jednak z większością wybitnych astronomów, z tem, że zaistniała ongiś Pierwsza Przyczyna Wszechrzeczy. że na-

stąpił akt stworzenia. Ingerencja Stwórcy wprowadza nas jednak poza granice wiedzy astronomicznej, w inną dziedzinę nauki, której imię...filozofja.

Zaczęliśmy przed chwilą rozpatrywać elementy składowe Wszechświata. Spróbujmy zatrzymać się nad tymi, które są najbardziej, że się tak wyrażę, „namacalne“. A więc materja, przestrzeń, czas i ruch.

Gdyby nie było materji, nie byłoby przestrzeni; przestrzeń bowiem istnieje tylko ze względu na zawartą w niej materję, zresztą inaczej nie moglibyśmy sobie przestrzeni wogóle wyobrazić. Przestrzeń możemy zmierzyć odstępami, jakie dadzą się wyznaczyć między dwoma lub więcej bryłami materji, naprzykład gwiazdami świata. Możemy ją zmierzyć metrem, kilometrem, czy też, co jest dogodniejsze, odległością, jaką przebiega promień światła w przeciągu jednego roku, czyli t. zw. rokiem światła. Rozległość przestrzeni Wszechświata jest jednak tak wielka, że nie jesteśmy w stanie wyobrazić jej sobie.

Czy wiecie, że do dalekich gwiazd naszego układu Drogi Mlecznej jest sto tysięcy lat światła, do najbliższej mgławicy niespełna 900.000 lat światła, a do krańców tego odcinka Wszechświata, który możemy oglądać przy pomocy lunet, jest sto kilkadziesiąt milionów lat świetlnych?

A rozmiary Wszechświata?

Podobno średnica Wszechświata wynosi ponad osiemdziesiąt miliardów lat światła.

Aż strach pomyśleć, jaka to odległość.

Słońce nasze jest stosunkowo bardzo blisko, bo zaledwie jest od nas odległe o osiem minut światła, a księżyc, świecący spokojnym światłem w nocy, jest już tak blisko, że światło dochodzi od niego do nas w ciągu czasu wynoszącego około jedną sekundę.

Proszę teraz porównać: jedna sekunda światła (300.000 km. na sekundę) i osiemdziesiąt miliardów lat światła, gdzie jeden rok światła równa się przestrzeni prawie dziesięciu biljonów kilometrów.

Gdybyśmy nawet, celem ułatwienia, zmniejszyli skalę odległości między gwiazdami miliony razy, to przestrzeń wypełniona materją będzie jeszcze tak olbrzymia, że ogromu jej nie odczujemy również mogli ani sobie wyobrazić, ani pojąć. Gdybyśmy nawet uważali słońce za pyłek maleńki, a kulę ziemską, wynoszącą 12.800 km. w średnicy, za coś tak małego, czego nawet w mikroskopie ujrzeć byśmy nie mogli, to też nie pojmiemy wielkości przestrzeni Wszechświata.

Jest w tem coś przytłaczającego.

A ilość materji w całym poznawalnym przez nas odcinku Wszechświata?

Jest tak wielka, że biljony słońc, reprezentujące widzialną materję, przysgniotą naszą najśmielszą wyobraźnię swym ogromem. Słońca czyli gwiazdy są bardzo wielkie; nasze słońce, należące pod względem wielkości i masy do ciał niebieskich średniego typu, posiada naprzykład średnicę wynoszącą prawie półtora miliona kilometrów.

Cóż nam jeszcze zostało przy rozpatrywaniu budowy Wszechświata?

Czas?

No tak. Czas — to ułamek wieczności. Ale ułamek tak wielki, że go również pojąć nie jesteśmy zdolni. Bo od początku istnienia kuli ziemskiej upłynęło około dwa miljardy lat, od początku istnienia naszego słońca parę biljonów lat, a od chwili pojawienia się materji we Wszechświecie... kilkaset biljonów lat.

Jakżeż długo będziemy jeszcze istnieć? To znaczy nie my, jako ludzkość, bo w skali Wszechświata, jako bryłki materji nie liczymy się wogóle, ale my, jako całość materji Wszechświata?

Trudno dać odpowiedź.

Może jeszcze setki biljonów lat...

Czy teraz zdajesz sobie sprawę, człowieku, czym jest czas?

Jaki to ogrom?!

A czy wiesz, że ten ogrom czasu, te setki, czy tysiące biljonów lat, są prawie niczem wobec wieczności?

A czy zdajesz sobie sprawę, czym jest twoje życie na ziemi? Tych marnych 50 czy 60 lat, czyli „wiek średni“ istoty ludzkiej, obliczony na podstawie statystyki?

I my jeszcze ośmielamy się mówić, że sto lat życia, to długo...

Marną istotą jesteś, człowiecze.

Skorośmy do tak smętnych doszli wyników, zastanawiając się nad problemem czasu, wspomnijmy również cośkolwiek o ostatnim elemencie składowym świata, a raczej o jednym z praw Wszechświata, o ruchu.

Możnaby śmiało rzec, że ruch jest jednym z zasadniczych ogólnych praw Wszechświata. że nie ma ani materji, ani promieniowania, bez ruchu.

Cokolwiek weźmiemy pod uwagę, czy świat najmniejszych istnień, czy też największych, a zatem świat bakteryj, atomów czy też olbrzymów niebieskich, wszędzie ujrzymy ruch.

Nic w świecie nie znajduje się w spoczynku.

Szybkości, które spotykamy w tym wielkim laboratorjum przyrody, co się Wszechświatem zowie, są tak wielkie, że wszystko, co w naszych warunkach ziemskich uważamy za chyże, jest właściwie w skali Wszechświata „ślizgawym chodem“.

Jeżeli sądzisz, że samolot, lecący 750 km. na godzinę jest szybki, albo kula armatnia, robiąca ponad 1000 m. drogi na sekundę, jest szczytem szybkości, to się mylisz.

Bo meteory pędzą z szybkością kilkudziesięciu kilometrów w sekundzie, a niektóre gwiazdy kilkaset kilometrów w sekundzie. Są zaś dalekie mgławice, które uciekają od siebie z chyżością kilkunastu tysięcy kilometrów na sekundę, powodując zjawisko t. zw. rozszerzania się Wszechświata.

Niejednego z Was, przyzwyczajonego do ziemskich rekordów sportowych przerażają tak ogromne prędkości astronomiczne.

Ale to jeszcze nic, mój kochany.

Promień światła, pruje bowiem przestrzeń z chyżością 300.000 km. na sekundę!

I znowu, bracie, czegokolwiek się tkniesz we Wszechświecie, to stajesz osłupiały i przytłoczony ogromem.

Materja, w niepojętej mnogości. Przestrzeń, w niepojętych rozmiarach. Czas, niepojęcie długi. No i ten ruch, niepojęcie szybki.

Jest w tym wszystkim coś, co Cię bracie zwala na kolana i łeb każe skłonić.

W pokorze głębokiej.

Przed Najwyższym Majestatem.

Nie dla tego skłaniasz głowę i korzysz się, że ten Majestat od ciebie tego wymaga, ale dla tego, że ty sam uznajesz swoją małość, wobec niezmiernych potęg.

Wróćmy jeszcze na chwilę do ruchu.

Ruch jest tym, co ożywia materję, co sprawia, że cały Wszechświat pulsuje życiem, że niema ani jednego zakątka w bezmiernym oceanie przestrzeni, gdzieby drgań, krążeń, lub obrotów nie było.

Jak w żywym organizmie.

A może Wszechświat jest właśnie takim żywym organizmem, przeogromnym, w niepojętej skali, w którym to organizmie nasze słońce wraz z gromadą planet jest małą komórką, a nasza ziemia jest jak gdyby atomem?

W takim razie czemże my jesteśmy?

My, ludzkość.

Taka myśl rodzi się w zakamarkach mózgu, takie pytanie ciśnie się nam na usta.

My, ludzkość?

Ta ludzkość cierpiąca i miłująca, pyszna, kłamliwa, cicha, zhi-steryzowana, chamska, bogata, biedna, harda i pokorna. Wszyscy ludzie pomieszani razem. Stłoczeni razem, na drobniuchnym pyłeczku Wszechświata, który się kulą ziemską zowie.

My, ludzie, z takich samych atomów zbudowani, jak Wszechświat, z takich samych cegiełek.

Czem więc jesteśmy?

Odpowiedzieć wam?

Jako małe bryłki materji w porównaniu z bezmiarem materji Wszechświata, nie znaczymy nic; jako odcinek czasu, przedstawiający długość naszego życia w porównaniu z nieskończonością wieczności, także nic; jako zasób energii, w stosunku do potencjału Wszechświata, też nic. Jesteśmy poprostu czemś tak małym, tak malusieńkim drobiazgiem, przenikającym w dodatku na wylot wszelkiego rodzaju promieniowaniem, że nie liczymy się wogóle w olbrzymim gmachu odcinka Wszechświata. A cóż dopiero wobec całości Wszechświata!

Czy zdajesz sobie teraz sprawę z tego wszystkiego, zarozumiały, nadęty, zapatrzony w siebie, człowieku?

Że nic nie znaczysz, że się nie liczysz?

Że ciało twoje, to jedno wielkie zero?

Zastanów się nad tem głębiej.

Ale się nie martw, człowieku.

Znaczysz więcej niż energja i materja Wszechświata, niż przestrzeń i czas.

Bo jesteś Istotą myślącą, a myśl twoja wypływająca z nieśmiertelnego Ducha jest szybszą niż promień światła w przestrzeni, przenika materję, jest niezależna od czasu. Jeżeli Istota myśląca zechce,

jest najzupełniej oderwana od tych elementów, z których Wszechświat jest zbudowany. Jest nawet poza materją, poza przestrzenią, poza czasem.

Istota ta jest twórcza, nieśmiertelna, świadoma siebie i swego pochodzenia, oraz celu, do którego zdąża.

Cel jej spoczywa w Wieczności.

I choć nadejdzie kres wszechrzeczy, kiedy materja, przestrzeń i czas przestaną istnieć, kiedy z energii śladu już nie będzie, kiedy ruch ustanie, a promieniowanie zamrze w martwocie..., to Duch nasz obdarzony myślą świadomą, będzie dalej trwał i nie umrze nigdy.

Bo celem materji jest rozpad i śmierć, a celem Ducha jest życie.

*

Dalsze rozważania na temat szczegółowej budowy świata będą kontynuowane w następnych numerach „Trzeźwości“.

Dr Piotr Radło.

Z W R O T N I C A.

Kulpik zrazu szedł torem, potem skręcił na przełaj lasem, aby pędeż. Obejrzał się na swój domek... Nikłe światełko migotało w oddali... Stara Wawrzyńcowa ułożyła dzieci spać, a sama przycupnęła koło pieca, odmawiając różaniec...

Miał dwie i pół godziny czasu. Na ślub nie mógł się wyrwać — trudno — służba, ale na wesele zdąży. Żona już od rana poleciała pomagać matce, nie dziwota, że kobieta czasem chce się rozerwać, a przytem siostrę, pannę młodą, musiała sama ustroić w mirty.

Dziś Kulpik jest kontent: na stacji powiedziano mu, że jego próba o przeniesienie zostanie rozpatrzona przychylnie ze względu na nieskazitelną służbę. Może już na Wielkanoc przeniosą go na inną linię, koło Grodna, to i pensja większa i zawsze bliżej wielkiego miasta, a dzieciaki muszą się uczyć... Choć i tu nieźle mu się wiedzie, wprawdzie Zieleniec zakazana dziura, alic przyzwyczał się... Tu była jego pierwsza posada na kolei, tu ze swoją Felcią dochował się czterech chłopaków... Zawsze to jedenaście lat... Cenią go, uważają... Naczelnik nigdy mu inaczej nie powie — tylko: „kochany panie Kulpik, liczę na pana, wiem, że panu można zaufać...“ I krowę trzymają i parę świniaków... ma kilka zagonów pod jarzyny... Dobrze jest! nie może narzekać... Śnieg zaczął znów padać... minął wąską uliczkę i znalazł się na rynku. Zdaleka dochodził cieniły głos skrzypiec i grube porykiwanie basetli: bu, bu, bu...

Aha! Josek z bratem grają... Zabawa idzie na całego...

Wszedł.

Dwa pokoje za sklepem nabite były gęsto, przez zapocone szyby dzieciarnia zaglądała do środka, gdzie w jadalni przy stole starsi posilali się wesoło, a w drugim młodzież hasała, co sił w nogach.

Zjawienie się Kulpika powitano głośnym krzykiem. Ściągnięto zeń półkożuszek, wyrwano kij z ręki, usadzono no krześle.

— Szwagierku, ledwieśmy się doczekali, Felcia co i raz wylatała, czy nie idziesz... Śmiała się panna młoda.

— Musisz nas dogonić, myśmy już tu zdrowo podjedli i wypili... no, za pomyślność młodych — siup!...

Tręcili się kieliszkami.

— Jeszcze go raz! oby mieli ładne dzieci!...

— W kompanji ja nie od tego... ale dziś służba, na dwunastą „Kurjer“ idzie...

— Toć dwoma kieliszkami się nie upijesz... pij, bracie!... — zachęcał pan młody, palacz przy maszynie. — Ja wiem, służba nie družba, a człowiek w naszym kolejowym stanie musi być trzeźwy!...

— Ale ja widzę — śmiał się Kulpik — że ci już dobrze z czupryny się kurzy...

— Abo mi to nie wolno? Z okazji małżeństwa mam trzy dni urlopu, więc...

— Antoś — wołała żona — czy ty nie zauważyłeś, kto tu dziś jest? Nie poznajesz? Krewniak naszego organisty... pan żurek...

— Boże święty! co za niespodzianka!

Dwaj kamraci rzucili się sobie w objęcia.

— To wy się znacie?... — zdziwił się organista.

— Jeszczeby też!... a toć my podczas wielkiej wojny, jeszcze tyli szczeniaki — przez dwa lata byliśmy w jednej rocie, a potem w 20 roku pod Radzyminem ramię przy ramieniu praliśmy bolszewików — pamiętasz, Antek?...

Uścisnęli się raz jeszcze.

— Słuchaj, Filip, a pamiętasz te kury, cośmy zafasowali w tej wsi nad... nad... jak tam jej było?...

— Bagatela!... A te konserwy, ściągnięte Austryjakowi... wiesz...

— Oho! jak pan żurek zacznie mówić o wojnie — to końca nie będzie... Chodźmy lepiej do tańca — zachęcała młoda Klimczakowa. — Pani Antoniowa, albośmy to stare baby? Jazda, panowie, jazda!...

— Antoś, tak dawnośmy nie tańcowali — chodź!...

— No, dalej, Antek, poskikaj z żoną, a toć ledwie ze skóry nie wyskoczy...

Zabawa była coraz weselsza, ale w miarę, boć to byli sami znakomici mieszkańcy Zielenca: kupcy, dróżnicy, kolejarze, nawet sam pan telegrafista przyszedł i obtańcowywał pannę młodą, aż drzazgi leciały z podłogi.

Rozgrzane pary chłodziły się piwem, lub wypadały do sieni, bo w pokojach było napalone, jak się patrzy.

Antoni rozochocił się jak nigdy, pił piwo w kratkę z wódką, tańczył i wspominał z żurkiem dawne dzieje... Głowę miał mocną, ale coś nie coś go zamroczyło. W pewnej chwili, gdy zmęczeni muzykanci odpoczywali... spojrzął mimowoli na zegarek.

— Rety! a toć za pół godziny kurjer... dowidzenia całej kompanji.

— Ale, Antoś, przyjdiesz potem?... jakże to...

— Rozumie się, tylko nastawię zwrotnicę... muszę się śpieszyć.

Złapał czapkę, kozuch, — i już go nie było.

Teraz pędził torem, wiatr świstał mu koło uszów... płatki śniegu lepiły się do twarzy... Wpadł zdyszany do domu... było cicho, wszyscy spali.

Uspokoił się, poszedł do zwrotnicy, pochwyił za żelazną rączkę, ale przemarżnięty aparat źle działał, szarpnął raz i drugi... mroczyło mu się w oczach... nareszcie!... zajaśniał sygnał... jeszcze pięć minut... Zdala dochodził przytłumiony turkot... jakże dobrze znał ten dźwięk... Monotonny odgłos pędzącego pociągu ukołysał go, oparł się o słup telegraficzny i przymknął oczy... Rozbudził go gwałtowny pęd wiatru... w przymknięte powieki uderzyły dwa jaskrawe światła. Snop iskier rozpylił się na czarnem tle nocy — i potwór, dysząc i sapiąc, przemknął z błyskawiczną szybkością...

Przecież na takim przystanku, jak Zieleniec, nie zatrzymuje się... Wiadomo... kurjer... Pomanipulował znów coś koło zwrotnicy i wszedł do domu. Nieprzeparta senność znów go ogarnęła.

— Trza wracać po Felcię, a tak mnie morzy... piwo było mocne... mruknął i przysiadł pod piecem i znów zadrzemał. Nagłe szarpnięcie kazało mu otworzyć oczy.

— Co, co? Czego?

Przed nim stał czternastoletni wyrostek, syn dróżnika z trzeciej wiorsty.

— Panie! panie Kulpik... — ciągnął go za rękaw — ojciec mnie tu przysłał... kurjer... o Jezu...

— Co? gadaj!

— A toć katastrofa... nie pan nie słyszał? Kurjer wpadł na towarowy, co stał na stacji... ludzi poginęli... pięć wagonów rozbitych...

Kulpik wytrzeźwiał odrazu.

— Gadaj, Szymek, po ludzku, jak się to stało? — pytał, drżącymi rękoma zapinając kożuch.

— Niech pan idzie — tam ratunek potrzebny... ludzi z pod gruzów wyciągać... już depesze rozesłane... Słyszałem, jak krzyczał naczelnik, że zwrotnica była fałszywie nastawiona, dlatego...

— Leć! ja zaraz... dogonię cię, leć...

Chłopak zniknął w ciemnościach.

Antoni po chwili wybiegł, przy zwrotnicy zatrzymał się, jakby tknięty jakimś podświadomym przecuciem, latarka chybotąła mu się w dłoni... oświetlił nią żelazne wiązania i zdrętwiał... z gardła wydarł mu się zdławiony skowyt...

Nacisnął czapkę na uszy i gnał torem ku stacji... buty ślizgały się po oszklonych lodem podkładach... w głowie przelatywały jak huragan oderwane pojęcia: katastrofa, komisja... wyrzucenie z posady, żona, dzieci... na bruk... on do więzienia...

Dopał do lasku przy budynku stacyjnym i zatrzymał się nagle... ostrożnie, aby nie być spostrzeżonym, przesunął się od drzewa do drzewa, chowając się za pnie... Wyteżył wzrok: kupy żelastwa, spiętrzone wagony... jak ogniki świętojańskie, migają latarki... szybko, szybko... urywane głosy ludzi... rozkazy: podważaj... daj kilof... prędzej... i zduszone jęki i rozdzierający krzyk i stokroć gorsze milczenie.

— Przemennie, przemennie... — tłucze mu się w mózgu — tyle ludzi, tyle ludzi... Jezu... Po raz pierwszy myśli o nich, o ich cierpieniach, o bezmiarze bólu ich bliskich...

Jutro... co jutro?... Ranny „Expres“... Straszna katastrofa... jego nazwisko, jego ucziwe dotychczas nazwisko... pijany zwrotniczy spo-

wodował ten straszny wypadek... tak napiszą... Ależ... on nie był pijany... Pamięta... tylko trochę podgazowany... przecież nigdy się nie upijał... Więc co? Jedna chwila... był przecież przytomny, a jednak... jednak chwila...

Czuł w głowie zamęt, ból straszliwy ścisnął mu gardło... Rozejrzał się bezradnie wokół... zęby mu szczękały...

Podniósł oczy w górę... jasno świeciły gwiazdy, a tuż zwieszała się gruba gałąź, osypana śniegiem...

Drgnął.

Po chwili powoli, spokojnie odpiął rzemień od spodni i zarzucił na drzewo... posypały się chłodne kryształki...

— Gdzie Kulpik? gdzie Kulpik? — wściekał się naczelnik, biegnąc od jednego do drugiego robotnika.

Peron był zawałony rzeczami, rannymi, tłumem ciekawych... Przybyli lekarze i sanitariusze naprędce opatrywali nieszczęśliwych, na bocznym torze stał już wagon, aby odwieść ich do szpitala, odległego o 30 kilometrów. Mężczyźni z miasteczka na ochotnika odwalali szczątki wagonów, szukając ofiar katastrofy. Z tłumu, który oblegał gruzy, donosiły się westchnienia i cichy płacz.

W małym pokoiku nad aparatem telegraficznym pocił się młody człowiek, wystukując bez końca litery, zdania, okresy...

Oparta o ścianę stała Antoniowa bez kropli krwi w twarzy, przed chwilą niesiono obok niej małą dziewczynkę w białym futerku ze zwieszoną główką i połamanymi nogami. Obok szła, chwiejąc się, ocalała cudem matka, łkając rozpaczliwie. Porozbijane bagaże, szczątki waliz, drobiazgi toaletowe wały się w śniegu, na jasnej aksamitnej sukni leżała oderwana ręka kobieca ze wspianiałym szmaragdem na palcu.

— Gdzie Kulpik?... — zabrzmiało tuż koło niej. Poruszyła zsiniałymi wargami.

— Byliśmy na weselu siostry, panie naczelniku, ale on dawno już poszedł nastawić zwrotnicę... potem już go nie widziałam...

— Nastawić, nastawić... ślicznie nastawił!... — wybuchnął naczelnik — i cała nagromadzona wściekłość spadła na głowę kobiety. — Macie wesele, macie... A ja odpowiadam... Psia krew!... na nikogo liczyć nie można... Zabawy, pijaństwo...

— Ale, panie, on nie pije...

— Więc co, co? do cholery!... szukać mi go! Muszę go mieć!... zaraz zjedzie komisja...

Blady, zimowy świt przedzierał się przez chmurne niebo... tor jeszcze nie był uprzątnięty, ale rannych i zabitych wyciągnięto już z pod rumowisk... teraz, za chwilę mieli zjechać kolejowi dostojnicy, już jadą, naczelnik dystansu i inni. Zawiadowca zżółkły, z sinemi kręgami koło oczu, trzyma się za prawy bok, czuje zbliżenie się ataku wątroby, a tu „oni“ jadą, a tu nie można znaleźć Kulpika.

Ludzie rozbiegli się, szukają wszędzie, w domu, na stacji, telegrafują do okolicznych przystanków... Może uciekł, może...

Kilku pobiegło przeszukiwać las... Szymek mówił, że przecie szedł do Zieleńca. Kulpikowa z suchemi oczami, rozgorączkowana, idzie za nimi.

Na zakręcie, gdzie gąszcz największy, stary Azor zatrzymał się i szczerknął...

— Szukaj, piesku, szukaj pana... — woła Antoniowa...

Pies węszy, obiega wokół, wreszcie znika za drzewami, tylko słysząc jego żalosne wycie.

Kobieta leci w tę stronę, chustka spadła jej z ramion, nie czuje tego, leci za głosem psa.

Pod oszronioną lipą siedzi Azor, podniósł pysk w górę i płacząco zawodzi... na gałęzi wisi człowiek...

— Jezu!... — przeraźliwy krzyk.

Ludzie nadbiegają.

— Walek, tnij... może żyje...

Parę uderzeń toporem, sztywne ciało ciężko wali się na ziemię...

— Ale!... żyje ci... a toć zmarzył już na amen...

Pies przywarował i skomli cicho, przerażony.

Kobieta przypada do trupa, wpatruje się w białą, zeszywniałą twarz i woła nieprzytomnym głosem:

— Antoś, Antoś, coś ty zrobił?...

Szloch.

— Antoś... co teraz z nami będzie?...

Z drzew lekko osypywał się biały puch...

J. Mori.

OBRAZKI Z ŻYCIA.

I.

Poza Chelmem w kierunku Kowla Wołyńskiego grunta chłopskie nie są tak urodzajne i bogate, jak np. w Lubelszczyźnie: są piaski, błota, a tylko łąki nadburzańskie są dobre.

Ale nie są to jeszcze grunta najgorsze, i przy pewnym wysiłku i pracy, po zastosowaniu nawozów sztucznych, można oczekiwać dobrych plonów, można nawet mieć pewien dobrobyt.

Dlatego też zdziwiłem się, że chłopci tu są tak bardzo biedni, tak bardzo wynędzniali. Dlaczego tak jest? zapytałem się miejscowego działacza społecznego, prezesa Oddziału Strzeleckiego.

— Nic dziwnego, odpowiedział, przecież to zasiane zboże, oziminy, i to, co będzie zasiane na wiosnę, to przecież nie jest chłopskie.

— A czyje? — zapytałem.

— Żyda karczmarza.

Tak, niestety, to jest prawda.

Karczma we wsi jest tym bankiem, który nie sieje, nie żnie, a zbiera plony.

— Widzi pan, chłop wynędzniały, wyniszczony, znajduje uciechę tylko w butelce wódki.

A żyd - karczmarz chętnie mu daje tę butelkę wódki. Daje bez pieniędzy, sam zaprasza, tylko... każe podpisać zobowiązanie, że zapłaci zbożem, które zbierze w jesieni. I, rozumie pan, wszystko zebrane zboże, ziemniaki, krowa, ptactwo domowe, wszystko idzie na pokrycie długu, zaciągniętego u karczmarza, a chłop na zimę pozostaje bez niczego, więc znów zaciąga dług w karczmie, z rozpaczu pije, i nie może z tych sidła wydostać się.

To jest tragedia chłopska.

Dlatego też niezbędne jest jaknajszybsze uświadomienie chłopu.

Przyjeżdżajcie na wieś, uświadamiajcie chłopu, dopomóżcie mu wybrnąć z nałogu pijaństwa. Nieprawdą jest, że chłop jednym uchem słucha, a drugim wypuszcza, że chłopu żywioł, to wódka. Chłop dobre słowo, dobrą radę przyjmuje.

Chłop nie chce pić, ale cóż, kiedy mu za cenę picia karczmarz doradźnie dopomoże: obłudnie, podstępnie, aby zniszczyć piciem jego majątek, ciało i duszę, ale dopomoże, choć wie, że to go zgubi, jak zgubiło już wielu innych.

Rzeczywiście, jak dużo jest do zrobienia na polu uświadamiania obywatela polskiego o zgubnych skutkach alkoholizmu, a jakże mało jest bojowników o trzeźwego Polaka. Odczuwam zbiorowy wstyd, jakże mało my w tym kierunku robimy.

II.

Parobek Bartek był dobrym robotnikiem. Silny nadzwyczaj, sumienny, no i pracowity. Chociaż i płacono mu więcej, jak innym parobkom, ale i robił za trzech.

By zachęcić go do jeszcze większych wysiłków, gospodarz zaczął mu dawać wódkę.

Skutek jednak był wręcz przeciwny. Im więcej Bartek pił, tem mniej robił. Już nie raz gospodarz zastawał go śpiącego, lub tylko leżącego w czasie najlepszym na koszenie, już się i obudzić rano nie chciał; wyraźnie chłopak się psuł.

Pewnego razu łyknął Bartek wódki z butelki i zasnął na łące, a niezakorkowaną butelkę we śnie przewrócił i wódka wylała się. Po przebudzeniu się, chciał jeszcze łyknąć, a spostrzegłszy, że nic w butelce nie ma, zaklął siarczyście, cisnął butelkę o ziemię i zły był na siebie.

Gdy rano, na drugi dzień, przyszedł na to samo miejsce, stanął, spojrzął i zdumiał się: tam, gdzie leżała butelka i wylała się wódka, trawa była wypalona na popiół. Ani źdźbła nie było. Wziął trochę ziemi do rąk — i ziemia była przepalona, czarna, a czuć było jeszcze zapach wódki.

O, choroba, powiedział Bartek. To ona, wódka tak pali, że i trawę i ziemię pali?

A toż ona i moje wnętrzości tak przepali! To ja mam pić taki ogień? A niedoczekanie! Nie chcę pić, nie będę pił!

I grzmotnął o pobliską gruszę przyniesioną dziś nową butelkę z wódką.

Zdziwił się gospodarz, kiedy Bartek odmówił picia wódki, ale gdy mu opowiedział Bartek zdarzenie z rozlaną wódką, zastanowił się, a po namyśle i sam zdecydował nie pić.

Tak Bartek wyleczył od picia wódki i siebie, i swego gospodarza.

III.

Słynny kaznodzieja O. Jezuita R. opowiadał prawdziwe następujące wydarzenie.

Na lato do majątku rodziców zjeżdżało się bardzo dużo osób: krewnych i znajomych. Był w majątku osioł, używany do wozenia wody.

Osiół tak był przywiązany do ludzi, że codzień, kiedy pod wieczór wszyscy gromadą szli na spacer, zawsze szedł i osioł, ocierał się o każdego i w ten sposób wyrażał swe zadowolenie.

Pewnego razu szwagier księdza, chcąc przekonać się, jak osioł zareaguje na alkohol, przemocą wlał mu do gardła trochę zwyczajnej wódki.

Osiół wpadł w szał. Skakał, gryzł, ryczał, a później położył się w ogrodzie na ziemi i przez trzy dni nie wstawał.

Na czwarty dzień podniósł się, był wychudzony, chwiał się na nogach, poszedł do studni i z koryta pił i pił wodę, zdawało się, bez końca. Od tej pory żadną siłą nie chciał iść na spacer.

Po upływie dwu tygodni, kiedy wszyscy już zapomnieli o przygodzie z osłem, gdy całe towarzystwo szło na spacer, w oddali usłyszano tętent, a za chwilę zobaczono pędzącego osła, który dopadłszy do ludzi, wyraźnie kogoś szukał, a spostrzegłszy szwagra, rzucił się na niego, strącał, gryzł, kopał, jakby się wściekł.

Z trudnością obroniliśmy szwagra od wściekłego, a przed tem tak łagodnego osła.

Tak osioł zemścił się za upojenie go wódką.

IV.

Gwałtowny dzwonek wyrwał mnie z poobiedniej drzemki. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem okropnie wzburzonego, starszego poważnego, znajomego pana, który dygotał zębami i nie mógł wymówić słowa.

— Co się stało? — zapytałem. — Jakieś nieszczęście, kto bliski umarł, czy co innego? Niech że pan mówi.

Wszedł, upadł na otomanę i dłuższy czas tak siedział.

Podąłem mu wody, a gdy się nieco uspokoił, powiedział:

„Panie Naczelniku, proszę mnie ratować, proszę mi pożyczyć sto złotych. Widzi pan, nie mam obrączki. Zastawiłem ją w restauracji. Ja, abstynent, zastawiłem obrączkę w knajpie. Czy to nie straszne?”

— Nic nie widzę straszego, — odpowiedziałem, — myślałem, że coś gorszego się zdarzyło. Ale niech pan opowie, jak się to stało.

— Po załatwieniu interesów, rozpoczął przybyły, wyszedłem z instytucji, do której przyjechałem i spotkałem wychodzących pięciu poważnych panów, którzy zaproponowali wspólne zjedzenie obiadu. Zaznaczyłem, że nie posiadam przy sobie pieniędzy i że jako abstynent, nie

chodzę do restauracji, ale dla towarzystwa mogę pójść razem i zjeść skromny obiad.

W restauracji panowie ci zamawiali różne zakąski, wódki, konjaki, wina, likiery, obiad, czarną kawę i t. d., a następnie, chociaż nic nie piłem, nie widziałem, kiedy, po jednym wszyscy ulotnili się.

Poprosiłem o rachunek i przeraziłem się, kiedy za jeden zamówiony sznycel kazano mi zapłacić 110 zł., tyle bowiem wynosił rachunek za napoje i jedzenie, zamówione przez moich współbiedniaków, którzy, wychodząc, powiedzieli, że ja ureguluję rachunek.

Pożyzyłem mu sto złotych. Wykupił obrączkę i po kilku dniach dług zwrócił. Ale odchorował „ten wstyd“, jak zaznaczył. Panom tym publicznie nie podał ręki Roześmieli się na to.

Takie to poczucie honoru i godności osobistej jest u inteligentnych pijaków.

Radom, w lutym 1939 r.

Byłem w Wilnie na „Kaziuku“.

Już w nocnym pociągu w drodze z Warszawy do Wilna odczuwał się przedsmak „Kaziuka“. Wagony były przepełnione. Marzeniem było dostać miejsce siedzące i chociaż po 10—12 osób było w przedziale, na korytarzu było również pełno ludzi.

Cieszę się, że to potrwa tylko jedną noc.

Poza Grodnem nowa przyjemność — śnieg, sanna i mróz, a ja w lekkiej jesionce, gdyż w Warszawie było zupełnie ciepło. Ale widok drzew ośnieżonych, oszronionych, w promieniach wschodzącego słońca jest tak wspaniały, że zapominam o nieprzespanej nocy i o mrozie i o lekkim ubraniu.

Nareszcie i Wilno, piękne miasto, nasza północna stolica z cudownym obrazem Matki Boskiej w Ostrej Bramie i wielu pamiątkami historycznymi.

Przy wspomnieniu o Wilnie zawsze stają przed oczyma: Góra Zamkowa z ruinami zamku, z przepięknym widokiem na: Wilejkę, na Wilję, na całe miasto i na dalekie okolice; majestatyczna, piękna Bazylika, przepiękny kościół św. Anny, o którym Napoleon powiedział, że pragnąłby przenieść go na dłoni do Paryża; bajeczne rzeźby w kościele św. Piotra i Pawła na Antokolu, fundacji Paca, które to rzeźby czterech mistrzów włoskich wykonywało w ciągu jedenastu lat, a zany fundator kazał ciało swoje pochować u progu kościoła i wybić na płycie napis: „tu leży grzesznik“.

Siedemnaście innych kościołów, pięknych, zabytkowych.

Miasto tak bardzo związane z historją Polski: Giedymina, Olgierda, Kiejstuta, Jagiełły, najazd moskiewski 1654 r., czasy Mickiewicza, filaretów, filomatów, czasy Murawjewa, wszystko to wspomni człowiek, dojeżdżając do Wilna.

Kochane, drogie każdemu Polakowi — miasto.

Od maja r. 1936, kiedy to na cmentarzu na Rossie, u stóp Matki pochowane zostało serce największego Polaka, wskrzesiciela Polski

Niepodległej ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego, miasto to dla nas Polaków jest tysiącokrotnie piękniejszym i droższym.

Najpierw, jak to czyni każdy przyjezdny katolik, udaję się do Ostrej Bramy. Z oddala dolatują z kaplicy tony cudownego pienia i tony organów. Ludzie klęczą na ulicy. Tłok okropny, jednak dostaję się na schody, wiodące do kaplicy, ale tu ciżba, ludzi gorliwie modlących się, płaczących ze szczęścia. Prawosławni biją „pokłony“, unieci modlą się po rusku, ale wszyscy w ekstazie, w zachwycie. Spojrzałem w okno: jak okiem sięgnąć — ludzie klęczą na ulicy na śniegu i modlą się.

Zaiste rzadki i niezapomniany widok.

Po skończonem nabożeństwie przedostaję się jednak do kaplicy, by u stóp cudownego obrazu pomodlić się i złożyć hołd Królowej Korony Polskiej.

Lubię chodzić krętymi, wąskimi uliczkami Wilna. Mają one jakiś swoisty urok, przenoszą myślą w czasy odległe.

Wchodzę na Górę Zamkową. Tu można siedzieć całymi godzinami i podziwiać piękną panoramę. Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie. Nic dziwnego, że Wieszczy nasz tak bardzo ukochał ten piękny kraj...

Raptem roześmiałem się w głos, aż nieliczni spacerowicze spoglądać zaczęli zdziwieni. Nic dziwnego, przypomniałem sobie „Nagrodek“, wiersz Kondratowicza:

NAGROBEK OBYWATELOWI

D. O. M.

Bił chłopów pałą,	Z którym rozważa:	I w ciemnym grobie,
Poił gorzałką.	Czy będą wojny?	Spoczywa sobie,
Miał sto chat z górą,	Czy czas spokojny?	Nim wieki zbiegą,
Jał barszczyk z rurą.	Zjadł na śniadanie	Tnie chrapackiego.
Popijał piwo,	Udo baranie,	Aż głos anioła:
Zbierał grosiwo.	I witych w cieście,	— „Wstawaj!—zawoła —
Czasem od święta,	Kołodunów dwieście.	„Bo już gotowa...
Ciął się w karciecia.	Tak z niestrawności,	„Pieczeń wołowa!“
Miał arendarza,	Doszedł wieczności.	

Ale i czas na „Kaziuka“. Łukiszki, gdzie właśnie obchodzony jest „Kaziuk“, wyglądają dziś, jak wielkie mrowisko.

Ogromny plac czworokątny, dokoła kilkaset kramików, z często powtarzanymi wymownymi napisami: „Kramik chrześcijański — to podstawa handlu polskiego“, lub też „Kupując w kramie chrześcijańskim, dźwigasz Polskę wzwyż“ i t. p.

Góry tradycyjnych obwarzanków „Smorgońskich“, bardzo smacznych, waniljowych, mniejszych i większych, oraz pierniki, lukrowane w kształcie serca, to artykuł tu dominujący.

Wszyscy noszą wiązanki obwarzanków: dzieci, dorośli, panny, mężatki, starszki, starcy, studenci, urzędnicy, wojskowi — wszyscy.

Na ulicy, w kościele, w cukierni, restauracji, w teatrze, wszędzie pełno ludzi z obwarzankami.

Ceramika wileńska, obrazki, zioła lecznicze i moc zabawek dziecięcych — bardzo ładnych, dowcipnych i tanich, mają również sporo nabywców. Tłok okropny, lecz porządek wzorowy. Twarze uśmiechnięte, zadowolone, nawet i podczas zbyt silnego przyciśnięcia w tłoku. Nawoływania, zachwalania towaru, tworzą zgiefk okropny: „Amerykańskie jojo za jedne 5 lub 10 groszy“, woła chłopak, puszczając przy tym pod nos przechodnia ładne „jojo“. „Każdy pełny numer wygrywa“, krzyczy uczeń harcerz, nawołując do udziału w loterii.

„Zioła lecznicze“, „lubczyki“, które cuda tworzą“, zachwala kupiec.

W tem: „Serce jęczy, kochać chce się. A kochania nie ma“, za-wodzi piosenkę jakiś przybyły z prowincji młody człowiek.

„Proszę siadać, proszę gadać, proszę nasze córki kochać“, zaprasza kokieteryjnie właścicielka herbaciarni.

„Dziękuję, coś nie chce się“, odpowiada dorodny młodzieniec.

„A mówiłem Panu, Panie Jasiu, że w tłoku złamie Pan swoje serce, ot i jest połamane“. „Od Pani, Stasienko, zależy, by moje serce nie było złamane, a piernikowe serce — głupstwo, zaraz kupię drugie“.

Ukazał się raptem pochód „Kaziukowy“. Samochody ciężarowe, barwnie przystrojone, z olbrzymimi figurami - piernikami, palmami, wyrobami z wileńskiego lnu stanowią ciekawy korowód. Najdowcipniejszy, artystycznie wykonany osioł w okularach, patrzący na dobre książki, i rozpaczający, że dotychczas nie czytał tych książek.

A później, korowód słoni żywych, specjalnie sprowadzonych z Warszawy. Wesolo i barwnie.

Całe Wilno jest na „Kaziuku“. Nawet w szpitalu nie zastałem znajomych, chorych, lecz odnalazłem ich na „Kaziuku“.

Przybyli dziesięcioma popularnymi pociągami goście z całej Polski, oraz przybyli sańmi mieszkańcy z okolic nawet oddalonych o 60—100 kilometrów.

Jest to, bowiem, okazja do spotkania znajomych i krewnych.

Przy kramiku „4-tej drużyny Harcerzy Wileńskich“, tłok okropny. Dorodni harcerze nawołują do kupowania biletów na loterię: „za jedne 30 groszy, każdy pełny bilet wygrywa“. „Panie, ale ja już pięć biletów kupiłam i nic nie wygrałam“, woła poważna Pani. „O, ten szósty, proszę Pani, to napewno pełny, więc wygra“, woła niezrażony harcerz.

„A ja wygrałem, więc wypijemy“, woła jakiś jegomość, tuż odkorkowuje butelkę i pije duszkiem, poczem, podaje butelkę koledze. Przypatruję się: „Vermuth-Gingano“. Jak to, harcerze sprzedają „Vermuth“, napój alkoholowy, zapytuję? „E, Panie, tam i koniaczek i czysta wyborna jest, dlatego i tłok tu jest taki, odpowiada jakiś jegomość“.

Rzeczywiście, wewnątrz widać pełno butelek.

Zwracam się do harcerzy z zapytaniem: „cóż to, harcerze, alkohol sprzedajecie?, chciałem grać u was na loterii, ale wobec tego nie będę“.

„Ale my sami nie pijemy“, tłumaczą się harcerze, jest to przy-
jęta do loterii“. Dziwne, że komenda harcerzy pozwoliła na to.

Ponieważ loterji takich było dużo, coraz częściej spotykają się podpici mężczyźni, a nawet i kobiety. Widok się psuje. Wstręt bierze, gdyż słyhać hałasy i nieprzyzwoite wyrażenia. Czuję wielki żal do harcerzy 4-tej drużyny i wstyd za nich.

W stołówce, dokąd udałem się na obiad, tłoczno i gwarno. głosy podniecone.

Przy oknie przyzwoicie ubrane towarzystwo: pani ze srebrnym lisem i trzech panów, wszyscy zupełnie pijani, zwłaszcza pani, młoda, przystojna, a jakże cyniczna, co za wyrażenia, a gesty... jak u dziewczki ulicznej.

Kto to taki? zapytuję się kelnerki. żona znanego pana X.

Ale męża tu niema, a ci panowie, to również znani na tutejszym bruku: ten, którego obecnie ta pani tak ścisza i całuje, ma sprawę sądową i napewno trafi do więzienia.

„Pijana kobieta gorsza od wściekłego psa“, dodała kelnerka, splunęła w stronę pijanego towarzystwa i odeszła.

W cukierniach tłok, nie ma wolnych miejsc przy stolikach. Wstąpiłem do cukierni Jugosłowiańskiej na wschodnie smakołyki. Wszyscy tu piją „Buze“ napój bezalkoholowy, z prosa i włoskich orzechów, szeroko rozopwszechniony na wschodzie, przegryzając chałwą. Mam wrażenie, że napój ten jednak zawiera alkohol, gdyż dużo jest tu osób podchmielonych. Poprosiłem o szklankę herbaty, którą podano mi z nieufnością.

Ale już i wieczór, czas na dworzec, do pociągu, i w drogę powrotną. Na dworcu kolejowym, w restauracji I-ej klasy publiczności pełno. Weszło jakieś towarzystwo. Pani i jeden pan mocno podchmieleni, a drugi pan kompletnie pijany. Ten ostatni podszedł do bufetu i głośno zaczął coś mówić do kelnera, a wkrótce zaczął ohydnie wymyślać nieprzyzwoitemi słowy; podobno, jak twierdził właściciel bufetu, uderzył nawet kelnera. Ale co się zaczęło dziać później, to przechodzi wszelkie pojęcie. Trzech kelnerów, zdaje się, że trzeźwych, zaczęło bić pijanego pięściami po głowie, po twarzy, targać z całej siły za włosy, znęcać się nad chorym, bo nieprzytomnie pijanym człowiekiem.

Siedzący przy mnie starszy urzędnik DOKP sprowadził policjanta i położył kres bestjalstwu kelnerów.

Jak mnie informowano, pijany pan ma bezpośredni wpływ na wychowanie dzieci i młodzieży. Zaiste, daje dobry przykład taki wychowawca.

Tak piękne uroczystości i obchód „Kaziuka“ musieli spaczyć, zohydzić ludzie niepohamowani w używaniu alkoholu.

Zdenerwowany poszedłem do wagonu. Tu mi szczęście sprzyjało, gdyż i miejsce znalazłem, i w całym przedziale, w którym ulokowałem się, jechali tylko sami abstynenci.

Czy doczekamy się „Kaziuka trzeźwego“

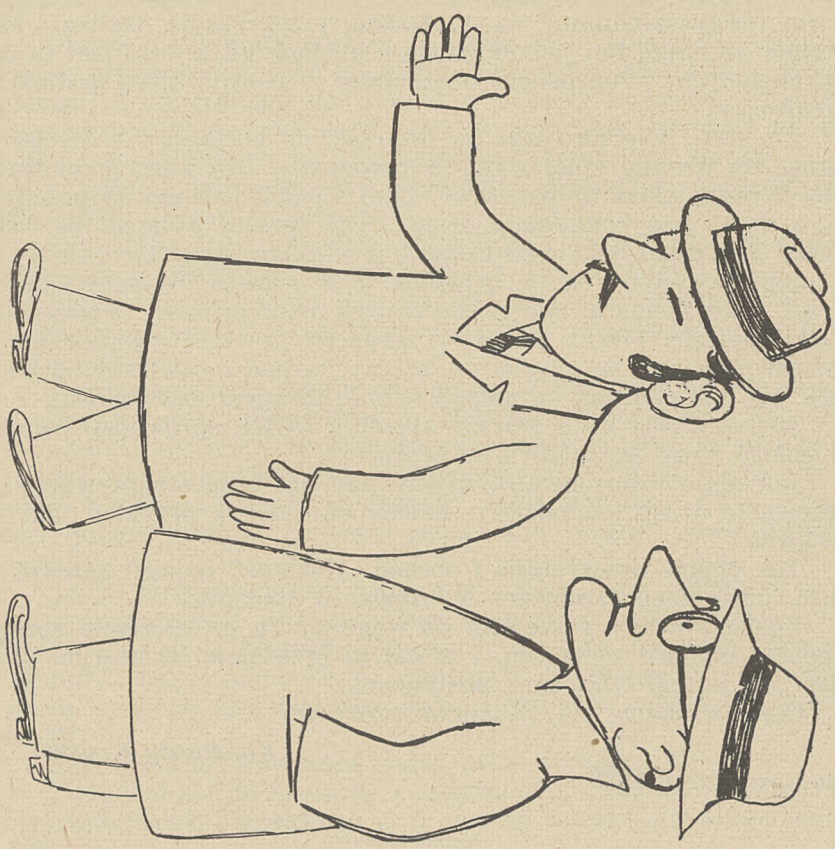
Konstanty Kryśko.

Radom, w marcu 1939 r.

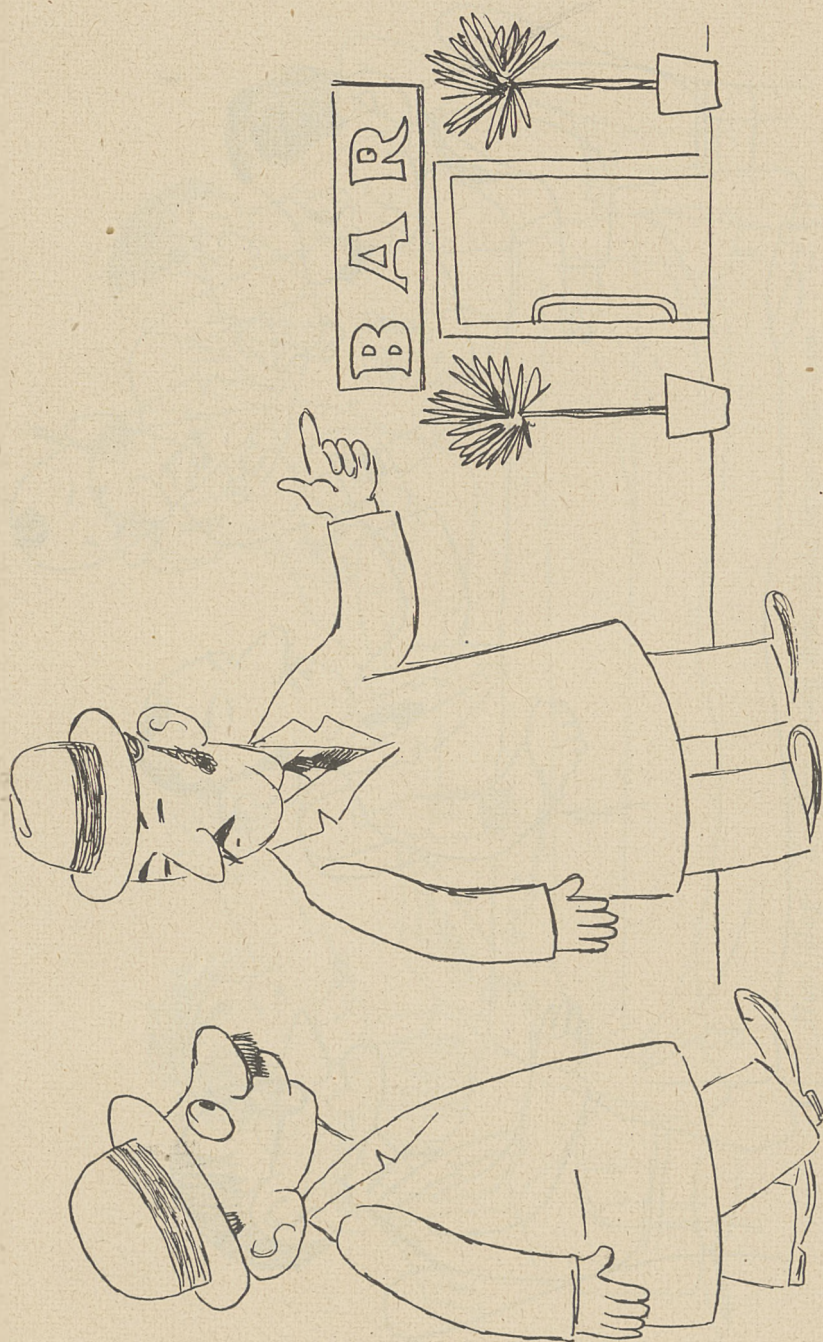
ERYK LIPINSKI.



ŚWIETNY INTERES.



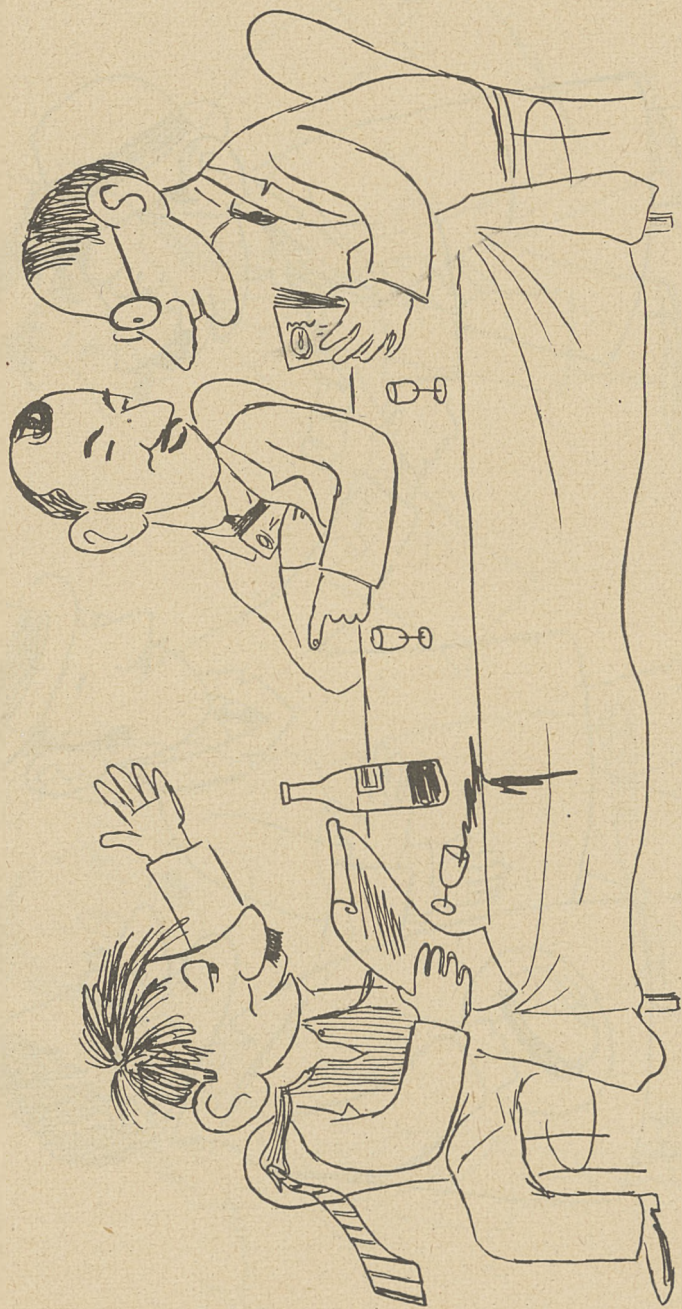
— *Mamy dla pana świetny interes...*



— Chodźmy do baru, tam swobodnie omówimy szczegóły...



— Proszę podać nam wódkę — musimy oblać świętą interes.



— Hop! Hop!! Kupilem nowy dom, będą teraz miał dwa.



— Dowidzenia panu, zrobił pan świetny interes...



— Patrz, żono, jaki świetny zrobiłem interes!
 — Jezus Marja! Po pijanemu kupiłeś od oszustów swój własny dom!!!

Z MOICH PRZEŻYĆ I DOŚWIADCZEŃ

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę Szanownego Pana Redaktora o łaskawe wydrukowanie niniejszego w miesięczniku „Trzeźwość“, ponieważ chciałbym się podzielić i podać do wiadomości czytelnikom za pośrednictwem miesięcznika „Trzeźwość“. I mam nadzieję, że Szanowny Pan Redaktor nie odmówi mej prośbie, ponieważ opisuję niniejszym życie nałogowego alkoholika, a obecnie 100% abstynenta. Niżej opisane życie ja sam przechodziłem, i chcę się wypowiedzieć na łamach pisma tak poczytnego i naukowego, jakim jest miesięcznik „Trzeźwość“, a żeby te moje wypowiedzenie się było przestrożą dla innych, a żeby nie brali żadnego płynu, który zawiera alkohol do ust i nie wpadali w nałóg pijaństwa, tak jak ja, bo życie alkoholika jest strasznie ciężkie*).

Ojciec mój był robotnikiem, z zawodu kotlarzem, pracował ciężko, zarabiał nienajgorzej, wypić nie bardzo lubił, ale jak się przytrafiło, to za kołnierz nie wylał. Było nas troje dzieci, to jest brat lat 4, siostra lat 8 i ja lat 12, najstarszy. Jak wiadomo, przed wojną światową ludzie lubili się gościć i często bywać jedni u drugich, takie goszczenie bywało u nas tygodniowo 2 lub 3 razy. A przy każdym przyjęciu gości butelka wódki musiała być bodaj za pożyczone pieniądze, w czasie takiego przyjęcia, to i mnie coś obleciało — z pół kieliszka wódki, a po skończonej zabawie rodzice odprowadzali gości, a ja zostawałem sam, no i dawaj wysączać kieliszki, bo goście chwalili, że jest dobra wódka; po takim wysączeniu zawsze byłem podпиты. I myślałem, że jak ja urosnę i będę pracował, to dopiero wódkę będę pił, za swoje pieniądze.

W 13 roku życia zacząłem pracować, no i naturalnie sobie popijałem, ale jeszcze nie tak bardzo; w 18 roku życia koledzy przynieśli mnie pijanego do domu, a ojciec nie powiedział ani słowa. Na drugi dzień ja to pijaństwo odchorowałem i nie poszedłem do pracy, później już piłem mniej, w końcu zostałem powołany do armji rosyjskiej na wojnę światową; będąc w wojsku, przez cały czas wódki nie miałem w ustach, gdy powróciłem z wojny światowej, naturalnie przyjęto mnie wódką, no i zacząłem sobie popijać pomimo, że nie miałem pracy, ale koledzy

*) Autora tych słów znamy od lat 3-eh — dosyć często go spotykając w pracy naszego Towarzystwa, jako gorliwego i oddanego działacza.

Jest to niezwykle ciekawy i nader rzadki u nas wypadek samodzielnego wydobycia się z „dna alkoholizmu“ — wskutek własnej woli, a pod wpływem żony i przy pomocy organizacji przeciwalkoholowej.

Fakty przytoczone są ściśle prawdziwe. Należy zwrócić uwagę na szczególną nlechęć autora do wszystkiego, co przypomina obyczaje i obrządki pijackie, a więc do toastów, kieliszków, napojów „zastępczych“. — Myśl, aby w „dniu trzeźwości“ panował całkowity zakaz wyszynku jakichkolwiek napojów alkoholowych, należy uznać za logiczną i słuszną.

Tekst podajemy bez zmian z wyjątkiem niezbędnych drobnych poprawek stylistycznych.

Red.

byli. Czego nie było, to nie było, ale wódka zawsze była. W sierpniu 1918 r. koledzy przynieśli mnie pijanego do domu i od tego czasu zaczęło się moje pijaństwo; później dostałem pracę, ożeniłem się, na weselu się również upiłem i t. d., tak się brnęło w to pijaństwo. Później zacząłem się zaniedbywać w pracy. Po roku przyszedł na świat syn, ja zostałem zwolniony z pracy za pijaństwo, drugiej pracy nie mogłem otrzymać, zmuszony byłem wraz z rodziną wyjechać. Wyjechałem na Polesie, do Drohiczyna. Tam otrzymałem pracę państwową, ale pić nie przestałem, pomimo tego, że żona błagała mnie ze łzami w oczach, ażebym nie pił, ale ja nie chciałem jej się słuchać, tylko piłem i coraz to dom swój doprowadzałem do ruiny. Później przyszła na świat córka, która w 8 miesiącu życia zmarła. Syn chował się, ale był chuderlawy i mizerny, prawdziwy syn alkoholika. Ja zacząłem się również w pracy zaniedbywać, z powodu pijaństwa, tak, że zostałem wydalony z pracy za pijaństwo. Po zwolnieniu z pracy, nie było zaco powrócić do Warszawy, gdyż było pełno długów, które trzeba było oddać, więc na długi zmuszony byłem sprzedawać niektóre rzeczy domowe i odzież, tak że powróciliśmy do Warszawy w 1923 r. zupełnie nadzy, głodni i bez grosza. Żeby nie pomoc moich rodziców, to nie wiem co by było. Po przyjeździe ja, byłem bez pracy 9 miesięcy, później otrzymałem pracę w instytucji miejskiej, jako ślusarz. Jak nie pracowałem, to nie piłem, jak zacząłem pracować, to zaraz na pierwszą wypłatę przyszedłem pijany, no i znów zacząłem stale pić, zarabiałem około 500 zł. miesięcznie.

Mieszkałem na poddaszu, komorne płaciłem 23 zł. Syn pierwszy był chory na gruźlicę, drugi był jeszcze mały.

W 1925 r. umarł mi starszy syn, pozostał jeden, w 1925 roku przyszedł na świat drugi syn, było dwóch, a ja w dalszym ciągu piłem, po wypłacie zawsze przychodziłem pijany z butelką wódki i kiełbasą w kieszeni. No i większe pół wypłaty przepiłem, dom szedł do ruiny. Dziecko moje nie miało bułki, pomarańczy, lub cukierka, dlatego, że ja wszczepko przepijałem. Gdy dziecko moje czasem poprosiło o 5 lub 10 groszy, na bułkę, to ja się obliczyłem, że jak mu dam 5 gr., to nie będę miał na pół butelki i nie dałem, dlatego, żeby mnie na wódkę starczyło, a dziecko bez bułki może się obejść. Razu jednego chłopcy sobie złożyli około 2 zł. oszczędności, to ja to znalazłem i przepiłem; dom dochodził do ruiny, tak, że nie było w co się ubrać, jak ja, tak żona i dzieci, aż razu jednego żona padła przedemną na kolana i ze łzami w oczach zaczęła błagać, ażebym przestał pić, to ja odpowiedziałem, że dobrze, no i nie piłem tydzień czasu, a później z powrotem zacząłem, no i znów były kłótnie i awantury i tak człowiek wraz z domem upadał.

Razu jednego dostałem wypłatę około 200 zł., a było to w miesiącu listopadzie 1931 r., no i poszedłem do knajpy, w czasie tego pijaństwa zginęły mi wszystkie pieniądze, czy mi skradziono, czy zgubiłem, tego nie wiem; powróciłem na drugi dzień bez grosza, żona siedzi zapłakana, dzieci po kątach spoglądają ponuro na mnie, w sklepiku dług i wszyscy głodni, jednym słowem rozpacz. Smutne to było, ale prawdziwe, więc ja zapytuję sam siebie, czyja tu jest wina, naturalnie moja, a dlaczego moja? Dlatego, że piję wódkę, więc powiedziałem sobie, że wódki więcej nie wezmę do ust, oraz płynu żadnego, który zawiera alkohol. Przeprosiłem żonę, dałem słowo honoru, że już od dzi-

siaj wódki ani żadnych płynów, które zawierają alkohol, nie wezmę do ust.

Żona dała się przeprosić, ale narazie nie wierzyła, że przestanę pić, więc stanowczo przestałem pić od dnia 5 listopada 1931 r. Gdy przestałem pić, to sobie prowizorycznie obliczyłem, a mianowicie, że wódkę nałogowo zacząłem pić od dnia 15 sierpnia 1918 r. do dnia 5 listopada 1931 r., to znaczy, że piłem 13 lat 2 miesiące i 20 dni, za ten czas przepiłem sumę około 14.000 złotych, a za to otrzymałem za te 14 tysięcy złotych: żona i dzieci zbiedzone i chore, żadne nie miało, jak się należy, ubrania, komorne niezapłacone za 4 miesiące, grozi eksmisja, 900 zł. długu i ja chory. Jakie to tragiczne, aż mnie się samemu nie chce wierzyć, żeby tak mogło być, a jednak tak było. Więc proszę pomyśleć, co może zrobić ten przeklęty alkohol, ten niewidzialny wróg. Przecież ja wówczas, gdy piłem, to nie wiedziałem, że to takie jest szkodliwe, gdy przestałem pić, to dopiero się dowiedziałem, że szkodzi, a iluż jest ludzi takich, jak ja byłem, którzy też zapewne nie wiedzą, że alkohol—szkodzi i niszczy dom rodzinny. Nadmieniam, że ja tylko to opisałem, co pamiętałem, a wiele innych się rzeczy mogło dziać, których nie pamiętam, więc wzywam was, szanowni czytelnicy, na miłość Boską, nie bierzcie do ust żadnego płynu, któryby zawierał cośkolwiek alkoholu, a wtedy się przekonacie, jacy będziecie szczęśliwi i zadowoleni z życia, tak jak ja z rodziną. Radzę przegnać tego niewidzialnego wroga ludzkości, jakim jest alkohol, raz na zawsze.

Gdy przestałem pić ten przeklęty alkohol, to w głowie mi pozostał tylko szum, tak jakbym powrócił z więzienia, z lochu jakiego, lub sam nie wiem skąd. Ten szum w głowie trwał około 5 dni, przyszła pierwsza wypłata, koledzy wołają, jak zawsze do szynku, ja odpowiedziałem, że nie idę i wódki więcej nie piję, to oni nie dali wiary; gdy przyszła następna wypłata i wiele innych, to tak samo odpowiedziałem, że nie piję, to koledzy zaczęli się ze mnie śmiać i mówić, że mnie żona ubrała w spódnice i t. p. rzeczy. Ja się tem wiele nie przejmowałem, tylko po odsunięciu się od kolegów, jakoś smutno mi było na razie no i to, że czułem się chory. Zwróciłem się do lekarza, który orzekł, że mam chore nerki, wątrobę, serce i żołądek. Pomyślałem sobie, naturalnie spuścizna po alkoholu; lekarz zaznaczył, że to wszystko da się wyleczyć, no i zacząłem się leczyć, w domu było coraz weselej, ja również byłem coraz więcej zadowolony; tylko było mi brak towarzystwa, gdyż nie chciałem zawierać znajomości z tymi, co lubią wódkę. Wszyscy ci koledzy, z którymi chodziłem na pijaństwo, to mnie odstąpili, do domu nikt nie przyszedł, bo nie było wódki, jak to kiedyś bywało. kto przyszedł, to butelka wódki musiała być na stole. A teraz nie, otóż przkonałem się, jaka to była przyjaźń: tylko dla wódki; w pracy koledzy się ze mnie śmiali, że jestem umysłowo chory, bo nie chcę pić z nimi wódki i t. d. Ale ja sobie pomyślałem: zobaczymy, kto będzie umysłowo chory, czy wy, czy ja.

Razu jednego przechodziłem ul. Puławską i około kościoła jest przyklejony jakiś afisz — podchodzę i czytam i oczom własnym nie wierzę, że Towarzystwo „Trzeźwość“ w dniu tym i tym, już nie pamiętam którym, wystawia jakąś sztukę, to ja się tak ucieszyłem, że są jeszcze ludzie trzeźwi, i zwróciłem się do tego Towarzystwa, to mi

odpowiedział dozorca, że dzisiaj, nie jest czynne, tylko w poniedziałki i piątki, więc przyjechałem w piątek. Jak się dowiedziałem, to było — Mokotowskie Koło Trzeźwość; owszem, spodobało mi się, gdyż było bardzo miłutko i wesoło i zapisałem się na członka i życie mi płynęło jak po za domem, tak i w domu, wesoło.

Chorowałem 2 lata, że wkońcu musiałem pójść na operację żołądka, operacja się udała, jestem już zdrow i zadowolony, że zwyciężyłem alkohol. Ale jednak przez 3 miesiące miałem apetyt na wódkę, ale nie dałem się skusić, w 1932 r. zwróciłem się do Pana Redaktora Jana Szymańskiego, że chciałbym pracować społecznie w Towarzystwie „Trzeźwość“, gdyż wiem, jaką klęskę zsyła alkohol, ponieważ sam tego doświadczyłem. Pan Szymański odpowiedział, że dobrze i skierował mnie na kurs przeciwalkoholowy w Państwowej Szkole Higjeny, gdzie wysłuchałem 6-cio dniowego kursu o szkodliwości alkoholu i zwalczaniu jego, no i przystąpiłem do pracy.

Ale cóż, nie mogłem podołać, gdyż prócz tego pracowałem w zakładzie metalowym, jako ślusarz, zmiany miałem tylko nocne i po obiedzie i to mi właśnie utrudniało pracę w „Trzeźwości“, ale jak mogę, tak „Trzeźwość“ popieram i czynem i słowem. Zaznaczam, że po zaprzestaniu picia wódki, w pracy nigdy nie jestem zmęczony, jak dawniej, pracę wykonywam rzetelnie, zwierzchnik mój jest ze mnie zadowolony, otrzymałem podwyżkę, a gdy piłem wódkę, to mnie groził już wydaleniem, i przekonałem się, że ci, którzy mi mówili, że jestem umysłowo chory, bo nie chcę wódki z nimi pić, sami oni są naprawdę chorzy umysłowo. Ale cóż, pomimo tego, że im udawadniałem szkodliwość wódki, nie chcą wcale wierzyć, tylko w dalszym ciągu brną w tej zgniliźnie moralnej; i już są tacy, którzy jeszcze gorzej się mają, jak ja się miałem.

Po przestaniu picia wódki, spłaciłem długi, ubrałem żonę i dzieci i sam siebie, w 1934 roku wynająłem lokal 2 pokoje z kuchnią, za który dałem odstępnego 900 zł., komorne wynosi 68 zł. Jednym słowem, jestem zdrow, zadowolony i wesoły, a więc także i rodzina ze mną. Od czasu przestania picia wódki przezemnie, jeszcze ani jednej kłótni nie było w domu i też żadnej sprzeczki; żyje się tak, jak Bóg przykazał. Widać, jak jest kolosalna różnica, co było kiedyś, a teraz; wpiersz nie było czem zapłacić 23 zł. komornego, a teraz starczy 68 zł., lepszy obiad był tylko raz na tydzień, teraz po wypłacie przynoszę do domu ciastka i pomarańcze, co kiedyś moje dziecko zupełnie tego nie знаło, a ja jestem taki szczęśliwy, zadowolony, że mogłem się wyrwać z pęt tego przekłętego alkoholu.

Z początku, gdy goście do mnie przyszli na święta Bożego Narodzenia lub Wielkiej nocy, to dla gości kupowałem wódkę, a sam piłem herbatę z sokiem, ale później, myślę sobie, z jakiej racji, mam dawać gościom wódkę, jak sam jestem abstynentem i postanowiłem, że o ile mnie lub moją rodzinę uważa to i tak przyjdzie, tak też i zrobiłem. Potłukłem wszystkie kieliszki, karafki i wszystkie przybory do wódki. Na Wielkanoc, gdy przyszli goście, to powiedziałem, że wódki u mnie nie ma, troszkę się zkwasiłi, ale powiedzieli, że dobrze, no i—fakt — było lepiej, jak kiedyś, sami goście to powiedzieli. Na imieniny zo-

ny, toast był wzniesiony szklanką herbaty i bardzo dobrze poszło, goście się bawili lepiej, jak dawniej.

Nadmieniam, że jestem przeciwnikiem wszelkich toastów, a także i przeciwnikiem wszelkich win bezalkoholowych, oraz różnych nektarów owocowych, które reklamują i chciałbym ażeby raz na zawsze wyeliminować toasty i kieliszki, a wtedy naprawdę zapanuje dobro, niech ludzie nie myślą o jakichś tam kieliszkach i winach bezalkoholowych, precz z nimi! Zakopać je na sto kilometrów pod ziemię, ażeby nigdy nie oglądały światła, bo proszę pomyśleć; zwalczyliśmy alkohol, a jego miejsce zajęły wina bezalkoholowe i różne jakieś tam nektary owocowe, na razie to będzie dobre, ale żydzi i inni kupcy, żądni zarobku, na pewno będą do nich dolewać alkohol i to wino będzie miało lepszy pokup. Przecież szynkarze i żydzi są do tego specjaliści. A później co? Znow powoli będzie wyglądać ta hydra alkoholowa i znow walka z alkoholizmem, aż do nieskończoności. Zaznaczam, że najlepszym toastem jest czysta Polska woda źródłana, która właściwie idzie na zdrowie.

Proszę Państwa, walka z alkoholizmem jest bardzo trudna; prędzej można zwalczyć różne epidemie, jak tyfus, dżumę, cholerę i t. p., jak pijaństwo, ale wiemy o tem, że w jedności siła, więc organizujmy się, nie szczędźmy tych paru groszy na organizacje „Trzeźwości“, pracujmy, jak możemy, dla idei trzeźwości, a napewno wyrwie się niejednego alkoholika ze szponów pijaństwa, a przytem uszczęśliwi się niejedną żonę i dziecko, które gniją w zgniliznie moralnej, dlatego, że ojciec jest nałogowy pijak, tak jak ja byłem.

Przypominam sobie, jak otrzymałem zaproszenie pierwsze, na odczyt, który miał się odbyć w Towarzystwie „Trzeźwość“ (Rynek Starego Miasta 38), to byłem taki ucieszony, tak, że zwolniłem się z pracy i poszedłem na odczyt; smutne to było, gdyż na odczycie było około 12 osób, i myślę sobie, że wódka taką klęskę przynosi społeczeństwu, a tu się nikt nie interesuje. Ale jednak czas i praca pokazały swoje. gdy jest obecnie odczyt (na Oboźnej 4), to jest na nim przeszło 300 osób, tak, że sala okazuje się za małą, trzeba będzie wynająć większą salę, jak widać ludzie zaczynają się interesować. Gdy byłem na odczycie w dniu 20 kwietnia 37 r. i który to odczyt miał ks. dr. Padacz, między innymi padł projekt „dnia trzeźwości“, tak jak to są inne dni, dzień Morza, dzień Lasu, dzień Wisły, dzień Matki, i t. d. i t. d.

Ja jestem za tym projektem t. j. ażeby nie było tygodnia propagandy Trzeźwości, tylko dzień Trzeźwości, a byłoby to bardzo dobrze, gdyby to się dało zrealizować, a mianowicie w takim dniu trzeźwości, jak Polska długa i szeroka powinny być wszystkie szynki zamknięte, powinna grozić wysoka grzywna za sprzedaż w ten dzień wódki, pijacy, którzy się w ten dzień upijają, winni płacić wysoką grzywnę i te pieniądze, które zostaną zebrane z kar wyżej wymienionych osobników, winny być przekazane towarzystwom „Trzeźwość“ na walkę z alkoholizmem.

W tym dniu powinny się odbywać Akademje we wszystkich miastach Polski, pochody abstynenckie, pogadanki w szkołach o szkodliwości alkoholu, oraz nadane przez radjo odczyty przeciwalkoholowe; jednym słowem, żeby była mowa tylko o szkodliwości alkoholu, wtedy

to byłby prawdziwy dzień trzeźwości. Na razie skończyłem, za kilka tygodni nadeślę inne jeszcze wiadomości.

Przepraszam, że tak niewyraźnie napisałem i nieskładnie, gdyż ręka moja wypracowana; kilka lat nie miałem pióra w ręku no i nie posiadam cenzuru naukowego.

Nawrócony

W E S E L E

Wesele... A więc — pełne dramatycznego wyrazu krzyki poświęcanych na tę uroczystość kurcząt, zapach świeżo zaciągniętej podłogi, olśniewająca białość wykrochmalonych obficie firanek, czysto wymiecione, oczyszczone, wymyte zakątki wiejskiego dworu. Wesele... Dwie kobiety napełniają od rana gwarem wielką, zadymioną kuchnię, uwiązają się niezmordowanie wśród rojów much, pierwszych entuzjastycznych spożywców przygotowywanej tu biesiady.

— Magdusiu, na Boga, Magdusiu, jakieś to wybrała ogórki! Twarde być mają, a coś mi przyniosła?! Po jakiemu mam do ciebie gadać, dziewczyno?

— Niechże Łucyja nie wydziwia... O, kipi, mówiłam, ogień duży, nie trzeba było dREW przykładać! Ogórki nie złe, gdzie tam—aż za dobre... Dosyć, że nauczycielce od sąsiadów wesele nasze państwo tu wyprawia — jeszczeby jej goście grymasić mieli!

— Nie mędrkuj, a bierz lepiej ten garnek z ognia! Pietruszkę drobno usiekaj... Goście zaś — mówię ci, zawdy jednacy, wydziwiać i przesmradzać zwykli. Co ich ta obchodzi, że panna Krystyna przyjmuje w obcym domu? Mają swoje wymagania... Nie wykosztują się to na prezenty? Odebrać je chociażby chcieli!

— Ani chybi, chytre są ludzie, nie oplacą się pannie Krysi te dary, nie oplacą... Bo, że wesele wyprawiają dziedzice za swoje — głupi uwierzy! Kawalka chleba człowiekowi żałują, gdzieby zaś...

— O, znowu kipi... Odstaw, Magdusiu, i zapraw, trzy łyżki starczy. Państwa nie obgaduj, choć nie przelewa się u nich, ludzie są poczciwi, z sercem...

* * *

— Już ty, Tolu, masz stanowczo zbyt dobre serce dla Zaborskiej! — mówi dziedziczka w rannym, niezbyt uroczym stroju, do córki, przecierającej srebro w kredensie. — Serce masz za dobre... Nie trzeba było godzić się na to wesele! Cały dom wywrócony do góry nogami, wszędzie posprzątane, Jezus Marja, koniec świata chyba! Nic, tylko chodź od rana do nocy i pilnuj każdego... Odpocząć nie można ani chwili! — starsza pani, rozparta wygodnie w krzesle, pcha do ust czubatą łyżkę sałatki. — Hm, niezła... Aleś musiała dać do tego śmietany! Wyobrażam sobie...

— Tyle, co potrzeba, cóż to szkodzi? Krystyna zapłaci za wszystko i jeszcze dla nas zostanie!

— A pocóż nam tak obficie zaprawiona sałatka? — nabiera dru-

gą i trzecią łyżkę. — Goście mogliby mieć gorszą, nawet niezdrowo jeść tłuste w podróży. Jeżeli nie wydasz pieniędzy co do grosza — mała strata, i tak oddawać jej nie trzeba! Dzisiaj ma mi przywieźć pięćdziesiąt złotych. Jak to kapie, nie mogliaby odrazu...

— O, mam, wiesz przecież, że wydała na wyprawę swe oszczędności i nie kupiła wielu jeszcze potrzebnych rzeczy, a pieniądze pana Stacha starczyło ledwo na umeblowanie pokoju! Lecz nam zapłacą napewno, przyrzekła, ręczyć za nią mogę. Mówiła, że narzeczony weźmie od szefa zaliczkę. Co to miał mi przysłać w południe z Makowisk? Aha! — tort i wódeczność, jak mówił...

— Tort?! A to im poco? Co innego, żeby pan Stach nam kupił nudło czekoladek... Panna biedna, która nie może przyjąć we własnym domu, ma wielkopańskie fanaberje! I alkohol... Wiesz, że ojcu szkodzi, nigdy mu nie daję. Zostaw w spokoju srebra, wytrą się wkońcu od takiego tarcia!

— Ależ, mam, pan Stach przywiezie napoje dla gości, nie dla nas!

— Pewnie, tylko im goście w głowie, wszystko naszym kosztem!

— Zapłacą...

— Jeszcze nie mam w ręku, nic pewnego. Tu zaś — jakie wydatki! Ile przekąsek, sałatka, bigos, kurczęta, lody śmietankowe aż z dwóch litrów mleka, i te, jak nazywasz — drobiazgi... Samych ogórków pół kopy. W mieście możnaby je sprzedać po pięć groszy za parę... Ile-by to wyniosło? Stanowczo masz za dobre serce! Już, jak się z kim przyjaźnisz, to świata za nim nie widzisz! Krystyna i Krystyna. Wszystkobyś jej oddała!

— Trzy złote od gościa ma nam płacić, mam! Wesele za jej pieniądze...

— Jeszczeby też! Możebyś chciała za nasze? I tak ustawicznie ciągnęła z nas korzyści...

— Zimą to ona przecież pożyczala nam stale książki do czytania!

— Kto jej kazał abonować? Ja nie prosiłam o to... Miała przynajmniej temat do rozmowy z inteligentnymi ludźmi. Cała przyjemność po jej stronie!

— Uszyła mi dwie sukienki, mam!

— Bo jej się pewnie nudziło, ty zaś nie miałaś czasu. A nie dałam jej na gwiazdkę tych zielonych koralii? Z pięć złotych warte były.

— Mama dwa płaciła i okazały się nietwarzowe...

— Zawsze musisz mi przeczytać! Co z tego, ile płaciłam, to moja zasługa, że tanio kupić potrafię. Ona dałaby dziesięć za takie same... Pocóż tyle kazałaś gotować kompotu? Przysuń bliżej tę salaterkę, daj łyżkę... Jakie duże kawałki!

— Tak wszyscy krają...

— Na tem polega indywidualny styl gospodyni, aby ślepo nie naśladować innych! Czego chcesz, co tam się stało, Magdusiu?

— Pani dziedziczko, bo Łucyja prosi bardzo, coby pani obaczyła, ino zaraz! Bo te kurczoki, cośmy ich różnęli, są chude, jak psy! To Łucyja się pyta...

— Idę już, idę! — Dalsza część relacji dziewczyny cichnie za drzwiami. Panna Tola z głębokim westchnieniem wyjmuje z górnych półek kredensu stosy gościnnych, a więc umiarkowanie wyszczerbionych talerzy...

*
* *

Wesele... Od samego rana wyraz ten napełnia Krystynę radosnem oczekiwaniem, nadzieją, że obrzęd kościelny, oglądany przez nią tyle razy obojętnie, stanie się w jej życiu punktem zwrotnym zakończy niezdolne prowizorium! Bo czy mogłaby wytrzymać w podobnych warunkach lat siedem, myśląc, że to trwać będzie stale? Że zawsze będzie nauczycielką, udzielającą początków, w coraz to innych, obcych, tak bardzo jej obcych domach, siewczynią mądrości w mniej lub więcej tępych głowinach? Wypełniała dobrze swoje obowiązki, nic więcej. W głębi duszy nie znosiła małych despotycznych stworzeń, na których pastwę była oddana. Nie miała pomyłonego instynktu kwoki, wodzącej z bezmiarem miłości gromadę kacząt. Może była to u niej prosta oszczędność uczuć, przeznaczonych do właściwego celu, we właściwym czasie. Czy w tym już wieku miała zdradzać staropanieńskie zamiłowanie do niańczenia cudzego potomstwa?

Czy aż uczucie potrzebne było do gaszenia iluminacji zasmarowanych nosów lub uspakajania chłopca, który tupał nogami z szybkością trenującego asa wyścigów kolarskich? Świecek — usuwała doskonale zwykła chusteczka, z tupaniem było gorzej — gdyż najlepsze lekarstwo, użycie dźwięcznego klapsa — sprowadzało odsiecz w postaci litościwej mamy. I stosuj tu zasady wykładanej w seminarjum psychologii! Teorja i praktyka — oddzielone przepaścią rodzicielskiej głupoty...

Właściwie — Krystyna miała zostać czemś wyższem w hierarchji pedagogicznej, o nieba! — aż nauczycielką szkoły powszechnej. Tak postanowił niewiadomo dlaczego ojciec, lecz zawsze niekonsekwentny — umarł, nie doprowadziwszy swego dziecka do względnie spokojnej przystani. Krystyna po roku osierocona i przez matkę, znalazła się w trakcie kończenia seminarjum w tak ciężkich warunkach, że ledwo przy pomocy ciotki zdała egzamina. O dwuletniej bezpłatnej praktyce nie było już mowy. Została nauczycielką domową, we dworach, po wsiach zapadłych, odciętych zimą od kontaktu ze światem, we dworach, gdzie jedyną rozrywką były zwierzenia awanturujących się ze służbą dziedziczek, albo potyczki słowne obojga państwa, nieskrępowanych bynajmniej obecnością istoty, zaliczanej prawie do inwentarza...

Ach, te dziedziczki! Za nędzną pensyjkę, czuły się upoważnione do zwracania jej uwag nietylko w zakresie nauki dzieci, ale uwag dotyczących także własnego zachowania Krystyny, rodzaju noszonych sukien, ich kroju i koloru, a nawet — sposobu układania pięknych ciemnych włosów! Musiała zmieniać fryzurę, która nie podobała się pani lub za bardzo przypadała do gustu jej mężowi, co w rezultacie wychodziło na jedno... Zaczesywanie włosów wysoko z czoła uważały dziedziczki za nazbyt wyzywające, jeżeli same tak gładkiem czołem po-

chlubić się nie mogły; zakrywanie zaś skroni przez nasunięte fale lub loki — potępiały, jako karygodną u nauczycielki małych dzieci kokieterję. Zły przykład — mówiły, wiążąc jednocześnie na głowach swych córeczek półmetrowe kokardy...

O tem wszystkim myśli Krystyna z westchnieniem ulgi, wszystko ma poza sobą. Bo rok ostatni, spędzony w Makowiskach, rok względnie lepszy, urozmaicony nieco przyjaźnią z córką właścicieli sąsiednich żółwin, został ukoronowany poznaniem Stacha! Przyjechał latem na dni kilka jako urzędnik do mierzenia parcelowanych gruntów i... oświadczył się Krystynie odjeżdżając, oświadczył z pomyślnym rezultatem. Panna, zakochana w równie rekordowem tempie, dała mu słowo.

Rodziców, jak wiemy, już nie miała, a że Stach znajdował się w podobnej sytuacji, nieskrępowani przez nikogo w szybkim realizowaniu swych pragnień, nazaczyli odrazu termin ślubu. Termin aż... dwumiesięczny, jak młody geometra rozpacział żartobliwie. W ciągu tego czasu odwiedził Krystynę parę razy, korzystając z wolnej niedzieli.

Za każdym widzeniem rosła miłość jej i zaufanie do łagodnego, dobrego człowieka. Zna się na ludziach, nie jest naiwną panienką, której zawróci w głowie lada gorące spojrzenie, lada uśmiech zdrowego uzębienia! Wie dobrze, co to znaczy być cenioną dla samej siebie, dla swych fizycznych i moralnych zalet, a nie tylko za wzorowe wypełnianie obowiązków. Jednak, czasem — wolałaby, żeby ją stawiał mniej wysoko... Naprzykład:

— Słowo daję, panno Krysiu, pierwszy raz spotykam tak oporną dziewczynę! Nie dać się pocałować własnemu narzeczonemu...

— Ma pan w tym kierunku widać doświadczenie. A mówił, że nie był nigdy zaręczony...

— Że się wyraziłem! Słyszałem tylko od innych, iż cnotliwe narzeczone są unikatem! No, proszę łapkę, teraz drugą... To można, nieprawdaż?

Tak rzeczy stały w pierwszym miesiącu. Miesiąc drugi:

— Rozumiem, Krysiu, dawniej mnie mało znałaś, więc zachowywałaś rezerwę, co można pochwalić, ale obecnie... Czemuś taka? Inna na twojem miejscu, zarzuciłaby ręce na szyję...

— To proszę zwrócić się do innej — powiedziała wtedy lekko. Pocóż tak powiedziała!

— Żartujesz, okrutna, ale taki opór, ma swój urok, to nie jest banalne. To mi się nawet podoba...

Teraz jeszcze, w dzień wesela, boli Krystynę ów podziw narzeczonego, gniewa zajęte przez siebie stanowisko. Pierwszy raz nie chciała? — Raczej była spłoszona, znała go tak krótko! Pochwalona za oporność, pragnęła zostać na wyżynie, gdzie ją mężczyzna umieścił... Później — duma nie pozwoliła zmienić raz zajętego stanowiska. A on niestety był delikatny, jest delikatny do tego stopnia, że można go posądzić o brak uczucia. Ach, ten piedestał nieszczęsny! Spadłaby z niego tak chętnie... Już nieraz kręciło się w głowie...

— Panno Krysiu, o, stację widać! — siedmioletnia Elżbietka wyrwa nauczycielkę z zadumy. Naturalnie, towarzyszyć jej musi, gdy panna Zaborska jedzie bryczką po narzeczonego i wiktuały, które ma on przywieźć z Warszawy. Ręka panny gładzi zawodowym ruchem jasną główkę, choć gniewa ją ta asysta. Niezłe dziecko, lecz ma go dosyć, jakże dosyć!

Pociąg z hałasem wtacza się na stację. Gwizd lokomotywy przeżywa Krystynę radosnym dreszczem.

— Jak się czujesz, dobrze spałaś?

— Doskonale! — odpowiada, podnosząc na narzeczonego zmęczone bezsennością oczy. Jeżeli spać nie mogła, to z radości, a czyż można przyznać się do tego? Jest konsekwentna, chociaż nie wobec własnych chęci, którym często czyni naprzekór — to wobec przypisywanego jej charakteru.

— Co tyle paczek, Stachu? — mówi mu po imieniu, tego zażądał kategorycznie, wzamian za inne, mój Boże, ustępstwa...

— Paczek? Ach, nie masz pojęcia ile z nimi miałem kłopotu w wagonie! Bo koszyka o mało mi nie zrzucił jakiś pan, wyciągając swą łaskę, a te dwie walizy — także niebezpieczne. Uważajcie na nie, Jędrzeju — zwraca się do stangreta.

— Torty? — pyta Krystyna. — Niemożliwe, miał być jeden... Czego tak dużo? Przecież rzeczy miałeś wziąć niewiele, tylko ślubny garnitur?

— Już ci później powiem, Krysieńko! Ale nasze warszawskie gniazdko — cacy, milutkie! Pocziwa twoja ciotka, że się jego wykończeniem zajęła.

— Szkoda, że nie mogłam sama ostatnio...

— Rodzice Elżbietki chcieli, żebym była tu aż do ślubu. Wiesz, łóżka u nas przykryję tymczasem satyną, później kupimy na to kapy koronkowe — takie śliczne widziałam na wystawie! A jeżeli ci coś jeszcze w przysłym miesiącu z pensji zostanie, to i firanki z siatki, z różowemi wisienkami... — Krystynie świecą się oczy, uśmiechają usta. Pan Stach spogląda na nie łakomie, lecz obecność małej Elżbietki hamuje zapalę. Do licha, jednak na parę godzin przed ślubem, gdyby nie obecność tego dzieciaka...

— A czy... — Krystyna czerwieni się pod uporczywym wzrokiem narzeczonego — czy... przywiozłeś to, o co cię prosiłam?

— Co mianowicie?

— Pieniądze, które mam dać, wiesz komu...

— Nie!

— Zapomniałeś wziąć zaliczkę, jaka szkoda!

— Wopsem, wziąłem, ale wydałem. Tyle kosztów...

— Miałeś kupić tylko tort, trochę wina, wódek...

— Trochę? Krysiu, ty to mówisz serjo?! żartujesz chyba. Ma być ze dwadzieścia osób mojej i twojej rodziny, prócz tego — kilku kolegów z biura i ty chcesz, żebym na własnem weselu trunków im żalował?!

— Mówiłeś...

— Sama jednak rozumiesz! Licz po parę kieliszków każdego gatunku, ile to wypadnie? A przytem — wódki nietylko do kolacji są po-

trzebne. Zapominasz o bigosie, który ma być podany gościom w nocy przed odjazdem. Jego też uczciwie zakropić należy!

— Tak, zapomniałam... Bigos, naturalnie... Ale, widzisz, ja... ja muszę koniecznie oddać te pieniądze!

— Śmieszna jesteś naprawdę, nie masz poczucia rzeczywistości! Cha-cha-cha! jak sobie przypomnę, żeś nie chciała wogóle urządzać weselnego przyjęcia... Lecz, że przyjęcie już postanowione — wniosek prosty, że trunki musiałem kupić i to koniecznie w dużej ilości. Lubię myśleć logicznie, zawsze byłem z tego znany! Rodzice twojej przyjaciółki mogą poczekać, zresztą — pożycz od kogo ze swojej rodziny!

— Nie mogę, może ty lepiej od swoich...

— Wykluczone! Ja już... I tak dobrze będę musiał polatać, aby skądś wytrzasnąć pieniądze na codzienne wydatki do pierwszego. Lecz czemu, Krysiu, sama nie możesz?

— Wiesz, ja... Oni liczą, że ty... Ja ciebie, no...

— Ech, nic nie rozumiem! Mniejsza o te głupie pięćdziesiąt złotych! Śmieję się z tego, Krysienko! Chociaż, mogłabyś mi właściwie powiedzieć...

A Krystyna powiedzieć nie może. Jakże tu przyznać się Stachowi, że w jej listach, wysyłanych do rodziny z zawiadomieniem o ślubie, on, Stach, awansował ze skromnego geometry, zwanego skoczybruzdą, aż na... świetnie sytuowanego inżyniera rolnika! Pani inżynierowa... Cóż szkodziło przytrzeć rodzinie nosa, kręconego pogardliwie nad jej nauczycielskim zawodem! Biorąc rzecz ściśle, nie blagowała znów tak bardzo. Geometra chodzi przecież nie po dachach, a po roli, jest więc poniekąd rolnikiem! Że dodała tytuł inżynierski — nic dziwnego w czasach, gdy go posiada co drugi hreczkosiej... Braku ścisłości w personaljach Stacha rodzina nie wysłodzi, zbyt będzie pochłonięta jedzeniem, aby robić wywiady. Teraz jednak — od kogo-by pożyczyć? Pieniądze matce Toli trzeba oddać koniecznie, jeżeli nie dzisiaj, to jutro odesłać pocztą. Już wie, uprosi o nie ciotkę, jedyną bliższą sobie istotę! Zgodzi się, zgodzi napewno... Choć może ... O, nie, zrozumie chyba drażliwość sytuacji... Tak, to załatwi jakoś Krystyna, lecz czemu załatwiać musi?

— Stachu, czy mniej tego kupić nie mogłeś? — pyta nieśmiało.
— Nigdy nie myślałam... Poco aż tyle?

— Daruj, ale mam jeszcze poczucie tradycji! — obruszył się szorstko. — Na własnym weselu nie upoić gości? — Co-by powiedziałno o mnie! Zresztą, skoro chcesz wiedzieć, na co jeszcze wydałem pieniądze, to ci powiem, żem kupił i butelkę szampana! Trochę lodu znajdzie się napewno... Wypijemy szampanem twoje zdrowie, ślicznie będzie, co? Miał on być dla ciebie niespodzianką, ale gdy chcesz, bym ci tłumaczył wydatki...

— Niespodzianką? Tak, rzeczywiście...

— Widzisz, jak pamiętałem o tobie! No, rozchmurz się, Krysiu, wszak dzisiaj — nasze wesele!

*

*

*

W stylowej białej krynolinie, z gazą welonu, spadającą na zarumienione policzki, szła Krystyna ku ołtarzowi. Pod nogi jej sypały się kwiaty — dosłownie, wcale nie w poetyckiej przenośni! Nic w tem jednak nie było nadprzyrodzonego, chociaż kwitnące drzewa naogół w kościołach nie rosną—to tylko dzieci szkoły powszechnej, dla których miewała latem pogadanki, rzuciły pęki chabrów, nagietki i georginie wprost pod jej stopy, tak obficie i celnie, że gdyby Krystyna bardziej była pochłonięta marzeniem, niż omijaniem wonnych przeszkód, mogłaby упаć na oczach zebranych w drodze do ołtarza.

Minęła szczęśliwie szpaler, by stanąć ze Stachem na przykrytych wytartym dywanem stopniach. Wpatrywała się w dobrze znaną, jowialną twarz proboszcza, która w migotliwym blasku świec nabrała uduchowionego wyrazu, namaszczonego dostojenstwem. Zabrzmiały tajemnicze, łacińskie słowa, potem zaś — pytania księdza. Krystyna słyszała odpowiedź narzeczonego i swoją odpowiedź, mówioną obcym dla niej samej głosem. Groźna w swej powadze przysięga: — Iż nie opuszczę ciebie aż do śmierci... Iż nie opuszczę... — powtórzył za księdzem ciepły baryton. Poddana urokowi, głębi tego przyrzeczenia, uczuła się Krystyna pewną miłości kochanego mężczyzny, utwierdzoną w uczuciu własnym... — Biorę tu obecnych na świadków, że małżeństwo... Liche, zachrypnięte organy wybuchły znienacka dźwiękami pompatycznego, weselnego marsza...

— Ślicznie było, Krysieńko, ślicznie, niech ci Matka Boska da wszystko najlepsze! — pierwsza z ciotek chwyciła ją przed kościołem w objęcia.

— Dziecko drogie, mówię ci, takiego skromnego a miłego ślubu nie widziałam jeszcze, bo to było ciemno i od świec jasno, i te dzieci kwiatuszki pod nogi bęc, bęc — jak na obrazku... żebym to ja...

Krystyna nie usłyszała, co-by w podobnym wypadku zrobiła ciotka, ponieważ cała falanga krewnych otoczyła ją, całując, życząc, targając welon i włosy w nagłym, zbiorowym napadzie czułości.

— Niech ci Pan Bóg... Bądźcie szczęśliwi... Pieniędzy, powodzenia... Pięciu synów, koniecznie synów... Żebyś zawsze była ładniutka, jak w tej chwili... Pięknej córeczki... Żebyście się kochali... Zdrowych dzieci, zresztą, jak nie będziesz chciała, to wcale...

Krystyna, oszołomiona mnóstwem przeróżnych i despotycznych, i najbardziej ugodowych życzeń, dostała się wreszcie do powozu. Gdyby nie silne ramię Stacha, wsiadłaby napewno, ku przerażeniu obecnych, do stojącej obok bryczki. Siedząc, kłaniała się wraz z mężem na lewo i na prawo, kłaniała jeszcze, gdy ruszyli z kopyta i dopiero po chwili zauważyła, że jedzie z nimi — mała Elżbietka.

*

*

*

Powóz państwa młodych, zaprzężony tradycyjnie w cztery konie, z tradycyjnie rozdzierającym uszy paleniem z bata, okrążył pędem gazon, by stanąć raptownie przed samym gankiem. Państwo młodzi, porwani znaną siłą bezwładu, kiwnęli się mocno naprzód, o mało nie wpadając na Elżbietkę, siedzącą przed nimi na małej ławeczce powozu. Obecność dziewczynki tutaj była jedynym w przyjętych zwyczajach

wyłomem, ale czy mogła w czasie takiej uroczystości paradować na koźle, niby lokaj w pojeździe panującego?! Zupełnie zaś opuścić młodych nie chciała, na samą propozycję układając usta w podkówkę wielce żalobną... Jakże to? — jej ukochana nauczycielka dziś ją osieroci i ona-by z nią razem nie była? Straszne! — tak również westchnął oblubieniec, lecz w przeciwieństwie do Elżbietki — mając na myśli spełnione już marzenia dziecięcia. Bo wogóle jest rzeczą tragiczną, gdy państwo młodzi zaraz po ślubie zostaną obdarzeni potomkiem — chociażby nie własnym...

*

*

*

— Witaj, kochanie! — matka Toli przyciska pannę młodą do wzebranej wątpliwem wzruszeniem piersi. — Nie mogłam jechać na ślub, pracy miałam mnóstwo, ale całym sercem byłam z wami. Przyjmijcie teraz życzenia szczęścia, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy! To są najtrwalsze podwaliny miłości...

— Moje serdeczne, panno... przepraszam, pani Krystyno! — dziecko schylił chudą swą postać nad ręką oblubienicy. — Najserdeczniejsze, wogóle, jednym słowem... życzenia! — sapnawszy, usuwa się na bok pod ostrym wzrokiem żony. Pocóż całujesz w rękę, dosyć, że my jej wesele... — czyta Krystyna w wymownych oczach pani. Lecz oczy te rozjaśniają się zaraz uśmiechem:

— Dziecko drogie, chodź na chwilę do sypialni, coś ci pokażę!

Krystyna idzie z podwójnie niemiłym uczuciem. Spodziewa się od dziedziczki prezentu, który, choć napewno tani, był jednak kupowany z bólem serca, a pozatem... Pozatem — pierzcha wzniosły nastrój chwil niedawno przeżytych. Ze wszystkich życzeń, jakie dzisiaj słyszała, brzmi w uszach ostatnie, matki Toli: pieniędzy, pieniędzy! A ona zapłacić jej za kolację weselną nie może, co gorsza, nie wie, kiedy będzie mogła. Ciotka, mająca odegrać rolę Opatrzności, zawiodła. Prośba, wyszeptana jeszcze przed jazdą do kościoła, spotkała się z pełnym urazy spojrzaniem.

— Moja droga, nie mam przy sobie. Co? że jutro? Niestety, wpisy szkolne za dzieci, palta jesienne, bardzo żałuję, ale widzisz — trudno... Robiłam, co mogłam, by ci pomóc w urządzeniu pokoju w Warszawie. Nie tylko radą... Znajdziesz tam ode mnie i dywaniki przed łóżka, jako prezent ślubny...

Krystyna widzi teraz, jak dziedziczka wręcza jej tuzin chusteczek do nosa. Dziękuje i słyszy:

— Ależ pani zrobiła partję, wychodząc za tak zamożnego człowieka...

— Nie rozumiem! — Krystyna uważa to za drwiny. Wszyscy tu na wsi wiedzą, że jej mąż jest bardzo średnio sytuowany. Tylko rodzina Krystyny sądzi o tem inaczej...

— Gdym zobaczyła, co przysłał przez chłopca, wierzyć nie chciałam oczom własnym! — cedzi dziedziczka. — Tyle butelek...

— Naprawdę? Tyle butelek... powtarza Krystyna odruchowo.

— To pani nie wie? O, proszę, zaraz pokażę, pewnie chciał nie spodziankę zrobić! Chodźmy do kredensu, tędy... Widzi pani?! Jakie

wódeczki, jakie wina, doskonałej marki, a nawet — szampan! Znawca. Tylko niech mu żona doradzi, żeby dużo pieniędzy przy sobie nie nosił, bo to rozmaicie bywa! Znałam jednego, co mu wyciągnął złodziej z kieszeni w pociągu tysiąc złotych. Lepiej może odrazu zostawi...

Lepiej odrazu — myśli Krystyna i mówi prędko zacinającym się głosem:

— Bo ja, ja dzisiaj miałam oddać te pieniądze, więc chciałam...

— Proszę, wprowadzie niema gwałtu, ale pani wie, jak to na wsi. Wypłaty, ludzie czekają, podatki. Owszem, owszem, wołę odrazu...

— Kiedy ja właśnie, że nie mogę i nie wiem kiedy, ale napewno...

— Jakto?! To znaczy, że były, tylko zostały wydane, wydane na to, tak? — ogarnia ruchem ręki baterję butelek. — A dla nas — napewno i nie wiem! Mamy paść cudzych gości darmo?! Łatwo chyba mój gniew zrozumieć! W ten sposób nie postępują ludzie... — szuka określenia — solidni, że się tak łagodnie wyrażę!

— Mamo! — panna Tola chwyta wychodzącą z kredensu matkę.

Mamo, jak mogłaś, w dzień ślubu, mojej przyjaciółce...

— Daruj, ale wiem co robię! Widzisz, nie mówiłam?! — Dziedziczka z tryumfem z racji zwycięstwa jej pesymistycznych przewidywań nad wiarą córki w ludzką słowność — wybiega do kuchni.

W kredensowym pokoju stoi panna młoda z zalaną łzami twarzą, trzymając bezużytecznie w ręku tuzin nowiutkich chusteczek...

*

*

*

Gdyby kto z gości mniej był zajęty wyszukiwaniem kawałków mięsa na ascetycznych zwłokach kurcząt, a poświęcił się zato obserwacji tak ciekawego zjawiska, jakim była pani domu w czasie weselnej uczyty, miałby wrażenia niebylejakie! Bo dziedziczka przypominała wtedy węża boa, hypnotyzującego wzrokiem swe ofiary... Wprowadzie ów boa w jej interpretacji wyglądał, jeżeli chodzi o tuszę, niby po przełknięciu całego wołu, ale siły spojrzenia, którym obrzucała jedzących, mógłby jej pozazdrościć wąż o linjach najchudszej z współczesnych elegantek!

Gdyby podatności biesiadników na działanie hypnozy nie zagłuszał wilczy apetyt, powtórzyłaby się scena z „Wesela“, w której chochoł zaczarował ludzką gromadę. Tutaj jednak, zamiast rąk przy nasłuchujących uszach, zostałyby unieruchomione ręce z transportami żywności, w drodze do szeroko otwartych miejsc przeznaczenia...

Jedna Magdusia, z wdziękiem przybranego w zalotny fartuszek słońia obnosząca dokoła stołu potrawy, jedna Magdusia reagowała na spojrzenie dziedziczki we właściwy sposób. Podawszy gościowi półmisek, starała się usunąć go czempredzej z niebezpieczeństwa, w tempie znikającego mirażu. Niestety! szybkość jej ruchów była mniejszą od zręczności przypuszczanego do potraw ataku, w rezultacie czego kończyło się na dobrych chęciach dziewczyny i złych słowach jej pani, które miały spaść niebawem w kuchni na wyrurkowaną głowę służebnej.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków. W tej bowiem chwili dziedziczka wydała głos, podobny do zakończenia okrzyku tryumfującej z racji zniesionego jajka kury.

— Co pani? Niezdrowa? — sąsiadka jej przy stole, ciotka Krystyny, drgnęła z przestachu.

— Ja... — cała serja podobnych dźwięków przerywa odpowiedź — ja, czkawkę... nerwową, całkiem nerwową...

— Może pani co zjadła i odbija się dlatego? — współczujące pytanie.

— Ja... jeść? Co znowu! Pani widzi, nic... nie mogę. Przemęczenie. Nic... od rana! — wykrzywia boleśnie twarz, myśląc, że miała rację, gdy mówiła Toli o sałatce zbyt tłusto zaprawionej. Nie jadła, tak — próbować jednak musiała, a że smak właściwy mogła znaleźć dopiero po wchłonięciu większej ilości każdej potrawy, nie jej w tem wina, lecz Toli, która dozorowała gotowaniem...

— Przestraszyć, najlepiej wogóle, jednym słowem, przestraszyć. Czkawka minie! — radzi mąż, siedzący z drugiej strony ofiary prób kulinarnych.

— Wogóle...

— Wogóle, gdy spojrzę na ciebie, to powinnam... odrazu czkawkę stracić!... Jak ty wyglądasz?! Nie waż mi się... pić więcej! Zapłacisz potem... doktora!

— Ja nic, tylko zdrowia, toasty, jednym słowem — wypada...

— A kto je wznosi? Ty najczęściej... żeby z okazji skorzystać!

Pan domu, nie okazując się bynajmniej panem sytuacji, milknie speszony. Nie tylko to ma na sumieniu, korzysta również z każdego wyjścia do kuchni żony, aby łyknąć zabronionego mu nektaru. Bo pani, pilnując tutaj Magdusi i męża, musi jednak wpadać do kuchni często, gdyż obecna tam na dyżurze, a wyrodna pod względem oszczędności córka mogłaby dać służbie zbyt dużą porcję ocalałych w jadalni potraw...

Widok własnych pieniędzy, w których oddanie przez Krystynę nie wierzy, widok pieniędzy zjadanych w formie uczty w jej oczach, większą jest męką od bólu pelikana, karmiącego dzieci własnem ciałem! Bo tu ludzie są obcy, a stawili się w ilości... spodziewanej, zadając tem cios nadziei, że nie zjedzie przynajmniej połowa.

Widocznie rodzina Krystyny chciała zamanifestować swe dla niej uczucia w chwili, gdy wraz z zamążpójściem znikająca groźna ewentualność roztoczenia kiedyś opieki nad krewną! Koszta niekosztownych prezentów i cena biletu kolejowego, to drobiazg wobec podobnej asekuracji. Rodzina i koledzy oblubieńca nie zawiedli również, lecz z powodów całkiem odmiennych. Że jednak mieszkali niedaleko, w Warszawie, chęć spędzenia paru godzin na świeżem powietrzu i zapewniony wskutek tego dobry apetyt na weselne przyjęcie odgrywały wśród tych powodów rolę dominującą.

— Sto lat, sto lat niech żyją, żyją nam! Sto lat, sto lat... — chór, o poziomie artystycznym wiosennych kocich popisów, użycza hojnie długowieczności młodej parze. Siedzi ta para pośrodku stołu, ona — z rozpaloną twarzą i błyszczącymi, zaczerwienionymi oczyma, on — wyglądający podobnie, i to wszystko wydaje się wszystkim w porządku. Gorączkowe rumieńce panny młodej wynikają oczywiście z przejęcia sytuacją, no i z mocnych wódeczek, do których picia została zmuszona. Łzy w oczach? — To łzy szczęścia, naturalnie, jakieżby inne w dzień

ślubu wylewać miała! Oblubieniec płonie również nie bez przyczyny, przy młodej żonie i starych trunkach krew chłopcu do głowy uderza! A niech uderza, niema już Elżbietki, przysłali po nią dawno rodzice. Sami wymówili się od obecności na przyjęciu świeżą żałobą po matce, z którego to przecież powodu nie mogli urządzać wesela nauczycielki we własnym domu. Niema tego złego...

— Proszę państwa, chwila uwagi! — wuj Anzelm stuka łyżeczką o szklanke. — Przemówi proboszcz, ciicho...

Znowu widzi Krystyna jowialną, tłustą twarz księdza. Dziwne, jak mógł na niej zrobić niedawno takie wrażenie, dziwne... Lecz pleban już zaczyna:

— Z wielkim żalem, z żalem wielkim, żegnamy tu wszyscy pannę Zaborską. Czem była dla nas, sama wie najlepiej! Te dzieci, które ją żegnały w kościele, dały tylko skromny wyraz naszych dla niej uczuć. Ale żal, jaki odczuwamy z racji jej odjazdu, ale żal miesza się, miesza się... — proboszcz sam zmieszany kończy: — miesza się z radością, że dzisiejsza pani Łubiczowa będzie mogła zużytkować swe wielkie zamiłowania wychowawcze w przyrodzonym dla kobiety powołaniu matki. Szczęść wam Boże!

— Za co on księdzu tak dziękuje? — myśli Krystyna, patrząc na stękającego w odpowiedzi męża. — Czy za jego znajomość dusz ludzkich?...

Proboszcz, wychyliwszy jeszcze zdrowie własne, wszystkich obecnych razem i każdego z osobna, pożegnał towarzystwo, tłumacząc się koniecznością odmówienia w domu przypadających na ten dzień pacierzy. Krystyna, wspomniawszy nie pacierze, lecz wysączone przez wzorowego pasterza kieliszki, wcale się zresztą temu odjazdowi nie dziwi.

Po krótkiej pauzie, wywołanej pożegnalną owacją, znika nadal w gościnnych gardłach tort i wino, dosłownie i w przenośni topnieją lody. Zimny przysmak sprawia przyjemność Krystynie, nabiera je bezmyślnie łyżeczką, gdy gwar wielki zwraca jej uwagę.

— Nie słyszała! Doprawdy, czy to możliwe?! Udaje napewno! Kwaśne wino, kwaśne wino... — skandują wszyscy natarczywie, bezwzględnie.

Krystyna obiega wzrokiem stół dookoła: wuj Anzelm, dwóch stryjecznych stryjów, ciotka zwykła i dwie cioteczne, kilka kuzynek i paru kuzynów o gatunku trudniejszym do sprecyzowania. Dalej zaś — świeżo poznani członkowie rodziny Stacha i jego koadzy. Widzi wokoło rozpalone napojami twarze, otwarte wołaniem usta, ciekawe, chciwe widowiska oczy. Wzdryga się... Kwaśne wino! Ona-by tak zawołać mogła, wszak przez te wódki, to wino — nałykała się upokorzenia do syta!

Krzyk się podnosi jeszcze większy. Stach ją obejmuje, zbliża usta do ust żony i... zachnął się, bo Krystyna usunęła twarz gwałtownie. Śmiech głośny... Własnemu mężowi przeszkodzić w tradycyjnym pocałunku!

— Wstydzi się, to paradne! Nie patrzymy... No, Stachu, śmiało! Niby publiczność na meczu piłki nożnej, dopingująca faworyta, dodają wszyscy odwagi panu młodemu w niezbyt na ogół trudnym przedsięwzięciu. Chociaż nawet potężne mury jeryhońskie zostały skruszone hałasem, pokonanie oporu Krystyny było rzeczą daleko cięższą, ra-

zem bowiem z wrzaskiem obecnych rośnie jej zdenerwowanie i chęć buntu. W chwili jednak, gdy miała znowu odepchnąć Stacha, spotkała jego spojrzenie. Dostrzegła w niem tyle gniewnej obrazy z powodu zachwianego prestiżu pana i władcy, że gdy ów pan i władca powtórnie schylił się nad nią, dała mu już posłusznie usta, zgodnie do treści odnośnego paragrafu niedawno złożonej małżeńskiej przysięgi.

Tradycji stało się zadość, więc pan młody począł doiewać wina, które nabrało należytego smaku, o czym świadczyła imponująca ilość odnoszonych do kredensu butelek. Krystyna, pragnąc zagłuszyć dziwną gorycz pierwszego pocałunku, wychyla kilka kieliszków, pije i szampana, gdy wznoszą nim jej zdrowie, ale wbrew światowej opinii o rozweselających powyższego płynu właściwościach, czuje się coraz bardziej smutna i rozżalona...

*

*

*

— Krysiu, co tu robisz sama w tej pustej jadalni? Czekasz na męża? W salonie jest z gośćmi, może go zawołać? — Młodziutka siostra cioteczna, z racji nadmiernie wybujałego wzrostu nazywana panną o wyższych aspiracjach, chwyta rękę Krystyny.

— Nie, nie trzeba, ja tylko przyszedłam napić się wody.

— Zaraz, zaraz, powiedz mi najprzód, coś czuła, jak on ciebie niedawno... — oblizuje łakomie wargi — pocałował?

— Nie wiem, naprawdę, nie wiem... — Krystyna wysuwa dłoń z wilgotnych, rozpalonych rąk kuzynki.

— żartujesz! Taki rosły, przystojny — coś przecież czuć musiałaś!

— Owszem: czułam wino oraz wypite przez niego wódki! Może nawet — i sałatkową cebulę... — mówi trochę za głośno, patrząc z satysfakcją w rozszerzone zdumieniem cielejące oczy.

— Brzydka jesteś, taka skryta! żartujesz ze mnie. No, dzisiaj — cóż robić, trudno... Ale później, za jakiś tydzień, opowiesz mi wszystko, ja wcale nie jestem naiwna, ja już dawno... Przyrzeknij — opowiesz wszystko!

— Mogę powiedzieć i teraz...

— Naprawdę? co, co? — panienska oblizuje usta coraz namiętniej.

— Mogę powiedzieć, że takie dzieciaki, jak ty, spać już powinny, a nie bawić się zadawaniem niemądrych pytań!

Cielejące oczy zwięża szyderstwo, wysoka kuzynka rośnie jeszcze z wyniosłego oburzenia.

— A ja ci powiem, że ze swemi kazaniami nadajesz się jedynie na bonę głupich bachorów! I twój mąż jest głupi, że się na tobie nie poznał!!!

— Krystyno! — ktoś trąca ramię panny młodej. — Jak się odnosisz do Iruchny?! że ja ci nie mogłam pożyczyć pieniędzy, to ty teraz mojemu dziecku...

— Ciociu, na Boga, cicho! — Krystyna usiłuje odciągnąć ciotkę jaknajdalej od drzwi salonu. — Ciocia nie wie, co mówiła do mnie Irka! Jakie pytania... że ciocia swej córce tyle pić pozwoli?!

— Tak, żałujesz jej, żałujesz oczywiście! — ciotka miota piorunami z zamglonych oczu. — To pewnie liczyłaś wypite i przeze mnie kieliszki?! Miej pretensję do swego męża, który dolewał nam ustawicznie! Ja — dobrze jestem wychowana, nie odmawiam, gdy mnie kto o wypicie prosi! Lecz, gdy ty zaprosisz mię do swego domu, nie przyjdę nigdy, przenigdy, noga moja u was nie postanie! Tfu, obrzydliwa skapica!

— Ależ ciociu, ja nie o to, nie dlatego! Ciocia nie rozumie...

— Tak, niepoczytalną mnie robisz, pijaczkę niedługo uczynisz z ciotki! Pomagałam ci, dywaniki przed łóżka, a ty za to... Pamiętaj, noga moja u ciebie — nigdy w życiu! Przysięgłam...

Dzięki Bogu — myśli Krystyna ze smutną ironją, gdy ciotka nieco chwiejnym, choć pełnym godności krokiem opuszcza jadalnię w towarzystwie tyczkowej latorośli. — Dzięki Bogu, ale — jaka szkoda, poco się stało to wszystko, poco?..

Teraz dopiero nalewa sobie i wychyla szklankę zimnej wody.

— Krysiu, jeszcześ tutaj? Chodź do gości, bawić się trzeba na własnym weselu, nie smucić... Coś nie coś słyszałam — podchmieliły panie troszeczkę... Nic sobie nie rób z nikogo, nawet... z mojej mamy — panna Tola, mówiąc ostatnie słowa szeptem, całuje mocno przyjaciółkę. — Panowie pytają o ciebie, chodźże przedziej!

*

*

*

W świetle lamp, które filowały wielce uroczyście, na fotelach i kanapach łysych, gdzieniegdzie ozdobionych resztką pluszu, zasiedli w salonie weselnicy. Stopień zadowolenia z tego spoczynku zależał od stanu zużycia wyżej wzmiankowanych antyków. A chociaż skala rozkręcenia w nich sprężyn była bardzo rozległa, poczynając od łagodnej wyniosłości górskich przełęczy, aż do ostrej iglicy korkociągu, godzącego złośliwie w ciało, miły wyraz twarzy u gości można było zaliczyć raczej do wyjątków. Zwłaszcza, że odbywał się wówczas popis wokalny stryjenki pana młodego...

Z chwilą, gdy starsza dama, ruszając niepokojąco grdyką, wy dobyła z głębin piersi najwyższe tony, z pod fortepjanu wybiegł z podwiniętym ogonem wielki kudłaty pies, ulubieniec dziedzica, i śpiesznie opuścił salon. Obdarzony nader potężnym głosem, nie czuł się jednak na siłach do wytrzymania damskiej konkurencji.

Po, mówiąc delikatnie, odśpiewaniu przez stryjenkę pieśni, zarządzono długą pauzę, konieczną dla sfatygowanego gardła śpiewaczki, a bardziej jeszcze — dla uszu jej audytorjum. Wtedy to z łagodnego gwaru rozmawiających wybił się duet zirytowanego basu z piskliwym tenorem:

— Pan nie wie! — grzmiał pułkownik, kuzyn Stacha, do pana Anzelm, wuja Krystyny. — Nie wie pan, co to jest kultura!

— Owszem — wycedził słodko wuj Anzelm. — Właśnie kulturą nazwałbym niewymawianie drugim jej braku...

— To znaczy, że jestem niekulturalny?! Tak pan uważa? Ja twierdzę, że niemówienie prawdy w oczy jest tylko dobrem wycho-

waniem, wychowaniem, niczem więcej! Wychowanie zaś, a tresura — to jedno, tresować można każde zwierzę, nawet osła, z kulturą tylko człowiek może się urodzić! To nie jest rzecz do nabycia...

— A szkoda. Chętnie-bym jej panu trochę odstąpił, pułkownikowi...

— Jak mam to rozumieć?!

— Jak się pułkownikowi podoba...

— Więc powiem, że...

— Wuju! — Krystyna rzuca się między rozindyczonych. — Wuju, jak można?! W cudzym domu, na mojem weselu...

Stary człowiek patrzy mętными oczami, pociąga zaczerwienionym jaskrawo nosem. — Ty nie rozumiesz, Krysiu, że pułkownik chciałby mi na głowę... Zresztą — wszystko przez ciebie, żeś się nie dała mężowi pocałować, a on chciał cię... To ja powiedziałem pułkownikowi, że pan młody nie ma kultury, a on — że najwyżej źle wychowany, więc ja, że on, a on, że ja... Wszystko przez ciebie...

Usłyszawszy wokoło śmiech głośny, Krystyna rezygnuje prędko z roli arbitra. Obaj panowie zdradzają alkoholowe podniecenie, sam zaś powód sporu zbyt blisko ją obchodzi...

— Szczęściarz z ciebie, Stachu! — słyszy bełkoczący głos jednego z kolegów męża. — Ładna, mniam, mniam, ładna. Dzika trochę, ale dasz sobie z oswojeniem radę... Ha-ha, własnej żony! Tylko nie pójdz pod pantofel, jest pewne niebezpieczeństwo, jest, radzę ci — za łeb odrazu... Hm, hm — ujrzał obok Krystynę. — Właśnie mówimy o gruntach, tak, o gruntach! Tutaj lepsze, niż u sąsiadów, gdzie była profesorką łaskawa pani! O, sprytny Stach, sprytny, przyjechał tam niby na parcelację, a cichaczem komasację urządził! Co, pani nie pojmuje? Komasaację — scalenie, złączenie... Połączył dwa... serduszka oczywiście — swoje z serduszkiem pani. A potem — rok nie przeleci i parcelację urządzi znowu! Folwarczek dziecinny jeden, później drugi, drugi... trzeci — płacze mu się język.

Krystynę wstręt ogarnia i chęć uciezki. Patrzy na Stacha, in nego zupełnie, niż go znała dotychczas. Jakby całe ciepło i słodycz uczucia zużył w tradycyjnym pocałunku dla osłodzenia wina — właśnie od tego momentu stał się sztywny i zimny wobec małżonki. Z twarzą rozpaloną do czerwoności, uśmiechnięty martwo, prawie obcy jej teraz, wiejący chłodem, nasuwa Krystynie na myśl bezsensowne słowa: „poznaję dzisiaj czarów zasób nowy, mróz gorejący i ogień lodowy...” — Kto to powiedział, kiedy, pogo i do kogo? Miało to być piękne? — Jest okropne w rzeczywistości...

Wtem — jęknął fortepjan, zaatakowany dźwiękami słodkiego tanga. W takt jego melodji, kilka par zaczęło celebrować szereg sennych, przepisowych ruchów, wplatając w nie czasem pas nad wyraz żywe, wykonywane w tempie daleko szybszem. Wkładki owe nie świadczyły bynajmniej o zdolnościach tańczących osób do improwizacji choreograficznej, tylko — o chęci utrzymania równowagi na spotykanych wybojach w salonowej podłodze...

— Czy mogę prosić o jeden choćby taniec? Mąż będzie miał aż za dużo tego i poza tem... — ulizany dokładnie przedział chylił się przed Krystyną.

— O nie, głowa mnie boli! Pójdiesz ze mną, Stachu, na dwór? Tak duszno...

— Jak rozkażesz! Zaraz ci służę... Bądź łaskawa chwilę zaczekać na mnie — odpowiada z suchą oficjalnością zawodowego lokaja i z lokajską również zwinnością wybiega z salonu.

Krystyna wychodzi do sieni, gdzie reszta kolegów z nadmiaru do brych chęci o mało nie rozszarpuje jej okrycia.

— Chciałbym stać się tym płaszczem! — wzdycha marząco najmłodszy.

— Dlaczegoż to? — pyta Krystyna.

— Aby otulać białe ramiona pani!

— Niech pan płaszczowi nie zazdrości — odparowuje właścicielka ramion. — Noc ciepła! Płaszcz nie wezmę, tylko go powieszę... Chętniebym to samo ciepła z panem — dodaje ciszej nieco.

— Co pani?! — uprzejmy młodzian jęknął pytająco.

Krystyna, nie wdając się w objaśnienia słów dostatecznie jasnych, znikła z hallu w towarzystwie nadeszłego właśnie męża.

*

*

*

Piękna, księżycowa noc. Maciejka i tytoń, których całe grzędy ciągną się koło dworu, pachną odurzająco. Wypukła środkiem alejka, szeroka, otoczona żywopłotem, prowadzi daleko przez park i ogród warzywny wprost na widoczny z za rozłożystych jabłoni księżyc.

Krystyna idzie szybko, mężczyzna obok niej, w przyzwyczajonej odległości. Pozornie wszystko jest, jak sobie panna młoda wymarzyła — noc weselna i oni, nareszcie sami... Kobieta — nie skrępowana względami na swą niedostępność, mężczyzna — mogący w pełni z owej swobody korzystać — i co z tego? — Kobieta drży ze zdenerwowania w sposób bynajmniej nie miłosny, a mężczyzna przypomina śnieżnego bałwana — pod względem zimna, oraz cech innych, ogólnie bałwanom przypisywanych...

Ciszę przerywa rozdrażniony głos Stacha:

— Wiesz, tego nigdy nie spodziewałem się po tobie! Mogłaś oszczędzić ludziom przedstawienia! Te komedje z pocałunkiem, co pomysleli o mnie! Żem fajtłapa, niedołęga, jeszcze nie zdążyłem cię przyzwyczaić... To, żeś się drożyła przed ślubem — miało sens jakiś, podobne zachowanie teraz — nie ma go wcale!

— Przecież... dałam ci się pocałować, a ty...

— Dałaś, owszem, ale po jakich ceregielach! Dałaś — ale z miłą gilotynowanej monarchini! Kobieta bez temperamentu wogóle do jego braku przyznawać się nie powinna...

Tutaj jednak nastąpił wybuch temperamentu Krystyny, ale w nieoczekiwanej i najmniej upragnionej przez Stacha formie — wielkiego gniewu:

— Ja zimna?! Cożes za mężczyzna, jeśliś nie poznał się na tem?! Ty mi to mówisz, ty?! Nie wiesz, co czułam wtedy, przy kolacji, masz pretensję do mnie, że nie dałam odrazu... Mówisz, że ja zrobiłam przedstawienie! Czy raczej nie jest komedją pocałunek, zadowolający cie-

kawość ludzką, pocałunek dla zwyczaju?! Kwaśne wino! — żeby jeszcze tak nie wołali... Nie cierpię tych tradycji, tego picia, kolegów twoich, żartów ich, dowcipów! Nie wiesz, jakie miałam przez twoje trunki przykrości, wszystko mi zepsuły, wszystko!...

Staje, ujęta silnie. Ręce zazwyczaj tak łagodne, ręce kochanego człowieka, ściskają jej dłonie w przegubach, aż do bólu. I razem z przepojonym alkoholem oddechem padają w twarz Krystyny bezlitosne słowa:

— Opamiętaj się, scen mi nie urządź! Myślałem żeś nerwowa, uczuciowa jedynie, a tu rzeczy stoją znacznie gorzej — na histeryczkę zakrawasz! Jestem człowiekiem z charakterem, od kaprysów niczyich zależeć nie będę! żarty moich kolegów cię uraziły? Śmieszne przeczulenie! Sam dolewałem im bez końca, co można wymagać od nich! Znamy się oddawna, oddawna pijemy ze sobą. Dobrzy, poczciwi towarzysze. Dzisiaj ja ich, jutro mnie oni... Cóż ci przeskadzają wódki, wino? Gniewasz się, że nie mogłem oddać przez to pieniędzy? Ależ rodzice twojej przyjaciółki poczekać mogą z zapłatą! Zresztą — słuchaj, Krystyno! Do innych masz pretensje — a jak zachowujesz się sama? Zastanów się, czyś sama nie wypila za dużo? Możesz dlatego taka — inna niż zawsze? Wolałbym już, aby tak było, niż...

Puszcza ją, odpycha prawie, zapala nerwowo papierosa.

Pod wrażeniem ostatnich słów mężowskich, krew uderza Krystynie do twarzy. „Samaś piła za dużo...“ Piła... za dużo... Tak, Stach ma rację, niestety rację, choć powiedział, że woli... O, może i Krystyna wolałaby szukać w tem picciu tłumaczenia swej nadmiernej wrażliwości! Histeryczką została nazwana... Ona, Krystyna, chwalona zawsze za takt i zrównowazenie — jakiegoż to tonu użyła wobec Stacha przed chwilą? Nietylko jednak wskutek picia alkoholu... Gdybyż Stach słyszał, co jej i w jaki sposób powiedziała dziedziczka! Musiała to odczuć boleśnie, choć ani kropli wina nie miała jeszcze w ustach! Gdyby sam słyszał — bo takich rzeczy powtórzyć mężowi nie potrafi... Lecz potem — możliwe, iż zmuszona do wychylania coraz nowych kieliszków, a do picia wogóle nie przyzwyczajona, przestała reagować normalnie. W tych warunkach miały miejsce wszelkie „uprzyjemnienia“ wieczoru. Historia z tradycyjnym pocałunkiem, kłótnia z tyczkową kuzynką, wyrzuty opatrnościowej ciotki, pułkownik bez kultury i wojowniczy wuj Anzelm, dziecinne folwarczki, dowcipy, obelgi, wyrzuty — wszystko to zalane winem miesza się, płacze... Niewiadomo kto ma rację: Krystyna — czy Stach, koledzy, kuzynka, ciotka...

Łzy gradem zaczynają padać z oczu, odwraca się tyłem do męża, aby nie miał nowego dowodu na poparcie swojej diagnozy.

— Co się stało, Krystyno, Krysiu? — kładzie jej dłoń na plecach. — Drżysz? Chłodno ci? No, daj pokój, przytul się do mnie! Takaś drobnutka... Nie gniewaj się, piłem dużo, może coś ci powiedziałem za ostro, to tak ze mną zawsze... Trudno, musisz się przyzwyczaić...

Ramiona męża coraz mocniej tulą Krystynę. Panna młoda, z westchnieniem ulgi schowawszy twarz na piersiach swego prześladowcy, skrapia obficie łzami nieskazitelną, ślubną kamizelkę.

— Stachu, dlaczego to wszystko?... Mój Boże, a tak przyjemnie mogło być dzisiaj! Masz rację — piłam dużo, nigdy nie jestem taka...

histeryczka! Ale wszyscy pili i przez to... tyle przykrości... znosić musiałam! O, Stachu, gdybyś nie kupował, gdyby nie to picie — inne mielibyśmy wesele!

Lecz Stach nie odpowiada, nie oburza się na złorzeczenie tradycjom — jest bowiem zajęty w równie tradycyjny sposób osuszaniem łez żony. Któryż to mężczyzna nie używa od początku świata pocałunków, jako uniwersalnego środka, stosowanego z najmniejszym wysiłkiem intelektu i najlepszym skutkiem w przeróżnych wypadkach?

*

*

*

— Konie, gdzie konie dla państwa młodych? Zajeżdżajcie, Antoni!

— Jeszcze jednego, twoje zdrowie, Stachu! Zdrowie żony! Na intencję szczęśliwej podróży!

— Dziękuję, dziękuję... Dobrze siedzisz, Krysiu? Może okryć ci nogi?

Hałas kół powozu, pożegnalne okrzyki i psów szczekanie zagłuszyły odpowiedź Krystyny. I już tupot koni na twardej szosie, lekki chłodny wietrzyk nadchodzącego ze wschodu dnia.

— Nie spóźnimy się na pociąg, Antoni? Coście nie zajeżdżali tak długo?

— A bo to pon nie wiedzą? Szkapym zakładał do bryczki, co poszła z Wojtkiem po doctora. Dziedzic chory, powie da dziedziczka, ciężko chory! Gdzie-ta chory — schlał się pewnikiem, to i zdrowego szlag trafić może, co dopiero chuchyrko takie! Klena ci dziedziczka, klena, aże ją roznosiło ze złości. Wszyćko bez to wesele, powie da...

Roma Luxówna.

NOWE ŻYCIE.

— Słuchaj, stary! byłam na Krochmalnej u Antka, tam, jak zawsze, to samo co było. Synowa płacze, dzieciaki w dziurawych butach, kaszlą, że pożał się Boże, a Antek ciągle, jak bela pijany. Już dwa razy ostrzeżenie było od kierownika, a za trzecim razem to go na „zbity łeb“ z pracy wyleją. Prosi synowa, tłumaczą sąsiedzi, nic nie pomaga. Utrapienie Boże z tym Antkiem: w go to się wrodziło?

— Wiesz, stary! możebyś jeszcze raz poszedł, i tak po ojcowsku przemówił, co?

Walentowa ściągnęła kraciatą chustkę z głowy, przepasała fartuch i zabrała się do obierania ziemniaków, raz po raz jednak rogiem fartucha ocierała płynące po zoranej bruzdami zmarszczek twarzy, grube łyzy.

— Czego buczysz — ozwał się duży tęgi mężczyzna, z siwiutką, jak mleko, czupryną. — Pójdę jeszcze dzisiaj do tego „psu-brata“, może co pomoże, ale i tak mi się coś widzi, że te małe sieroty na nasze ręce przyjdą.

— Czekaj! coś mi do głowy przyszło, polecę jeszcze dzisiaj do

pana doktora, co to u mnie kredens i łóżka stalował, to taki widać porządny człowiek, może mi co do Antka poradzi.

Starej Walentowej jakoś raźniej zrobiło się na duszy, a krzywy kozik zaczął prędzej podważać łupy od kartofli, nawet ogień w kominie wyskoczył do góry, jakby na wiwat.

Wieczorem wybrał się Walenty do p. doktora, długo tam siedział, a gdy wrócił do domu, miał jakąś tajemniczo uśmiechniętą minę.

— No i co? — zagadnęła go żona.

— Czekał, niech buty ściągnę, bo taka plucha na dworze, aż mi przemiękły, a doktor kazał uważać, że to niby grypa lata po świecie, jak wiedźma, na miotle i co raz to kogoś zgarnia. A co do Antka — zaczął, stękając przy szamotaniu się ze ściąganymi butami, — to widzisz taka rzecz. No co tu dużo mówić, będzie dobrze, zobaczysz, tylko teraz cały sęk w tem, jakby go do leczenia namówić. Jest na Czerniakowskiej taka przychodnia — poradnia dla alkoholików, gdzie tak ich delikatnie, ale stanowczo leczą, że już nie jedną rodzinę od nieszczęścia uchronili. Tylko jak go tu na taką lecznicę namówić, wiesz, jakie to rogate stworzenie.

— Może jednak ty się tego podejmiesz — rzekła Walentowa.

— A ja myślę inaczej, zawsze to matka jakoś lepiej za serce chwyci, tylko nie za ostro do Antka, bo jak się razem z synową weźmiecie, to gotów jeszcze z domu uciec.

Stali tak dłuższą chwilę przy oknie, patrzyli na skrawek szarego nieba, jak by złapany w paszczę żelaznych dachów kamienic, szukali może w tym smutnym rozplakany niebie odpowiedzi. Wreszcie Walentowa zdecydowała, że jutro niedziela, to niby z kościoła wpadnie na Krochmalną i spróbuje.

— Ja też tak myślę — ozwał się stary przez wszystkich szanowany stolarz Walenty Jagoda. — A wiesz, ten pan Doktor, to bardzo porządny człowiek, kredens bardzo chwalił i obiecał, że na wiosnę, zdaje się, będzie córkę wydawał za mąż, to dla młodych całe umeblowanie u mnie obstaluje i obiecał jeszcze, że jak tylko Antek się na Czerniakowską zgłosi, to sam tam z lekarzem pogada, żeby Antka tak wzięli w obroty, aż z chłopca porządnego człowieka zrobią. Bardzo dobry człowiek, daj mu, Boże, jak najlepiej.

— Daj Boże — przywótórzyła kobieta i wzrok jej padł na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

— Patrz, co ze mną się dzisiaj zrobiło, wszak to sobota, a ja chyba pierwszy raz zapomniałam przed obrazem lampkę zapalić.

— Starzejesz się! — zażartował Walenty.

— No bo widzisz, żal mi okropnie synowej i tych dwojga chudziaków, taką mam przez to głowę skołataną. — Sięgnęła po lampkę, wlała oliwy, zapaliła, a ustawiając ją przed obrazem, szeptała: — Matko miłosierna, wysłuchaj modlitwy starej matki i odmień Antka, żeby do wódki wstręt poczuł i żył po Bożemu.

*

Noc kroczy poważnie za oknami. Księżyc wypłynął, roztrącił szare natrętne chmury i pozapalał gwiazdy. Śpią strudzeni ludzie po ciężkiej pracy. Molązga się żółte światelko przed obrazem Matki Bożej

w czystej izdebce u Walentego Jagody. Aniołowie liczą grzechy i złości ludzkie, ważą je na wagach sprawiedliwości, a Sędzia Najwyższy łączy sieroty i czynami ludzi „dobrej woli“ na szalach wieczności je przeważy.

*

— Babcia przyszła, babcia! — wołają dwaj mali chłopcy, i pędzą do drzwi, aż im kasztanowate czupryny się trzęsą. Podniosła się z taboreta młoda, wychudła, kobieta.

— Witaj Mamusiu! — ucałowała rękę swojej teściowej. — Jak dobrze, że mama przyszła, bo Antek od wczoraj jeszcze nie wrócił, ja całą noc przeplakałam; co będzie, jak go z fabryki wyleją, jak ja samem praniem i haftowaniem na ten drobiazg zarobię.

— Cicho Marychno! cicho, jakoś to będzie, zobaczysz, nie martw się, patrz, jak ty wyglądasz. Oczy czerwone, jak u królika, a twarz biała, jakbyś dopiero co ją z worka mąki wydostała. Tak nie można — słyszysz, co ci stara teściowa mówi. Ja też byłam młoda i siedmioro dzieci wychowałam. Też różnie tam było, a nigdy rąk nie załamywałam, tylko pomodliłam się i do roboty, a Bóg zawsze był łaskaw i jakoś to było. Idź-no ubierz się, ogarnij, i poleć do kościoła, ja tu dzieciaki przypilnuję i na obiad coś zrobię.

— Dzieci aż piszczały z radości. Tak, tak, — babcia ugotuje i będzie znowu opowiadać takie cudne bajki o kartofelku, co to nie chciał w ziemi leżeć i o słońku, które chodziło z dużym piecem i zimą śpiące zboże ogrzewało....

Młoda Jagodzina ucałowała dobre, spracowane ręce teściowej i strąciwszy jeszcze kilka niesfornych łez, zabrała się do wyjścia.

— Babciu, a czy słońko znalazło tą biedną pastuszkę, co zasnęła pod stogiem siana? — wołał mały 5-cio letni Jędrus.

— Pastuszka nie zmarła? — zapytał poważnie 8-letni Janek.

— Zaraz, zaraz, bachory, czekajcie, aż wody przyniosę, i ogień rozpalę...

*

Zegar na komodzie cykał wolniutko. — Na blasze kotłowała się woda, a babcia siedziała na zydelku i opowiadała cudne bajki.

Już była 5 po południu, gdy ktoś brutalnie zaczął walić obcasem w drzwi.

— Antek — wyszeptała młoda żona.

Otworzyła Walentowa.

W drzwiach stanął wysoki, przystojny mężczyzna, bez czapki na głowie, w zabłoconej starej jesionce. Na widok matki dziwnie się jakoś zmieszał i wyprostował.

Kobiety spojrzały na siebie. Stare oczy spoczęły na postaci syna.

— Widzi mama — miałem pracę nocną, no i zmęczyłem się... koledzy... tego... zimno... — zaczął się jakać, całując matkę w rękę.

Dzieci cichutko kucnęły przy łóżku.

Narazie matka nie mówiła nic, ani też nie pozwoliła mówić synowej. Gdy się trochę posilili, zaproponowała znowu Walentowa, żeby Marysia wyszła z dziećmi na spacer.

Gdy poszła, zabrała się dopiero stara do tłumaczenia synowi.

Długo tłumaczyła. Włożyła w swoje gadanie całe duże serce matki i cały rozum, co go przez długie życie uzbierała...

Dawno już latarnie zapalono na ulicach, a reflektory samochodów wypisywały rozmaite żółte figury na asfalcie jezdni, gdy Walentowa gramoliła się do tramwaju.

— No i co? — zapytał ją mąż, gdy wróciła, — jak ci poszło? Ja tu cały dzień bez ciebie i chłodny i głodny.

— No tak, wiedziałam, — ale trudno, takem się namęczyła, tak nagadała, a Antek nic, tylko „wstydę się, nie pójdę“; wreszcie stanęło na tem, że pójdzie we środę po południu.

Nie wiem tylko, czy pójść za nim dopilnować?

— E! nie, daj spokój, chyba tyle ambicji jeszcze ma.

*

W przychodni dla alkoholików cicho zupełnie, kilku mężczyzn starych i młodych siedzi na ławkach. Nic nie mówią i zdaje się chcą jeden drugiego nie widzieć, przeszła siostra w białym fartuchu. Spojrzała dobrymi oczami na pacjentów — wszak to są zbląkane istoty, którym trzeba pomóc, pomóc jak najdelikatniej z dobrem słowem na ustach. Rozumie to siostra i patrzy na te skulone postacie dobrymi szarymi oczami.

Właśnie przy stoliku zapisów stanął wysoki, młody, przystojny mężczyzna.

— Tak, o poradę.

— Nazwisko? —

— Antoni Jagoda.

— Niech pan siądzie i poczeka...

Gdy młody Jagoda wyszedł na ulicę, dziwne miał uczucie.

Coś w nim się buntowało i krzyczało „e! bujda — cóż znowu tak złego wódka...“

Z drugiej strony czuł się dziwnie jakoś zażenowany.

Taki dobry pan doktor, taki mądry, jak ojciec. Nikt go za nic nie ganił, nie pytał, tylko proponował i mówił...

Długo tak bił się z myślami, aż wreszcie postanowił. „Niech i tak będzie. Leczyć się, to leczyć się: Może rzeczywiście tak trzeba“. Zaczął iść szybko, cicho pogwizdując, włożywszy głęboko ręce do kieszeni palta.

*

Dużo przeszło czasu od owej pamiętnej wizyty Antoniego Jagody w przychodni dla alkoholików.

W dwóch mieszkankach u starych i młodych nie jedne ciężkie chwile zapisał kalendarz na swych kartkach, aniołowie w nocy dużo łez-perełek nanizali na srebrne nici i nieraz smutny księżyc odwracał swoją pocziwą szeroką twarz od czyściutkich szyb w oknie u Walentowej i Marychny Jagody, aż znojne lato rozrzuciło swe hojne dary po ziemi, pachniały kwiaty i kwitło żyto na polach, kraśniały maki wśród zbóż. Zakwitły też delikatnym rumieńcem policzki młodej Jagodziny, a na zmarszczki starej twarzy Walentowej uśmiech położył swą

dobrą dłoń, Antek spełnił daną sobie obietnicę. Zaczął się leczyć, był najpilniejszym z pacjentów. Doktor, który obiecał stolarzowi, ojcu Antka dopomóc, zajął się też gorliwie sprawą uzdrowienia nałogowego alkoholika.

Nieraz wpadał Antek do ojca, do warsztatu, nieraz też mu pomógł w heblowaniu, czy bejcowaniu, czy klejeniu, ale był trzeźwy i wesół. Żonę wysłał z dziećmi do teściowej na wieś, a sam pracował i ani razu nie opuścił fabryki. Modlitwy obydwóch kobiet zostały wysłuchane. Młody Jagoda zaczął nowe, szlachetne życie.

Jadwiga Daniłowicz - Moraczewska

ZE ŚWIATA KSIĄŻEK.

„Kto pragnie odrodzić swego ducha, wzmocnić i rozwinąć utajoną własną indywidualność, niech codziennie odchodzi w świat książek i głęboko nad nim rozmyśla“.

Georges Duhamel.

W walce z alkoholizmem pomocnymi są rozmaite czynniki. Stale propagowane przez nasze pismo czytelnictwo jest jednym z tych środków, który działa nie tylko drogą zewnętrzną, mechaniczną, przez sam fakt zajęcia czasu w domu, czy w czytelni i uniemożliwienie przesiadywania w knajpie, ale przede wszystkim przez swój wpływ budzenia zainteresowań intelektualnych, czy artystycznych, które z kolei urabiają człowieka na jednostkę bogatszą, bardziej wartościową. Można twierdzić temu przeciwstawić zjawisko znane wszystkim, że nie każdy chce czytać, choć może. Moje osobiste obserwacje idą w kierunku skonstatowania faktu bardzo przykrego, że duża, zbyt duża liczba osób z tak zwanej inteligencji, nie czyta, lub czyta w sposób taki, że niepodobna go nazwać „czytaniem“. Natomiast widzę ludzi, pracujących fizycznie, garnących się z zapalem do książki i mających zupełnie konkretne wymagania od książek, o czym zresztą będę pisać osobno. Prowadząc wypożyczalnię książek przy Tow. „Trzeźwość“, obserwuję wielką różnorodność typów czytelników, dowodzącą istnienia silnego poczucia wartości książki dla życia człowieka i jestem najgłębiej przekonana, że nie grozi naszemu krajowi „zmierzch“ książki, jeżeli tak zwanym „dołom“ społecznym udostępni się masowe korzystanie z czytelni i bibliotek. Rzecz prosta, że jakoś szkolnictwa i jego powszechność odgrywa tu zasadniczą, przygotowawczą rolę. Stan czytelnictwa danego kraju jest jednym ze sprawdzianów jego kultury, ilość zaś prywatnych księgozbiorów, jak słusznie powiada Georges Duhamel, jest wynikiem pogłębienia owej kultury, przeniknięcia się nią do szpiku kości, rozmiłowanego obcowania, stałego, nieustannego, pełnego smakosztwa przetrwania tego dorobku twórczości, który najbardziej danej jednostce odpowiada.

„Wielkie biblioteki publiczne nie wystarczają potrzebom człowieka. Prawie każdy, najuboższy nawet, posiada małą gromadę książek, stanowiącą dla niego prawdziwy, uprzywilejowany skarb“. „Człowiek,

szukający własnego oblicza, przez samotne czytanie odnajduje siebie". „Człowiek normalny doznaje takiej potrzeby czytania, jak oddychania i picia“.

Jakżeż często przychodzą mi na myśl powyższe słowa Duhamela, gdy stykam się z naszą rzeczywistością. Oto parę obrazków.

W domu pewnych bardzo zamożnych mecenasostwa (duża praktyka, salony, dwie służące) pani domu skarży mi się, że nie mogła dotychczas przeczytać nowej książki, o której tyle się mówi i pisze, bo... w czytelni jest kolejka i otrzyma ją dopiero za kilka dni. A dalej utyskiwania, na ciężkie czasy, na taką drożyznę książek, że niepodobna jest kupować. Rzecz prosta, że trudno mi było powiedzieć szczerze, nie o drożyznie książek, lecz o intelekcie samej pani. A teraz inne środowisko: żona metalowca opowiada mi z zadowoleniem, że nie tylko korzysta z czytelni Tow. „Trzeźwość“ (bezpłatna), ale zapisała się do czytelni prywatnej, płaci 1.20 gr. miesięcznie, bo chce przeczytać kilka książek, których nie ma u nas. Wiem, że mąż jej czas dłuższy nie pracował, i te 1.2 Ogr. miesięcznie wydane na wypożyczenie książek mają znamienne wymowę, w zestawieniu z biadaniem dobrze sytuowanej pani mecenasowej.

Inny przykład. Słucham wywodów bardzo uczonego pana profesora o polityce, wypowiedzianych z bezapelacyjną pewnością, że tak jest, a nie inaczej — że to, a to bezwzględnie musi zniknąć, a zapanuje coś wręcz odmiennego, bo tamto jest przeżytkiem, a to jest postępem i t. d. I nie to jest ważne, że ja np. myślę naodwrot, że to, co dla „uczonego“ pana profesora jest jasne i pewne, dla mnie jest właśnie przeraźliwie ciemne, — ale to, że w pewnym momencie przerywam mu potok słów i ośmielam się wtrącić, iż mam wrażenie, że on czyta tylko jedną gazetę i bezkrytycznie wierzy wszystkiemu, co ona pisze, i że pada odpowiedź, jakgdyby tryumfująca, że nie ma czasu na czytanie kilku, że czyta jedną, wybraną, mającą bezwzględną słuszność we wszystkich swych ideologicznych założeniach; a pozatem czyta prace naukowe.

Zawsze byłem zdania, że szkoda czasu na rozmowę o bieżących wypadkach politycznych z człowiekiem, czytającym tylko jedną gazetę, teraz utwierdził mnie jeszcze mocniej w tem przekonaniu mój szanowny rozmówca. Jeżeli jedna wybrana gazeta, mająca w oczach czytelnika patent na „nieomyślność“, może „uczony“ mózg tak zamroczyć, że nie widzi różnostronności i skomplikowania życia bieżącego i zadawała się jedną receptą, mającą załatwić wszystko to, co się przetwarza, załamuje, z trudem szuka wyjścia i rozwikłania dla tylu powstałych i coraz to powstających nowych problemów, to cóż się dzieje w przeciętnym mózgu szarego człowieka?

Tymczasem ów szary człowiek przekonał mię, że niepotrzebnie się o niego troszczyłam bo posiada on doskonałe wyczucie rzeczywistości, instynkt nieomyślny, ułatwiający mu właściwe orjentowanie się w sytuacji. Oto dowód.

Na jednym z zebrań, które odbywają się co sobota w naszym Towarzystwie, i na których oprócz muzyki, gier, tańców, jest czytelnia pism, jedna z członkiń, krawcowa, mówi mi, jak to jest dobrze, że mamy zawsze kilka gazet różnych kierunków, bo gdy się je przejrzy, to można się zastanowić nad tem, co się dzieje na świecie i co które pismo

mówi, porównać jedno z drugim i choć kawałeczek prawdy wiedzieć. Byłam zaskoczona, zdumiona — powiem więcej: wzruszona. Krawcowa wie, że gazetę można przejrzeć, przerzucić w ciągu 10 minut, że, nie tracąc czasu na czytanie od deski do deski, można szybko uchwycić z każdej — rzeczy istotne, najważniejsze i... pomyśleć nad niemi. Opowiada mi dalej, że zasmakowała w czytaniu, że z bardzo zajętego dnia stara się zawsze „wykroić“ trochę czasu, by zajrzeć do książki, że ma już cały spis książek, które chce kolejno przeczytać, a o których znalazła sprawozdania w gazetach.

Zbliżamy się do podstawowego stwierdzenia na drodze faktów codziennych, jak bardzo silnie zaczyna się ujawniać potrzeba czytelnictwa wśród ludzi pracy, a to jest objaw, będący, jak wiemy, naszym sprzymierzeńcem nieocenionym w walce z alkoholizmem. Potwierdzenie tego zjawiska znajdujemy w bardzo pięknej książce Bojera: „Ostatni Wikingowie“¹⁾. Lars Kristaver, młody, początkujący rybak, po raz pierwszy wyruszył na wielki połów ryb na Lofoty. Zwyczajem odwiecznym musiał ugościć starych rybaków wódką, musiał się tym sposobem „wkupić“ do ich grona. Cała noc pijatyki i bójek strasznych, zażartych, w których znajdowały ujście wszystkie tajone, dawne urazy między różnymi grupami rybaków—bójek, które się przenosiły na wybrzeże i „w kupach śniegu bili się ludzie“. „Plac leżał przed chwilą biały od śniegu w świetle księżycy, nagle wpadła gromada, ugrzęzła w śniegu po pas, druga czereda, która się chciała rzucić na pierwszą, ugrzęzła także nastąpiło zderzenie, machanie rękami i nogami w chmurze śniegu. Wreszcie obie gromady uderzają na siebie, ale jeden z dowódców, Jakób, tkwi zupełnie bezsilny aż po pachy w śniegu, wywija tylko ciągle pustą flaszką i woła: „Łapać ich, chłopcy! Naprzód, chłopcy!

„W tem nadbiega chłopak, ścigany przez drugiego, a ścigającym jest Lars, który zdziczał zupełnie i trzyma w rękę nóż. W tej samej chwili Henryk chwytą go za ramię, i kiedy chłopiec, nieposkromiony w swej żądzy walki, podnosi nóż, dostaje policzek od dłoni cięższej, niż dłoń ojca, twardszej, niż jakakolwiek ręka, z którą się dotąd zapoznał. Wkrótce potem wchodzi Henryk z chłopcem na plecach do chaty i rzuca go ojcu do stóp:

„Masz go, — rzekł tylko.

„Po chwili chłopak uczuł, że ręce ojca były łagodniejsze, gdy go rzucały na przyczę“.

Tak się zakończyło pierwsze pijaństwo młodego Larsa, chłopca spokojnego i wrażliwego, który pod wpływem wódki, gdyby nie opieka czuwającego nad nim zdaleka Henryka, mógłby popełnić zbrodnię nawet zabicia człowieka w walce oszalałej i nieprzytomnej.

I oto ten sam Lars, w parę dni potem otrzymuje list od dziewczyny, która jest mu bliską. List ten wyzwała w nim uczucia, jakżeż inne od tych, które przeżywał pod wpływem wódki:

„Lars siedział na górze w siudwestce i jasnym kaftanie, trzymając w rękę pierwszy list od dziewczyny, a to nie drobnotska. Patrzył na szare morze i zapomniał na dłuższy czas wstać. A on chodził z Ka-

1) Johan Bojer: „Ostatni Wikingowie“. Ins. Wyd. „Reneissance“, str. 238. Warszawa. 1939.

nelesem do dziewczyn, które mogły mieć trzy czy cztery tysiące mężczyzn! Upił się, wywijał nożem i siedzi tu ze szramami na twarzy od bijatyki, a przecie dostał taki list. Czy można było to pojąć?

„W każdym razie jasne dlań było jedno, że teraz musi zerwać z tem grzesznym życiem i stać się innym człowiekiem. Oczerniał się wielce, nazywał się opojem i rozpustnikiem, wreszcie wykombinował, że jest krzywoprzysięcą i mordercą. Ale widział ratunek: młodą kobietę, której obraz promieniał przy niej coraz częściej. Odmalował ją sobie cudownie piękną, bo tem świętszą stawała się jego własna dusza.. W nocy, gdy inni spali, wstał skrycie i zaszył list w podszewkę kamizelki, aby towarzyszył mu zawsze, jak dobra moc. Nastał zupełnie nowy i przedziwny czas. Snuł się, słysząc w swem wnętrzu przedziwne dźwięki organów. Skoro tylko wynurzy się dobra myśl, natychmiast ulata ku niej. Gdy za tęskni na chwilę do matki i swoich, również i na Ellen Koya pada małe światelko. Tylko ostrożnie, bo jest tu wszędzie uroczyście, jak w kościele. Pewnego dnia zauważył, że Per Suransa ma dziury w skarpetkach, więc nie ustąpił, aż je zeń ściągnął, aby mu je zacerować. Nie znał gorszej roboty, ale chciał sobie samemu dowieść, że stał się innym człowiekiem i kiedy pracował igłą, myślał o różnych rzeczach, a w pewnej mierze czynił to też i dla niej.

„Pewnego wieczoru popłynął do domu rybackiego, gdzie proboszcz wypożyczał książki. Wszak było jasne, że Lars musiał teraz poważnie zacząć się uczyć. Dla niego wystarczało oczywiście być przez całe życie rybakiem, jak jego ojciec, ale dla Ellen Koya, to nie wystarczało. Zaczęło się w nim niejasne szukanie, widział nieokreślone światło, chciał tam dotrzeć. Istniał świat z większymi myślami, z piękniejszymi okolicami, mędrszymi ludźmi, niż ten, w którym się obracał i świat ten znajdował się w książkach.

„W pokoju bibliotecznym rybackiego domu tłoczyli się spaleni wiatrem ludzie, którzy wyciągali rękę, na długo przed tem, nim przyszła na nich kolej. Czego chcieli ci wilcy morscy od książek? Czy chcieli wyrwać się z wiecznego koła myśli o rybach i pieniądzach i znaleźć upojenie jaśniejsze niż owo, które nam daje wódka?

„Czego chcesz, chłopcze? — spytał proboszcz, gdy przyszła kolej na Larsa.

„Książki.

„Dobrze, ale tu, jak widzisz, jest dużo książek. Czy chcesz mieć opowieść, czy książkę moralną, czy coś historycznego, albo opis podróży?

„Może ksiądz proboszcz da mi taką, którą uważa za najstosowniejszą, — rzekł Lars.

„żeby ksiądz proboszcz nie oddał tylko Szekspira, bo ostatecznie musi raz na mnie przyjść kolej — rzekł młody chłopak północnym djałektem.

„Sądzę, że zaczniesz od opowieści chłopskich Björnsona, — rzekł proboszcz, patrząc, z uśmiechem przez okulary na Larsa. I zanim Lars wyszedł, usłyszał, jak proboszcz rzekł do wszystkich:

„Drodzy przyjaciele, powiedzcież swym towarzyszom, że wypożyczenie książek nic nie kosztuje. Przyprawdźcie ich tu. Dobra książka

jest lepsza, niż *wódka* — powiedzcie im to i dodajcie, że i zabawniejsza“.

Trzeba przeczytać piękną książkę Bojera, aby odczuć niezwykłość sytuacji, w jakiej prowadzi proboszcz walkę ze straszliwym pijaństwem rybaków, których życie w ramach pierwotnego bytowania, ma tak wiele prawdziwego bohaterstwa. Twarda, bezlitosna walka o byt nie może złamać tych ludzi od małości zaprawionych do zmagania się z żywiołem kapryśnego, zagładą grożącego morza. I książka, zdawałoby się coś tak z wyglądu słabego, niemego — dokonuje rzeczy wielkich nawet w duszach pozornie wyzbytych ze wszystkich pierwiastków wrażliwości, czy uczuciowości. Posłuchajmy :

„Nastało kilka dni, które musieli spędzić na lądzie i Lars siedział nad temi opowieściami. Taka książka w chacie rybackiej wygląda bardzo bezdomnie. Jest poplamiona od wielu palców, ale to nic. Jest na brzegach wytarta i okładka jest załamana, ale cóż to szkodzi! Jest to w pewnej mierze rzadki ptak wędrowny, który zabłądził do ziemi polarnej tak, że rybakom żal go prawie, ale teraz trzeba się z nim obchodzić ostrożnie, bo niewiadomo czy stół i wszystko inne jest czyste.. Kristaver (ojciec Larsa) siedział pod ścianą i miał dużo roboty z łataniem sieci; chłopak mógłby mu pomóc, ale on siedział nad książką i znajdował się, jakby w innym świecie. Więc Kristaver nie mówił nic i pracował dalej.

„Czytaj nam głośno, chłopcze, — rzekł Per Suransa, który też łątał sieci.

„Lars nie kazał się długo prosić, pragnął chętnie podzielić się z innymi temi osobliwościami, które się znajdują w takiej książce. Zaczął czytać od początku „Wesołego Chłopca“, ale wnet pożałował tego. Gdyż ta historia o biednym chłopcu, który chce się wybić, by zdobyć młodą dziewczynę, była jemu samemu tak bliska. Zdawało się, jakby wykrzykiwał przed całym zgromadzeniem to, co poruszało go przez te wszystkie dni. Poczzerwiał. Czytał, jakby nie chciał wyjawiać tego, co było w książce.

„W pokoju panowała cisza. Mężczyźni, którzy łątali sieci, powolniej wodzili igłą, ci, którzy zaś klepali młotkiem, siedzieli z beczynnymi rękoma, ci, co łątali buty, podnosili głowy i zapomnieli je spuścić.

„Na dworze huczał wiatr i morze,

„To była rzecz, którą rozumieli. To było ich własne życie, opisane w książce. Zdawało się niemal, jakby dostali list z domu. Tylko nigdy jeszcze nie pomyśleli o tem, że dom i rola mogą być tak piękne, nawet, gdy są małe. Nie wiedzieli, że drobny człowiek może żyć w takiej pełni słońca, ale to było snadź możliwe. Książka ta wywyższała ich we własnych ich oczach, nie każąc im przeto nienawidzić nikogo. Słuchali, tłumiąc oddech. Kiedy niekiedy słyhać było krzanie“. „Siedzieli wciąż jeszcze na nagiej skale w morzu, wśród burzy, ciemności i zimna, ale w książce roztaczały się obrazy letnich, jasnych dni, łąk i lasów, pięknych kobiet, dworów, stad dzwoniących krów. Jakimż wypoczynkiem był widok tych obrazów dla mężczyzn, którzy widzieli tylko morze i skały. Zbudziła się w nich tęsknota do kraju“. „Bo też przekłeta ta książka sprawiała, że dojrzali mężczyźni zachowywali się, jak baby“.

„Hm, to dziwne, ta książka robi nas lepszymi, niż jesteśmy, a ga-

zeta robi nas gorszymi, niż jesteśmy. Przeważnie jesteśmy tacy, jak towarzystwo, które szukamy“.

Przykład wpływu książki na psychikę rybaków, podany przez Bojera, jest niezwykle wymowny. Każdy z nas, we własnym życiu, musi niejedną walkę stoczyć z piętrzącymi się, jak owe fale morskie, trudnościami. Najbardziej wydziedziczonymi i upośledzonymi są ci, którzy nie odczuwają potrzeby czytania, gdyż mają przed sobą zamknięty świat przeżyć i doznań konstruktywnych i twórczych, w których się odradza cała nasza istota. A ten proces odnawiania sił i konkretyzowania ich, biegnie równoległe z uintensywnieniem samego życia, ze wzbogaceniem jego najszlachetniejszych, istotnych wartości.

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

WRAŻENIA Z KURSU ALKOHOLOGJI.

(odbytego w grudniu 1938 r. w Warszawie).

Kościół upomina „Z prochu powstałeś, człowiecze i w proch się obrócisz“. Dziś w wieku przenikania stratosfery, telewizji, alkoholizacji (z djabelkami na dnie kieliszka) i pary — można to nieco innymi słowy wyrazić, gdyż osobnik z jednej — prawnej pary, — łącząc się nieprawą drogą nieprawości z osobniczką z innej pary, szukającą „wyższych wrażeń“, wytwarzają częstokroć w oparach alkoholu nowe twory, a raczej potwory nieziemskie, o których śmiało można powiedzieć: „Z alkoholików powstałeś, potworze — w alkoholika się obrócisz“, lub też „W oparach alkoholu powstałeś — do słoja z alkoholem wrócisz“.

Obecny wiek XX możnaby nazwać wiekiem niezwyklego urodzaju na różnego typu „cudowne dzieci“. A są one cudowne dlatego, ponieważ odrazu przychodzą na świat, jako zupełnie już gotowe, ukształtowane okazy, nasycone niczem gąbka — jadem alkoholu, spijanego stale, a więc nałogowo, przez ich rodziców. Stanowią więc one typowe eksponaty przyszłych histeryczek, umysłowo upośledzonych, neurasteników, kretynów, wodogłowców, epileptyków, narkomanów, psychopatów, eteromanów, defraudantów, szulerów, erotomanów, oraz wszelkiego rodzaju zбочeńców, sadystów, zwyrodnialców i morderców, nadających się raczej, jako figury woskowe na okazy do muzeum anatomiczno-komiczno-mimiczno psycho-patologicznego.

Kto więc z prochu powstał — w proch się obraca. A jeśli ojciec za młodu „pławił“ się w alkoholu po różnych gabinetach restauracyjnych, jako okaz złotego młodzieńca, to znowu syn jego również może się znaleźć w podobnej sytuacji (drogą dziedziczności) i ujrzymy go, jako okaz „pływający“, niczem rybka złota w słoju z alkoholem w gabinecie medycyny sądowej.

Czasami jednak rodzice stają się gorsi, niż był sam Herod, który, jak wiemy, kazał mordować wszystkie nowonarodzone niemowlęta. Trują je, częstokroć w samym zarodku — alkoholem.

Ażeby jak najprędzej, systemem wyścigu pracy, dźwignąć można było Polskę wzwyż, musimy zdobyć się na to, by wszystkie wysiłki na-

sze stały się niezłomną stalową wolą w zwalczaniu ohydnej i zabójczej plagi pijaństwa i dawały jak najlepsze rezultaty.

Precz więc z przestarzałą, niczem nieusprawiedliwioną tradycją pijaństwa! Niech zaginie! Niech przepada na zawsze!

My, trzeźwi potomkowie Sarmatów, musimy dźwignąć Polskę jak najwyżej, idąc za wzorem obu Marszałków Polski, którzy dźwignęli polską armję na wielkie, niedoścignione wyżyny tężyzny i doskonałości.

Brześć n/B.

K. Kwiatkowski.

WIECZORNICA NA POWIŚLU.

W grudniowy wieczór, do jednego z domów na Powiślu zaczęli schodzić się ludzie różnych warstw i wieku. Idące ulicą grupki, zachowaniem swem (nazwałbym wesołem) zwracały na siebie uwagę przechodniów, którzy patrzyli z pewnem zainteresowaniem na beztroskie towarzystwo, gdzie były również osoby starsze, wojskowi, studenci, a nawet i duchowni. W sieni lokalu, do którego wchodzili, na wprost wejścia, wisiał na ścianie dziwny, lecz i straszny obraz, przedstawiający snop żyta, z którego wynurzają się dwie postacie: jedna, to anioł, podający klęczącemu wieśniakowi chleb, a druga, to śmierć z kosą w jednej ręce, a w drugiej trzyma butelkę wódki i daje ją robotnikowi. Dalej widzimy obszerny dziedziniec, jakby miejsce dla wozów i pojazdów. Całość sprawia wrażenie starodawnego zajazdu.

Na pierwszym piętrze lokalu, tuż przy wejściu szatnia, nie pilnowana przez służbę. Przybywający goście wieszają sami pałta, co dziwniejsze, bez żadnej obawy, że przecież może ktoś skraść, lub zamienić garderobę, tembardziej, że wolno jest samemu ubierać się i wychodzić z lokalu. Na prawo od szatni duża sala, w dniu tym zastawiona stołami, na których moc kanapek, ciast i pączków. W głębi sali estrada dla orkiestry i chóru. Inne dalsze pomieszczenia również zastawione stołami. Ściany pokojów i sal obwieszono rysunkami, plakatami i wykresami, przedstawiającymi szkodliwe działanie alkoholu, statystyki i t. p., z napisami w różnych językach świata. Nad estradą pośród tych plakatów Godło Państwa Polskiego, a nad nim napis: „Przyszłość nasza“. W dniu tym zeszło się wyjątkowo dużo gości: nauczycielstwo, duchowni, urzędnicy, kilku policjantów, studenci, robotnicy i wieśniacy. Miało się wrażenie, że to całe towarzystwo jest bliskie sobie i ożywione uczuciem przyjaźni.

Po usadowieniu się przy stołach, na ławach, lub grupkami — kilka panienek, z grona uczestników zebrania zaczęło wnosić na tacach mleko, herbatę, soki owocowe. Towarzystwo ochoczo zabrało się do jedzenia, rozglądając się po ścianach i robiąc rozmaite uwagi, zadając nawzajem sobie pytania i udzielając na nie odpowiedzi.

Gospodarze przygotowali miłą niespodziankę: muzyka, śpiew, deklamacje urozmaicają wieczór. Młodzi się bawią, flirtują, starsi patrzą pobłaźliwie, bo wszak wszystko to się dzieje na trzeźwo. Krążące szkla-

neczki z mlekiem i sokiem owocowym orzeźwiają i dodają zdrowych sił i naturalnego humoru i młodym i starszym.

Usługujące panienki latają jak frygi, dolewają, przynoszą coraz nowe filiżanki, prosząc i zachęcając do jedzenia, a na odmawiających gniewają się, zresztą po to, by za chwilę znowu przybiec z czemś nowym i w dalszym ciągu zachęcać do picia i jedzenia. O pieniądze nikt nie pyta, wobec tego nie ma mowy o rachunkach.

Orkiestra zagrała walca. Rozpoczęły się tańce, które były dalszym ciągiem tego wesela, potrzebą młodych i starszych, zmanifestowania radosnego nastroju, który na „całego“ oświadczył zebranych. Tańce przeplatane były występami artystycznymi, co wytwarzało atmosferę niezwykle sympatyczną i miłą. Około godziny 11-ej, kiedy zabawa w najlepsze się rozwijała, jeden z panów gospodarzy, także również rozbawiony, wszedł na estradę i, dziękując gościom za tak liczne przybycie, oznajmił, że czas do domu, bo jutro rano trzeba przyjść na wykłady i egzaminy. Ze zdziwieniem zaobserwowałem, że towarzystwo rozbawione, roztańczone nie tylko bez protestu, lecz przeciwnie, z wiwatami na cześć organizatorów, poczęło opuszczać spokojnie lokal, by odejść do domu. Pan ów również powiedział, że wieczór dzisiejszy miał nie tylko na celu, podsłuchanie muzyki i rozrywkę, ale że organizatorom przyjęcia głównie chodziło o to, aby pokazać, jak wesoło i pożytecznie można czas spędzić bez podniety alkoholowej. Istotny humor, istotnie szczerze wesoła zabawa może mieć miejsce tylko wówczas, gdy się odbywa na trzeźwo. I „wieczornice“, które z racji rozmaitych okazji stara się urządzać Tow. „Trzeźwość“, są poglądową lekcją, jak się należy bawić, i jak spędzać czas wolny.

Dla wyjaśnienia dodam, że wieczornica ta odbyła się w Polskiem Towarzystwie walki z alkoholizmem „Trzeźwość“ w Warszawie, przy ul. Oboźnej 4, a towarzystwem byli organizatorzy i słuchacze Kursu Alkoholologii p. t. „Alkoholizm i jego zwalczanie“ w Państwowej Szkole Higjenu.

Teofil Broniarek,
starszy posterunkowy P. P.

PRZEGLĄD PRASY.

Tezy Rady Naczelnej O. Z. N. w sprawie polityki ludnościowej i społeczno-zdrowotnej.

Rada Naczelna O. Z. N. uchwaliła w dniu 1.III. r. b. następujące tezy w sprawie polityki ludnościowej i społeczno-zdrowotnej:

Znaczenie narodu polskiego i możliwości spełnienia przez nasz naród misji dziejowej — zależą przedewszystkiem od ilości i jakości elementu ludzkiego, który się nań składa.

Polityka gospodarczo-społeczna państwa winna mieć na celu zapewnienie Polsce należytego rozwoju ludnościowego.

I. Polityka ludnościowa.

1. Doświadczenia historyczne Polski, jej położenie geopolityczne,

perspektywy rozwoju oraz stosunek liczbowy ludności polskiej do ludności państw sąsiednich — nakazuje podjęcie polityki populacyjnej o charakterze ekspansywnym.

Głównym celem i zadaniem tej polityki powinno być:

- a) stałe podnoszenie wartości moralnej i fizycznej czynnika ludzkiego;
- b) utrzymanie przyrostu żywych sił narodu przez ułatwianie wczesnego zakładania zdrowych rodzin, przez otoczenie specjalną opieką rodziny, macierzyństwa, matki i dziecka oraz przez odpowiednie ustawodawstwo eugeniczne;
- c) racjonalne rozmieszczenie ludności ze względu na obronność, warunki gospodarcze, strukturę społeczną i narodowościową.

2. Obowiązkiem każdego Polaka jest wychowanie liczego i zdrowego potomstwa. Państwo powinno otoczyć szczególną opieką liczne rodziny.

3. Problem ludnościowy w Polsce winien być rozwiązany przez planowe i szarmonizowane działanie państwa w zakresie polityki gospodarczej i agrarnej oraz społecznej, kolonjalnej i emigracyjnej.

Wszystkie te działania uzupełniają się wzajemnie i należy je traktować łącznie, zwłaszcza w polityce państwowej.

II. Polityka społeczno-zdrowotna.

Wychodząc z założenia, że zdrowy moralnie i fizycznie człowiek jest głównym fundamentem potęgi i rozwoju państwa oraz podstawą bogactwa narodowego, twórcą i obrońcą jego wolności i niezależności, Obóz Zjednoczenia Narodowego stoi na stanowisku, że opieka nad zdrowiem i zdolnością do pracy obywateli jest jednym z pierwszych i stałych obowiązków państwa.

4. Zadaniem polityki społeczno-zdrowotnej w zakresie akcji zapobiegawczej jest wytworzenie odpowiednich warunków zachowania zdrowia i zdolności do pracy przez podniesienie poziomu kultury zdrowotnej.

W szczególności należy dążyć do:

- a) zracjonalizowania odżywiania, podniesienia poziomu higieny osiedli (dostarczanie zdrowej wody, kąpieliska, należyte usuwanie nieczystości);
- b) racjonalnej polityki mieszkaniowej;
- c) podniesienia higieny i bezpieczeństwa warsztatów pracy;
- d) szerokiej propagandy zasad higieny.

5. W dziedzinie zwalczania chorób głównymi zadaniami polityki społeczno-zdrowotnej są:

- a) prowadzenie zdecydowanej zorganizowanej walki z chorobami społecznymi, przede wszystkim z gruźlicą, chorobami we-

nerycznemi, oraz innymi chorobami zakaźnymi i alkoholizmem;

- b) zapewnienie fachowej pomocy wszystkim, którzy jej potrzebują ze względu na chorobę i niezdolność do pracy (powołanie organizacji gwarantującej powszechność pomocy leczniczej, zwłaszcza dla ludności wiejskiej oraz racjonalna rozbudowa i organizacja ubezpieczeń społecznych);
- c) zwrócenie specjalnej uwagi na zdrowie i zdolność do pracy ludności wiejskiej, stanowiącej główną podstawę rozwoju populacyjnego, a obecnie najbardziej upośledzonej w dziedzinie opieki nad zdrowiem;
- d) zabezpieczenie racjonalnej opieki nad niedorozwiniętymi i psychicznie chorymi oraz zastosowanie środków, mających na celu powstrzymanie rozrodu osobników eugenicznie i społecznie ujemnych.

6. W organizacji służby zdrowia należy uwzględnić przede wszystkim:

- a) planową, szybką i systematyczną rozbudowę sieci zakładów leczniczych (szpitale ogólne i specjalne, domy matki) i ośrodków zdrowia
- b) zabezpieczenie wystarczającego i stałego dopływu należycie przygotowanych i uspołecznionych sił fachowych, powołanych do wszystkich czynności, związanych z wykonaniem opieki nad zdrowiem i zdolnością do pracy obywateli.

7. Celem uniknięcia marnowania przyrostu naturalnego, konieczna jest przede wszystkim ochrona macierzyństwa oraz opieka nad dzieckiem i nad młodzieżą (zwłaszcza nad dziećmi w szkołach powszechnych). Ponadto należy stale podnosić poziom wychowania fizycznego młodzieży.

8. Organa państwowe i samorządowe winny popierać wszelką celową inicjatywę społeczną, dążącą do podniesienia stanu zdrowotnego obywateli.

9. Ze względu na wagę spraw populacyjnych i społeczno-zdrowotnych dla interesów państwa muszą być ustawowo zapewnione dostateczne środki finansowe na powyższe cele.

Ciężary, związane z opieką społeczno-zdrowotną, winny być rozłożone na wszystkich obywateli.

1. Celem należytego przeprowadzenia zasad polityki populacyjnej i społeczno-zdrowotnej mającej podstawowe znaczenie dla obronności państwa konieczne jest wydzielenie z różnych działów i połączenie wszystkich spraw zdrowia i zagadnień z nim związanych w jednym centralnym fachowym ośrodku dyspozycyjnym.

(„Kurjer Poranny“ 5.III. 1939 r.).

Sport i alkoholizm.

W „Kurjerze Porannym“ z dn. 6 marca r. b. ukazało się streszczenie przemówienia p. Dyr. M. Orłowskiego, które ze względu na jego doniosłość podajemy w całości:

„Zarząd Warszawskiego Okręgowego Związku Kolarskiego przystąpił w obliczu zbliżającego się sezonu do organizowania dla członków i zarządów klubów informacyjnych zebrań, celem omawiania aktualnych spraw związkowych. Ta forma aktywnej współpracy zarządu z szerokimi rzeszami członków, niewątpliwie, wpłynie bardzo korzystnie na rozwój działalności organizacji. Obecny na wczorajszym zebraniu prezes Polskiego Związku Kolarskiego p. Feliks Gołębiowski wyraził z tej racji prezesowi W. Z. O. K. dyr. Mieczysławowi Orłowskiemu gorące słowa uznania za znalezienie tak właściwych dróg, które prowadzić będą do pozytywnej pracy związku. Inicjatywa prezesa Orłowskiego, doświadczonego organizatora kolarstwa polskiego, znajdzie, niewątpliwie, naśladowców i w innych okręgowych związkach kolarskich.

Na zebraniu prezes Orłowski omówił szeroko program działalności związku w nadchodzącym sezonie.

W chwili obecnej związek nie posiada żadnego toru dla treningów swych zawodników. Jest to oczywiście wielka krzywda dla sportu kolarskiego, którym stolica słusznie się dotychczas chlubiła. Związek czyni usilne starania o uzyskanie w b. roku od zarządu m. Warszawy terenu na Żoliborzu na urządzenie toru, zanim powstanie wielki park sportowy na Siekierkach. Należy przypuszczać, że prezydent Starzyński, któremu mocno leży na sercu usportowienie najszerzych mas ludności stolicy, umożliwi związkowi wybudowanie na wydzierżawionym terenie drewnianego toru, tembardziej, że zarząd WOZK gotów jest pokryć poważną część kosztów.

Z kolei prezes Orłowski scharakteryzował kolarskie przysposobienie wojskowe, jakie zarząd prowadzić będzie w b. sezonie. Wyścigi w maskach gazowych, wyścigi w pełnym rynsztunku i w „nieznane“ i t. d.

W programie najbliższych imprez zarząd W. O. Z. K. przewiduje zorganizowanie w dniu 12 b. m. meczu pokazowego piłki rowerowej z udziałem niemieckiej drużyny, jazdę akrobatyczną i zimowe mistrzostwa na rolkach przy udziale najlepszych zawodników polskich. Dalsze imprezy przewidywane, to: międzynarodowy wyścig w Alei Niepodległości o wielką nagrodę m. Warszawy, doroczny wyścig do morza, oraz międzynarodowe wyścigi dookoła Polski.

Po wygłoszeniu przez kpt. turystycznego Majewicza krótkiego referatu o znaczeniu turystyki dla kolarzy sportowców i wręczeniu nagród zawodnikom, prezes Orłowski wygłosił odczyt p. t. „Szkic z trybu życia sławnych kolarzy i pewne porównania“, które poniżej w streszczeniu podajemy:

Niewątpliwie niejednym z pp. zawodników — rozpoczął prezes Orłowski — zastanawiał się nad sekretem wysokiej klasy kolarzy zagranicznych, z którymi współzawodnictwo jest tak trudne, nieraz zupełnie beznadziejne. Czemu przypisać tak dużą różnicę klasy? Odpowiedź nasuwa się sama: brak odpowiedniego przygotowania naszych kolarzy, zarówno podczas sezonu, jak i w okresie zimowym. Największą wadą naszych za-

wodników jest unikanie t. zw. zaprawy zimowej, a więc gimnastyki. Nie do pomyślenia jest, aby zawodnik francuski, belgijski, czy włoski nie uprawiał systematycznie gimnastyki i to codziennie. Gimnastyka, to jedyna i najdoskonalsze dopełnienie treningu, aby utrzymać wszystkie mięśnie na odpowiednim poziomie. To nie jest głoślowne powiedzenie, ale pewnik oparty na rezultatach sportowych takich mistrzów, jak: Michard, Scherens, Gerardin, Faucheux, Falk-Hansen, Grassin, Archambaud, Olmo, Bartali i innych. Każdy z tych zawodników w myśl ogólnie przyjętych zasad treningowych, racjonalnie i systematycznie przygotowuje swoje mięśnie do ciężkiej pracy, jaką jest bezsprzecznie praca tęczna kolarza-zawodnika.

Niemniejszym błędem naszych zawodników jest niewłaściwy tryb życia. Wspomnę w tej chwili — mówił dyr. Orłowski — o używaniu alkoholu i nikotyny. Alkohol, to największy wróg sportowca! Nawet najmniejsze ilości alkoholu paraliżują działalność ośrodków mózgowych i wywołują zaburzenia nerwowe. Nikotyna jest narkotykiem, oddziałującym na drogi oddechowe, obieg krwi i działanie serca.

Zawodnik, który nie ma siły woli, aby nie używać alkoholu i nie palić papierosów, powinien raczej wycofać się z czynnego życia sportowego.

Mieliśmy już przykre dowody używania alkoholu przez wybitnych zawodników polskich na kilka kilometrów przed finiszem i to w wyścigach o najzaszczytniejszy tytuł: „mistrza Polski“. Kończyło się tragicznie! Na finiszu zawodnik podniecany alkoholem nie był w pełni sił fizycznych i umysłowych, jechał naoslep, rozbijając siebie i współkollegów.

Ostrzegam pp. zawodników przed tego rodzaju doppingami, które szkodzą przede wszystkim zdrowiu, nie mogą i nie będą tolerowane przez władze kolarskie.

Michard, sześciokrotny mistrz świata i ośmiokrotny mistrz Francji, czy też Scherens, najszybszy kolarz świata, Archambaud, rekordzista świata, który w ciągu godziny przejechał prawie 46 klm., czy też Bartali, ten wspaniały szosowiec i wspinacz, wykreślili ze swego programu życiowego nie tylko alkohol i nikotynę, ale nawet czarną kawę i mocną herbatę. Te gwiazdy kolarskie prowadzą tryb życia według ustalonej, a dobrze wypróbowanej recepty.

Przechodząc do dalszych błędów naszych zawodników, muszę wspomnieć z kolei o nieumiejętnych przygotowaniach sprzętu kolarskiego, wadliwym ustawieniu pozycji (a więc siodełka, kierownika), a przede wszystkim o braku taktyki i złym rozłożeniu sił w czasie wyścigu. Najtrudniejszą sprawą, szczególnie w kolarstwie torowym — krótkodystansowym, gdzie w wielu wypadkach trzeba wydobyć z siebie maksimum wysiłku (demarche i finisz) jest znalezienie najwłaściwszej, a dla kolarza prawie każdego — innej pozycji. Właściwe ustawienie stopy na pedale, umieszczenie siodełka, jak również wyszukanie najwygodniejszej odległości kierownika od końca siodełka i pochylenie, zawodnika ma decydujące znaczenie.

Jak trudno jest znaleźć i ustawić najwłaściwszą dla danego zawodnika pozycję, niech świadczą fakty: Michardowi skradziono kie-

dys rower. W ciągu 2 miesięcy szukał swej dawnej pozycji na nowym rowerze, przegrywając w tym czasie kilkanaście wyścigów, chociaż znajdował się u szczytu formy. Scherens po otrzymaniu od fabrykanta nowej ramy przez 8 dni jeździł po torze z kluczem w ręku i ciągle zmieniał pozycję siodełka i kierownika, szukając swojej pozycji. Zawodnik szosowiec musi pamiętać, że dla niego dobra i wygodna pozycja umożliwi mu wydobycie maksimum energii, bez osłabienia sił, które najczęściej występuje skutkiem nieprawidłowego siedzenia na rowerze. Król szos, zwycięzca zeszłorocznego gigantycznego Tour de France, Włoch Bartali, powiedział: „znaleźć pozycję na rowerze jest tak trudno, jak znaleźć pozycję w życiu“.

W zakończeniu swego przemówienia dyr. Orłowski wspomniał, jakie intencje kierowały nim przy wygłoszeniu tego odczytu, a mianowicie: wskazanie zawodnikom polskim na pewne rzeczy podstawowe, budujące drogę przyszych tryumfów.

Licznie zebrani zawodnicy nagrodzili prezesa Orłowskiego szczerymi i gorącymi oklaskami“.

O wyrób wódki.

(Głos w dyskusji).

W Nr. 1 „Wici“ z dn. 1 stycznia została pomieszczona poniższa notatka:

„Zainteresowanie wsi gorzelniami spółdzielczemi“.

„Wobec trudności w zbycie ziemniaków przejawia się obecnie poważne zainteresowanie rolników w kierunku tworzenia gorzelni spółdzielczych. W opracowaniu znajduje się obecnie 12 spółdzielczych gorzelni, w tym 3 w woj. Warszawskiem, 2 w Wileńskiem i 3 w Poleskiem.

W najbliższym czasie ukaże się podręcznik dla spraw gorzelniowych, opracowany przez Instytut fermentacyjny przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Podręcznik wydany będzie przez Związek Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych“.

Zdaniem moim niezmiernie jest pożądanym rozwój spółdzielczości na wsi, a w szczególności wszelakich spółdzielni przemysłowych, związanych ściśle z drobnym gospodarstwem rolnem. Będą to więc spółdzielnie mleczarskie, jajczarskie, owocarskie, rzeźnie, czy bekoniarnie, suszarnie grzybów, owoców, ziół aptekarskich, wyroby soków bezalkoholowych (płynny owoc), marmolad, dżemów i t. p. Mogą być nawet organizowane spółdzielcze cukrownie, gdyż odpadki z tego rodzaju produkcji, jak wytłoki i melasa mogą być rozwżone do poszczególnych gospodarstw, nawet na dość wielki rejon. Natomiast gorzelnie, dające w postaci odpadków gospodarczych gorący wywar, mogą obsługiwać bardzo niewielki rejon. Tu okazałaby się konieczność budowania wielkich wspólnych krowiarni i wypasania bydła w tych wspólnych budynkach. Pomijam wielką trudność administrowania tego rodzaju przedsiębiorstwem, z powodu możliwości zawleczenia zarazy, ale ważnym jest fakt, że taki budynek byłby zajęty tylko w czasie kampanji gorzelniczej, a cały rok pozostawałby pusty; obciążyłby znacznie przedsiębiorstwo i przyczynił się do obniżenia jego rentowności. Chyba żebyśmy za wzorem bolszewików jednocześnie zaprowadzili jakąś specjalną formę gospodarczą, w ro-

dzaju kołchozów czy sowchozów, co wydaje mi się, w naszych stosunkach nie dałoby się wprowadzić, gdyż nasz rolnik jest z natury i tradycji indywidualistą — chce być na swoim. Jeżeli jednak chodzi o użytkowanie ziemniaków, to do tego nadają się suszarnie ziemniaków, płatkarnie, młyny do mąki kartoflanej, wyroby patoki ziemniaczanej, a w szczególności tam, gdzie cała wieś posiada łąki, nadające się do irygacji, doskonaleby się opłacały krochmalnie, które dostarczałyby pasze na karm, a wody fabryczne są wspaniałym materiałem do irygowania łąk.

Słowem mamy możność organizować najróżniejsze przedsiębiorstwa, a najmniej dla naszych celów nadają się gorzelnie. Pozostawmy ten przemysł wielkiej własności; niech w miarę, jak ona będzie się kurczyć — zniknie i gorzelnictwo. Niech polski drobny rolnik nie ma na swem sumieniu, że przyczynia się do rozpajania swoich braci; niech będzie jaknajdalej od Państwowego Monopolu — nie tylko pod względem konsumpcji, ale i produkcji.

Tu muszę dodać, że tłómaczenie się, iż spirytus może pójść na cele techniczne, to bardzo słaby wykręt, wobec tego, że nie od producenta zależy przeznaczenie spirytusu na taki lub inny cel, a o tem decyduje Monopol Państwowy, który, jak dotychczas na cele techniczne wydziela minimalny procent.

Jeżeli chodzi o nas, to wobec deklaracji o zwalczaniu alkoholizmu, złożonej przez władze Stronnictwa Ludowego, drukowanej w „Zielonym Sztandarze“, winniśmy się stanowczo wypowiedzieć przeciw organizowaniu spółdzielczych gorzelnii.

(„Zielony Sztandar“ Nr 7. 1939).

Aleksander Iżycki.

Powyższy artykuł p. Sen. Iżyckiego porusza sprawę bardzo ważną i zasadniczą: stosunku spółdzielczości do zagadnienia alkoholizmu. Twórcy i propagatorzy idei spółdzielczej w Polsce: Abramowski, Mielczarski, Radziwiłłowicz stali na stanowisku, że spółdzielnie nie mogą korzystać z alkoholu, jako źródła dochodu. Tej samej zasadzie hołduje Związek Spółdzielni „Społem“.

Światła i cienie COP.

Każdy, kto zwiedził COP., wraca z tej nowej Polski z bogatym ładunkiem wrażeń, wzmocniony na duchu widokiem światła uprzemysławiającego się kraju.

Ale nie ma światła bez cieni. Tym cieniem jest obserwowane powszechnie postępowanie miejscowej ludności, przed którą otwarła się droga ku zdecydowanej poprawie bytu.

Dla ludności Rzeszowa i jego ubogich — do niedawna — okolic, powstanie COP.-u i coraz potężniejszy jego rozwój stał się niespodziewanie losem wygranym na loterji. Miejscowy chłop za skrawek swej nieurodzajnej ziemi otrzymywał nagle cenę wielokrotnie wyższą od tej, o jakiej kiedykolwiek mógł marzyć. Przy wożeniu ziemi, cementu, cegły i drzewa znajdował zarobek dodatkowy, o którym mu się dotąd ani nie śniło. Robotnik z miejsca otrzymywał dobrze płatną pracę, a kupiec — zwielokrotniony zysk.

Ludność COP.-u nabrała rumieńców życia i uśmiechu, przestała chwalić „dobre dawne czasy“, gdy biegnąca w pobliżu granica dawała nie zawsze czyste zyski...

Ale... I tu zaczynają się owe cienie dobroczynnej zmiany. Na krępych łydkach cór kmiecych pojawiać się zaczęły jedwabne pończoszki, a w *gospodach poczęło braknąć piwa*.

Przywodzi to na myśl obraz przedwojennego dorobkiewiczostwa Borysławia, który zgarniając złoto, nie miał czasu zatroszczyć się nawet o kanalizację.

A na tem tle COP.-owej gorączki pracy i marszu szybkiego ku dobremu zarobkom ludności miejscowej — dysonans jaskrawy: urzędnik pożyczający na długo przed każdym pierwszym po kilka złotych na przeżycie...

Propaganda oszczędności i myśli o jutrze powinna energicznie zalać COP., aby ludność miejscową *ustrzec przed lekkomyślnem marnotrawstwem dorobku*.

Bodaj ze szkodą dla handlu pończochami jedwabnymi i *wyszynku piwa!* Z korzyścią natomiast niewątpliwą dla dzieła pomnażania dorobku społecznego.

(„Express Poranny“ 13.II. 1939).

Zysk topiony w karczmie.

Każda złotówka, jaką chłop może zarobić dodatkowo, poza normalnym dochodem, powinna dźwigać wieś z dna nędzy. Roboty inwestycyjne wszelkiego rodzaju, praca w przemyśle i t. p., winny być okazją do wzmożenia siły nabywczej rolnika i uczynienia zeń lepszego spożywcy.

Niestety, okazja ta jest często, zbyt często, marnowana. Wieś uzyskuje dodatkowy, wcale nawet nie mały zarobek, lecz traci go w przerażająco łatwy sposób. Jaki? *Po prostu przepija*.

Lasy karpackie obfitują w drzewo. Przy jego wyrębie i spławie rzekami pracują setki Huculów. Kiedyś, w okresie „prosperity“, prowadzący tratwy zarabiali do 2 tysięcy zł. w sezonie. Dzisiaj zarabiają znacznie mniej. Ale to nie ma znaczenia, bo tak wówczas, jak i obecnie te bądź co bądź duże zarobki ginęły i *giną niemal wyłącznie w kieszeniach karczmarzy*.

Nie lepiej dzieje się w górach Beskidu Śląskiego, o którego kultu-rze miało się wysokie pojęcie. Piękne dochody z prac drogowych i budowli zmarnowano na wódkę. A jak poszły na marne zarobki większości górali Podhala, zatrudnionych przy inwestycjach drogowych i rozbudowie Zakopanego! Tylko przybysze z dalekich stron, Poleszacy i Białorusini, umieli osiągnąć z tych dochodów prawdziwą korzyść.

Wieś pragnie pracy. Ale, otrzymawszy ją, jakże często marnotrawi dochód, który ta praca przynosi. Dzieci wiejskie nie odżywiają się lepiej, nie są lepiej ubrane, mało gdzie wzrasta inwentarz, nie rodzą się zdrowe, trwałe potrzeby...

Większe obroty karczmy — oto efekt dodatkowego i tak zdawałoby się upragnionego zatrudnienia wsi.

Organizacje wiejskie — ze związkami młodzieży na czele — muszą temu zwyrodnieniu spożycia wydać zdecydowaną walkę.

(„Express Poranny“ 17.II. 39.)

W „Małym Dzienniku“ znajdujemy bardzo przychylną ocenę działalności Tow. „Trzeźwość“:

Nowy rok pracy Towarzystwa „Trzeźwość“.

Tegoroczne pierwsze zebranie T-wa „Trzeźwość“ było poświęcone uczczeniu pamięci zmarłego Arcypasterza archidiecezji ś. p. ks. kard. A. Kakowskiego.

Wspomnienie o ś. p. Kardynale.

Zebranie zagałę krótkim przemówieniem wiceprezes T-wa b. sen. Izzycki, poczem ks. prał. Wincenty Balul wygłosił wspomnienie o ś. p. Kardynale. Po scharakteryzowaniu młodości wielkiego Księcia Kościoła i Syna Narodu, dostojny Prelegent omówił wysiłki i pracę Arcypasterza, zmierzające do podniesienia życia religijnego w naszym kraju, a przede wszystkim w archidiecezji warszawskiej, uwieńczone licznymi nowowzniesionymi kościołami i kaplicami, domami parafjalnymi, Domem Rekolekcyjnym w Skrzyszewach i ozdobą Warszawy, Domem Katolickim im. Piusa XI, oraz utworzonym w ostatnich latach Instytutem Wyższej Kultury Religijnej.

Walka z alkoholizmem.

Następnie zabrał głos red. Szymański, przedstawiając zebranyemu zasługi ś. p. kard. Kakowskiego na polu walki z alkoholizmem. „Zmarły Arcypasterz — mówił red. Szymański — odnosił się do tego doniosłego zagadnienia z całą wewnętrzną życzliwością, nie szczędząc poparcia, wskazań i nauk. Jego list pasterski o trzeźwości i abstynencji, dyktowany głęboką troską o stan moralny społeczeństwa polskiego, obok przestróg i wezwania do trzeźwości, zawiera całkowite rozwiązanie zagadnienia alkoholizmu, rodzącego ruinę, nieszczęścia i zło“.

Po krótkominutowej przerwie rozpoczęła się druga część zebrania, wypełniona produkcjami chóru orkiestry T-wa „Trzeźwość“, jak również niezmiernie interesującą pogadanką d-ra P. Radło, ilustrowaną przeźrocami o pięknie wszechświata.

Trzeba pójść i zobaczyć!

A teraz kilka uwag natury ogólnej, które nasuwają się nieodparcie. Otóż, komunikaty i notatki prasowe o urządzanych zebraniach Towarzystwa przyjmowane są przez ogół społeczeństwa, trzeba to przyznać ze smutkiem, z jakimś niedowierzaniem lub obojętnością, a w każdym razie bez większego przekonania. Ogólnie panuje mniemanie, że na zebraniach Tow. panuje nuda, że mówi się jedynie o nieszczęściach społecznych i schorzeniach organów ciała ludzkiego spowodowanych alkoholizmem i t. p.

Tak jednak nie jest. Trzeba tylko pójść na któreś z zebrań, prze-

konać się osobiście, a wtedy będzie się częstym, jeśli nie stałym ich uczestnikiem. Wysiłek ludzki bezinteresowny tryumfuje tutaj w całej pełni; wysiłek podejmowany i prowadzony przez wiele lat w celu podniesienia człowieka.

Samozaparcie.

Trzeba przyjść i zobaczyć wypelnioną po brzegi salę Towarzystwa przedstawicielami wszystkich warstw społecznych, serdeczny i bezpośredni nastrój budzący zaufanie, aktualne, krótkie a żywe i barwne odczyty, wypowiedane przez specjalistów, trzeba posłuchać muzyki i śpiewu, aby przekonać się naprawdę, jaka jest wymowa tych zebrań. Czegoś podobnego nie spotka się często. Bo to coś nie przychodzi samo, lecz jest wynikiem pracy pełnej poświęcenia i samozaparcia.

(„Mały Dziennik“ D. 13.I. 1939 r.).

Zwalczam propagandę antyalkoholową.

Zgadzą się wszyscy na to, że obecne stosunki towarzyskie, urzędowe, uczucia religijne, lojalność, radosna twórczość, motoryzacja, są, jak się to mówi: zakłamanie.

Pozostawia się na boku rzeczy istotnej potrzeby, odłogiem leżą pałace sprawy społeczne, filantropijne, a buduje się i wyczynia przeróżne efekciarstwa, na które idą pieniądze, odebrane pilniejszym i realniejszym sprawom. I pieje się hymny zachwytu. Ale na tle tego zagadywania, wazelinowania i oblewania różaną wodą różnych bolączek, albo kompletnych dramatów społecznych, jest odcinek, który do szału doprowadzić może logicznie i uczciwie myślącego człowieka. To akcja antyalkoholowa. Zwalczanie alkoholizmu... Jeśli jest gorszy humbug w całej Polsce, to... konia z rzędem. Po co to się robi? Dla kogo? Kto tego słucha, kogo to od wódki odstraszyło? Czy choć jeden pijak, albo tylko pijący, wytrzeźwiał i przestał pić, ujrawszy te różne wątroby i serca z masy papierowej, pokazywane na pokazach? Można pójść o zakład, że na 50 słuchaczy obecnych na odczycie, jest 49 abstynentów, a jeden pijący. Prawdziwy i wierny wyznawca spirytusu na taki odczyt nie pójdzie. Woli za te parę groszy urznąć się w pestkę. A niepijącemu na co są potrzebne? Pijaństwo, cz. zużywanie alkoholu, wzrasta w Polsce z roku na rok. W zeszłym roku w woj. wileńskim wypito za 10 milj. złotych alkoholu, prócz paru set tysięcy za samogon ujawniony.

W roku 1939 wzrosło zużycie alkoholu o 9,09 w całym państwie.

A o ile wzrosły kryminały, uwięzieni, ile oni kosztowali państwo? Policzmy: policja, sądy, utrzymanie i mieszkanie dla odsiadujących kary, leczenie ran, chorób, zwyrodnienie potomstwa, coraz słabszego, skutki morderstw, popełnionych w oparach alkoholu...

Gdyby kto mógł przeprowadzić taką ścisłą statystykę, to kto wie... kto wie, kochani Państwo, czy nie dokłada się do tego intratnego interesu, jakim jest Monopol? Ale któżby dopuścił do zrobienia takiej statystyki?!

A z czegożby żyli zatrudnieni pracownicy? Gdzieby sprzedawali rolnicy kartofle? Przecie bogactwa na świecie rosną najlepiej na nawozach zbrodni i krwi ludzkiej.

Więc jeśli to instytucja państwowa, jeżeli to jest w myśl jego pro-

gramu społecznego, kto się ośmiela stawać mu w poprzek? Kto ma odwagę przeciwstawić się państwowej robocie rozpajania ludzi? Temu podsuwaniu na każdym kroku wódki najtańszej, w małych buteleczkach, żeby każdy grosz uzebrany, zarobiony, zamiast na chleb, siedł na malutkie, milutkie buteleczki z trucizną.

Apostołowie wstrzeźliwości, na podstawie wygłaszanych opinii doktorów, szerzą wiadomości o chorobach, wynikających nieodzwrotnie z nadużywania alkoholu, statystyki wojskowe stwierdzają, że materiał rekrucki jest coraz gorszy i bardziej zwyrodniały. Gruźlica szerzy się w zastraszający sposób, bo organizmy, którym odebrano w wieku wyrostu chleb i okrasę od ust, żeby je poić alkoholem, lub na trunki zabierać ostatni grosz z chaty, nie mogą wyrosnąć na normalnych, zdolnych i silnych ludzi.

Organizmy pijaków, podatne wszelkim chorobom, ciężą okrutnym przekleństwem na potomstwie. Dzieci w wieku szkolnym dostają zamiast ciepłego śniadania wódkę, na rozgrzewkę, młodzież pije, zamiast sobie coś sprawić do gospodarki, specjalnie znane są z tego łotewskie zarobki. Spita młodzież i starsi zresztą, rzną się nożami na wieczorynkach i gdzie popadło, a stan pijaństwa jest doskonałym obronnym argumentem w sądzie na korzyść mordercy. Mała wydajność pracy, ruina gospodarstwa, rodziny, przestępstwa, wszystko to zawdzięczamy wytwórciom i handlowi spirytusem, wpychanego w ręce, reklamowanego, podsuwanego na każdym kroku. Przez Monopol. Bo to przecież trzeba pamiętać, że PRZEZ PAŃSTWOWĄ instytucję! Więc oficjalnie niejako, pod lekkim naciskiem Państwowy Monopol fabrykuje, dobry obywatel popiera, używa, słuca wskazań i pije.

I jak tu wtedy urządzić antyalkoholowe dni czy tygodnie? Cóż one mogą dać? Cóż może garść słabych ideowców przeciw Monopolowi?

Niechże się raz oczy otworzą tym naiwnym poczciwcom, którzy ogłaszają DNI ANTYALKOHOLOWE, czy coś w tym rodzaju. Walczą przeciw aparatowi państwowemu. Jeśli sobie obliczono, że trucie ludzi w ten sposób opłaca się, mimo pobocznych wydatków (degeneracja, więzienia, sądy etc.), to jakże zwykły śmiertelnik ma w tem przeszkadzać? A tem bardziej, jeżeli po namyśle widzi całą fikcyjność akcji, całą beznadziejność wysiłków i bezcelowość odgradzania od człowieka cieczy trującej jego organizm, jeżeli on tej cieczy nie tylko chce, nie tylko ma ją na każdym kroku, ale ma moralną satysfakcję (nie mówiąc o rozkoszy żalania się, upicia się w sztok, w pestkę, do zielonego słońca, czy jak się te pijackie terminy nazywają), ale jeszcze ma to moralne zadowolenie, że zapełniając brzuch i paląc gardło, wspomaga Skarb Państwa. Kosztem zdrowia i sił, ale... ale... jeżeli władze nie troszczą się o to, jakżeby się umiał troszczyć ten ciemny, analfabetyczny obywatel, który nie nauczył się czytać, bo szkół jest za mało, a szynków za wiele. Zresztą „inteligencja“ daje mu dobry przykład, pijąc ile się zmieści.

Ciekawam, coby powiedziano o hodowcy, który, urządziwszy odpowiednie pomieszczenie dla rogatych i nie rogowatych zwierząt, podsuwał swemu inwentarzowi trujące zielska czy jadło, od któregoby wyrodniała jego wątroba, serce i wogóle degenerowała się rasa? Powiedzieliby, że to warjat i wykazali czarno na białem, że dokłada do tego głupiego interesu. No, a z ludzkim inwentarzem, to wolno robić, bo...

człowiek nie jest bezrozumne bydle, ma wolną wolę i jest go nadmiar. Tylko szkoda, że właśnie na skutek alkoholu, podsuwanego ludzkiemu inwentarzowi, stają się ludzie bezrozumnymi bydlętami, krwawymi zbójcami i tracą wszelką wolę.

Gdyby przejechać nasze małe, najmniejsze miasteczka, te dziury prowincjonalne, gdzie kisną z nudy nieliczni inteligenci i policzyć szyneczki, rozpatrzyć się, jak w najdalsze zakątki dociera wódeczka, a co gorsza, skażony spirytus, o którym każdy wie, że go też chłopci piją, ślepną, trują się doraźnie, gdyby uświadomić sobie te opary, które się u nas wacha w każdy dzień świąteczny w każdym miejscu, nie wyłączając kościoła (Pasterka i Rezurekcja tradycyjnie wonieją wódką w świątyniach), te wyjazdy Pogotowia w dni świąteczne, te dramaty rodzinne z siekierą w rękę, te tanculki, po których rozwalone okna, wybite szyby, kilka spraw sądowych, kilku pacjentów w szpitalu i parę mogił na cmentarzu — świadczą wymownie o dzielnej służbie państwowemu m. lopolowi... to być może gdzieś, tam, u góry zrezygnowałyby najwyższe władze z części dochodów i zmniejszyły możliwość nabywania i zapijania się.

Ale tak, jak jest teraz, z niemożnością wstrzymania sprzedaży wódki, z propagandą wódki, z wkorzonym zwyczajem picia na umór, od góry do dołu społeczeństwa, cóż, pytam, może sprawić Tydzień XIII Akcji Antyalkoholowej? Co pomogą gędzenia o tem? Wygląda na kpinę z ludzi i koniec.

(„Kurjer Wileński“ z 8.II. 1939).

Hel. Romer.

Czy warto propagować walkę z alkoholizmem.

(Polemika z p. Heleną Romer).

26 marca, w niedzielę, dobiegnie do końca „Wileński Tydzień Trzeźwości“, tradycyjny dla Wilna, zorganizowany staraniem Wileńskiego T-wa „Mens“ dla walki z alkoholizmem. Rozplakatowane afisze obwieściły obywatelom m. Wilna ten „Tydzień Trzeźwości“ i wskazały lokaie we wszystkich dzielnicach miasta, gdzie będą wygłoszone odczyty, referaty, omawiające różne zagadnienia alkoholizmu, jak o tym świadczą tytuły odczytów.

Nie zgodziliśmy się ze stanowiskiem p. Heleny Romer wobec sprawy walki z alkoholizmem i postanowiliśmy przeprowadzić tę propagandę przeciwalkoholową. Mówię nie zgodziliśmy się, bo w „Kurjerze Wileńskim“ ukazał się artykuł pani Heleny Romer zatytułowany: „Zwalczam propagandę antyalkoholową“. Artykuł ten, który ukazał się w związku z „Tygodniem Trzeźwości“ na całym terenie Polski, wywarł ogromne wrażenie na bojownikach o ideę trzeźwości w Polsce. Pisze bowiem Szanowna Autorka: „próżne wasze wysiłki, złóżcie broń w beznadziejnej walce, przestańcie zawracać głowy obywatelom przeciwalkoholowemi odczytami, referatami“. Oczywiście z wielkim zadowoleniem czytały ten artykuł „rekiny“, żerujący na alkoholu i niezliczona rzesza miłośników alkoholu, dowiadując się, że walka z alkoholizmem jest beznadziejna. Gdyby ten artykuł był napisany przez jakąś inną osobę, można było by ominąć milczeniem, ale ponieważ wyszedł z pod pióra

znanej, utalentowanej publicystki i literatki, jaką jest p. Helena Romer. Wiadomo przecie, że Szanowna Autorka nieraz zabierała głos na łamach tegoż „Kurjera Wileńskiego“ w sprawach alkoholowych z wielką znajomością zagadnienia alkoholizmu.

Treść artykułów i wzmianek była zawsze rzeczowa i poparta realnymi dowodami. Więc nic dziwnego, że ten artykuł zainteresował nas, walczących z alkoholizmem w Polsce. Powstaje pytanie, czy Polska jest tym krajem, w którym walka z alkoholizmem ma być beznadziejna? Dla czego Polska nie będzie mogła stanąć obok państw, w których władze rządzące i organizacje eugeniczne i przeciwalkoholowe uporały się z ohydą alkoholizmu i rozpoczęły nową erę życia państwowego, społecznego, rodzinnego, pełnego najlepszych horoskopów na przyszłość. (Zamknięcie więzień, opanowanie gruźlicy, b. wydatne zmniejszenie zbrodni, chorób wenerycznych, umysłowych).

Wracając do artykułu p. Heleny Romer, tłumacząc Jej pesymistyczne poglądy na beznadziejność walki z alkoholizmem w Polsce tylko serdecznym bólem i żalem, wobec tak strasznej alkoholizacji kraju.

Szanowna Autorka doszła do przekonania, że stale zwiększająca się konsumpcja alkoholu i spowodu tego stale zwiększająca się ilość zorodni, niepokojący rozwój gruźlicy, chorób wenerycznych, umysłowych, chęłactwo młodzieży poborowej, degeneracja potomstwa, zwiększająca się alkoholizacja młodzieży szkolnej i pozaszkolnej — stanowczo i absolutnie wymagają bezwzględnej ingerencji czynników rządzących, które jedynie tylko mocne są, zahamować zbyt wybujałe spożycie alkoholu w kraju drogą przemysłanych i celowych zarządzeń. Czas jest najwyższy. Artykuł Szanownej Autorki pod tym kątem widzenia, okazał nam, bojownikom trzeźwości — wielką usługę. Do akcji czynnej w walce z alkoholizmem — wraz z organizacjami przeciwalkoholowymi — napewno wkrótce przystąpią władze.

Należy zaznaczyć, że w ciągu ostatnich lat, Kongres Międzynarodowy Przeciwalkoholowy, który odbył się w dniach 12—17 września 1937 roku w Warszawie, doroczne zjazdy delegatów kół T-wa „Trzeźwość“, Zjazdy psychiatrów polskich, Zjazdy lekarzy i przyrodników; wreszcie Państwowa Naczelna Rada Zdrowia, w swych rezolucjach i uchwałach zgodnie domagają się, by władze rządzące i prawodawstwo państwowe wystąpiło w kierunku ograniczenia spożycia alkoholu ze względów zdrowotnych, eugenicznych (zahamowanie gruźlicy, chorób wenerycznych, umysłowych), ze względów gospodarczych i państwowych.

Znany francuski prawnik Dubois mówi: „Państwo uzbrojone prawnem jest potęgą przeciw alkoholizmowi. Posiada ono dużo zainteresowań w jego zaniku, likwidacji, bo pauperyzacja ludności, upadek moralności, dziczenie i masowa demoralizacja ludności, fizyczna degeneracja, chęłactwo młodzieży szeroko od alkoholizmu pochodzą. Faktem jest, że Towarzystwo Opieki Społecznej, szpitalnictwo psychiatryczne, kryminalne przestępstwa rosną w związku z nim w niepokojący sposób“.

Dodamy od siebie, że reformy społeczne muszą się opierać o program świadomej, energicznej, zorganizowanej walki z alkoholizmem ze strony rządzących czynników, które mają w swym rozporządzeniu wszy-

stkie możliwości, prawne środki i wszelkie sankcje. Nie można reformować życia społecznego, jeżeli człowiek jako taki będzie się stale zatrzuwać fizycznie i psychicznie jadem alkoholowym. To też wielcy reformatorzy Niemiec i Włoch współczesnych — Hitler i Mussolini rozpoczęli tworzenie nowego człowieka, nowego społeczeństwa od planowej bez żadnych kompromisów, energicznej walki z alkoholizmem, prostytutką i chorobami wenerycznymi. Widzimy, że tam same czynniki rządzące wystąpiły do walki z alkoholizmem niszczącym ciało i duszę współczesnego człowieka, przychodząc z pomocą organizacjom przeciwalkoholowym.

Prezes T-wa „Mens“
prof. Zygmunt Hryniewicz.

(„Kurj. Wil.“ 26.III. 39.).

Walka z alkoholizmem.

Słusznie sądzi prez. Tow. „Mens“, p. Z. Hryniewicz, że mój artykuł „Zwalczam tydzień antyalkoholowy“ był pisany w tonie gorzkiej ironji, i miał na celu wykazanie niezbite, że o ile rząd nie powźmie stanowczych kroków dla utrudnienia i zmniejszenia handlu alkoholem, to dobre chęci najzacniejszych ludzi będą przysłowiowym brukiem w piekle. Naród nasz jest zatrwany fizycznie i moralnie. Jeśli społeczeństwo nie ma ani dość siły moralnej, ani rozbicia i zrozumienia niebezpieczeństw, to opiekę nad obywatelem i losem jego przyszłości musi przyjąć państwo, i czuwając nad czyhającą zgubą zdrowia rasy, wyrzec się częściowo chociażby dochodów z Monopolu.

Z jednej strony miliony płynące do kas Monopolu — z drugiej pełne więzienia, sale sądowe, szpitale, morderstwa, pożary, bójki, krew, rany i coraz bardziej zdegenerowane potomstwo, więc co za tem idzie, coraz gorszy materiał obronny. To powinny widzieć jasno czynniki rządzące.

Hel. Romer.

(„Kur. Wil.“ D. 28.III. 1939 r.).

Po pijącej ojczyźnie.

(Feljeton, który był aktualny podczas „Tygodnia trzeźwości“ i jest również aktualny podczas „Tygodni nietrzeźwości“).

Luty, to srogi miesiąc dla pijaków!

Każdy stały konsument wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego w głębi swego patriotycznego serca wzdryga się na samo jego wspomnienie. W tym bowiem najkrótszym miesiącu co roku Liga Antyalkoholowa organizuje swój tydzień propagandy trzeźwości, w czasie którego bezkarnie „pod okiem władz“ agituje przeciw obowiązkowi pomnażania dochodu państwowego, depce tysiącletnią tradycję, uwieńczoną milionem znakomitych przysłów i trafnych „powiedzonek“, w piosenkach i poematach. Czyż bowiem wrażliwa na piękno staropolskiej tradycji dusza nie łka w czasie tygodnia trzeźwości na widok

jawnego poniewierania perłami mądrości ludowej, uformowanemi doświadczeniem pokoleń, oszlifowanemi po wszystkich karczmach, zajazdach, barach i restauracjach naszej rozległej ojczyzny w ciągu długich stuleci, które tyłu widziały znakomitych, na świat cały sławnych pijaków, budzących respekt u swoich, uznanie i podziw u obcych.

Niewątpliwie wiele racji ma najpopularniejszy pijak współczesnej Warszawy, Walery Wątróbka, który na łamach prasy codziennej niejednokrotnie w okresach świątecznych ogłasza swe enuncjacje, że „tradycja upada w narodzie“.

Bo, jakże to? W miesiącu, o którym się mówi „przyjdzie luty — wdziej ciepłe buty“, nie wolno łyknąć ani odrobiny alkoholu, najskuteczniej, jak powszechnie wiadomo, wypędzającego mróz i... grypę z ciała, co nawet znalazło naukowe potwierdzenie w antygrypowych zaleceniach lekarzy.

— Nie ma na grypę lepszego lekarstwa jak ćwierć szklanki gorącej herbaty i trzy czwarte francuskiego konjaku — mawia mój sąsiad lekarz, zaszłożony alkoholik.

A tymczasem, gdy karnawał osiąga swe największe natężenie... nie wolno pić, trzeba być trzeźwym!

Jakże daleko odeszliśmy od tych pięknych czasów, gdy do najbardziej respektowanych obowiązków obywatelskich należało zalecenie — jedz, pij i popuszczaj pasa.

Wiele się zmieniło.

Dziś wśród ludu pijącego „wyborową“ kursuje złowróźbne powiedzenie, że „alkohol, to zguba ludzkości“.

Świat ludzi pijących jedyny swój ratunek upatruje w doświadczeniu zawodowych pijaków, którzy łagodzą srogą prawdę tego powiedzenia inną sentencją, odzwierciadlającą całą głębię ich mądrości życiowej — „lecz pojedynczemu człowiekowi nie szkodzi“...

I może tylko dzięki temu, że chętnie korzystamy z wiedzy życiowej ludzi doświadczonych, tradycja nie została całkowicie zdeptana w narodzie przez wysiłki różnych lig, może dlatego od Turmontu do Zakopanego, od Gdyni po Zaleszczyki wciąż jeszcze przez cały okrągły rok, nie wyłączając lutego, w okresie szaleństw karnawałowych i w czasie postu „przy śledziu“, w niedziele i w soboty, na pierwszego i piętnastego, w święta i w dni powszednie, jak za dawnych czasów, rozlega się ochocha piosenka: — pij, braciszku, pij!

Jeśli, najmilsi, niepokoi was działalność walczących z tradycją lig antyalkoholowych, jeśli troszczycie się o dobro państwowe, jeśli wreszcie stoicie na straży staropolskich obyczajów, proszę, zaufajcie mi, i wraz ze mną zaryzykujcie podróż po ojczyźnie w czasie takiego właśnie tygodnia trzeźwości.

Jako punkt zbiórki proponuję ulicę Wiejską. Zbierzemy się przed gmachem Sejmu. Bo to gmach powszechnie w całym kraju znany, najbardziej atrakcyjny obiekt turystyczny stolicy, którego wizję wyczarował wieszcz, pisząc prorocze słowa: „Cicho wszędzie, głucho wszędzie“...

Niechaj się wam w czasie zbiórki, broń Boże, nie przypomną nieoczekiwanie słowa innego poety...

Skasowali drożyznę
 Zbudowali ojczyznę,
 A po pracy, co żywo
 Poszli na... piwo!...

Taka reminiscencja byłaby co najmniej nie stosowna, bo piwo w dzisiejszych czasach w naszym kraju nie cieszy się takim uznaniem, jak ongiś. Już przecież Mikołaj Rey z Nagłowic wypominał swoim współczesnym obojętność do piwa a zamiłowanie do gorzałki tymi słowami:

Nasi przodkowie podobno pijali,
 ale, najmiłsze piwko, a bardzo bijali...

Dwa słowa — gorzałka i piwo — przypominają mi inny wiersz, do niedawna popularny na Mazowszu:

Jedna dróżka do Pułtuska,
 a druga do Warki.
 Boli gardło śpiewać darmo,
 trzeba by gorzałki.

Niechaj ten czterowiersz będzie drogowskazem w naszej podróży. Wyruszamy więc „dróżką“ do Warki. Mijamy bary Mokotowa i Wierzbna, restauracje w Pyrach i Piasecznie, gdzie do białego świtu „rżnie kapela od ucha“, a rozochociona młodź przypomina sobie refren przed kilku laty w całym kraju popularnego przeboju:

Hej, przepljmy naszej babci domek mały! —

Niejednemu z was na dźwięk tej piosenki zakręci się łza w oku. Nie zaginęła tradycja. Dzielna młodzież wstępuje na te same drogi życiowe, po których przeszli, zataczając się w oparach win i miodów nasi zapomniani przodkowie.

Pamięćcie, Wszak to sam Juliusz Słowacki naszkicował konterfekt jednego z nich, pisząc:

Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.

Umiano w dawnych czasach przepijać całe fortuny, umiano! Co tam fortuny. Choć nadeszła taka tragiczna chwila, że największa fortuna narodu, wolność, ginie, to szlachta ciągle pije i toasty wznosi.

Wierni tej tradycji potomkowie nie tylko babci domki przepijają, nie tylko. Zajrzyjcie do dzienników. W rubrykach kryminalnych co dzień wyczytacie „sensacyjne“ historie z życia tych, którzy na chorągiewkach swych istnień wypisali dźwięczną sentencję: pij, pij i z życia drwij.

Lecz nie czas na rozmyślanie.

Oto minęliśmy już Górę Kalwarję, zbliżamy się do Czerska. Przypominamy starodawne powiedzenie o mieszkańcach Mazowsza, którzy lubili się spijać w Warce na gorzałce, a w Czersku na złym piwsku.

I dziś lubią popić. W cichych uliczkach Warki, w gęstej mgłę zi-

mowego przedświtę dostrzeżemy na pewno jakiegoś rodaka obejmującego czule uliczną latarnię.

W Warce i gdzie indziej. W szynkach wiejskich Mazowsza i herbaciarniach małych miasteczek, po restauracjach II i III rzędu, w myśl staropolskiej zasady: „dobry trunek na frasunek“, biedni i jeszcze ubożsi, robotnicy i bezrobotni, rzemieślnicy i wieśniacy, dorośli, a nawet młodociane pacholeta piją „czystą“. Ziemia lechicka, ongiś mlekiem i miodem płynąca, splywa teraz co dnia i co noc strugami alkoholu, sączonego z małych 50-groszowych buteleczek, którym lud nadał pełną swoistego humoru nazwę „szczeniacków“, być może dlatego, że i dla dzieci ich cena i zawartość nie jest straszna.

To też spotkamy w naszej wędrowce po kraju niejednego nauczyciela, który nam opowie, jak to tradycja upowszechnia się wśród naszego społeczeństwa, jak coraz częściej kursują „setki“ wśród szkolnej młodzieży, jak w miarę wzrostu konsumpcji alkoholu wśród jego uczniów zanika zapał i chęć do nauki, a rośnie przyrodzona krnąbrność, czyli tak zwany — indywidualizm.

Język śwędzi, aby poradzić naszym pedagogom, że na ten „indywidualizm“ dobre by były... kije, ale od udzielenia tej rady powstrzymuje nas uwaga poety. Przecież to Mikołaj Rey pisał, że:

U nas, by pijanego każdego stłuc miano,
Ledwieby kijów z lasa dostatek dodano.

Ile kijów z lasa dostać można i ilu w pięknej krainie lechickiej pijaków przyczynia się do „prosperity“ Monopolu Spirytusowego, o tym statystyki milczą. Ale jeśli lubimy parać się statystyką, to od pracodawców, inspektorów pracy, działaczy społecznych, dowiemy się, że tworzy się już nowa tradycja, przypominająca słynne ustawy francuskiego expremiera, pana Bluma.

Oto najczęściej opuszczanym dniem pracy staje się u nas poniedziałek, który, jak wiadomo, następuje po niedzieli, stanowiącej dzień jakby specjalnie dla pijaństwa stworzony dla tych, którzy do kościoła trafić nigdy nie mogą, a do karczmy zawsze.

Dowiemy się też, że najwięcej zbrodni i wypadków przypada na soboty i na niedziele, czyli na dni, w których „po wypłacie“... kieliszek jeden, drugi zdrowiu nie zawadzi — jak mawiali bohaterzy satyr przesławnego ks. biskupa warmińskiego, Ignacego Krasickiego. A że przy tej okazji tysiące ludzi przepija cały tygodniowy zarobek, nikogo o to „głowa nie boli“, chyba tylko nieszczęsne żony, które na próżno, otoczone gromadą głodnych dzieci, oczekują powrotu mężów z potrzebnyymi na chleb złotówkami. Ale kto by na taki drobiazg zwracał uwagę. Wiadomo, że żona zawsze potrzebuje pieniędzy.

A wszak i to jest w tradycji naszego narodu, że chłop zarobioną złotówkę chętnie przepija do ostatniego grosza, a żona cudem jakimś i dobrocią Bożą dzieci przy życiu utrzymuje. Jakby dla uplastycznienia tej tak u nas powszechnej zasady jeszcze do dziś na peryferjach Częstochowy pokazują pielgrzymom i turystom ruiny karczmy, od której wzięło nazwę jedno z przedmieść podjasnogórskiego grodu... Ostatni Grosz. To w tej właśnie karczmie przyjeżdżający na targi i jarmarki

spod Krzepic i Kłobucka, i z innych stron gospodarze przepijali zarobki do ostatniego grosza, a ich żony, płacząc i złorzecząc złym (według białogłowskiego rozumowania) obyczajom, czekały na nich nieraz po dni kilka w sąsiedniej wiosce, którą od tego niewieściego czekania nazwano... Poczekaj.

Dziś tak nazywa się inne przedmieście Częstochowy. Kto nie wierzy, niechaj sam sprawdzi, gdy przybędzie na Jasną Górę prosić o łaskę Bożą i odwrócenie od siebie wszelkich pokus Przenajświętszą Pannę.

Lud ziemi częstochowskiej tak bardzo miłuje gorzałkę, że nawet śpiewa o niej taką pełną sentymentu piosenkę:

Kielszek — braciśzek,
Kwatereczka — siostra,
Rączka przyjaciółka
Do buzi przyntośla.

Jakże ma śpiewać inaczej, kiedy gorzałeczka nie tylko rozpędza smutki, ale jest ponoć najlepszym lekarstwem na wszystkie fizyczne dolegliwości. Gdy coś dolega gospodarzom z Rzędzin, Kasic, Kowodrzy Górnej i innych wsi ziemi częstochowsko-wieluńskiej, to wtedy nie po doktora posyłają, ale wołają:

Wódki mi dać z korzeniami,
Bo mnie boli pod płucami.

A nawet:

Wódki mi dać bez korzeni,
Może mi Pan Bóg przemieni.

Wiara w wszechwładzę i zbawienne skutki używania i... nadużywania alkoholu jest w naszej pięknej krainie tak powszechna i wielka, że potężne wciąż jeszcze plemię znachorów rozpoznaje choroby i leczy na jaglicę, żołą, gruźlicę i inne plagi egipskie, nękające nasze wsie od Brasławia po Żabie i od Wielunia po Łuniniec, zamawianiem wódki i samogonu.

A propos samogonu!

Jeślibyśmy wyjechali w naszej wędrowce na wschód, poza Bug i Niemen, to nad rozlewnymi wodami Narwi i Prypeci, Horynia, Styru i Stochodu, nad Dryświatami i Drywiatami w dymach wioskowych przyniesie wiatr do naszych nozdrzy od kurnych chat Poleszuków i Białorusinów, od—wśród bagien i rozlewisk zagubionych „futorów“, od wołyńskich rozlogów ostry zapach samogonu. Jak miody i węgrzyn w dawnej szlacheckiej Polsce, jak „setki“ w dorzeczu Wisły, tak popularny jest samogon na kresach.

I być może dlatego tyle jest chorób i nędzy na ziemiach wschodnich, być może dlatego, jak doniosło niedawno jedno z pism warszawskich, na Wołyniu jest 5 tysięcy nieleczonych umysłowo chorych, z czego 2 tysiące męczy się w potwornych warunkach, pozamykane przez czułych krewnych po chlewach, stajniach i piwnicach.

Może dlatego, żadna zabawa czy weselisko nie może obejść się

na wsi bez asysty policji, bo każda kończy się krwawą masakrą, podpaleniami, morderstwem. Idą w niebo puszczone z dymem w pijackim entuzjazmie i radości całe wioski, płoną miasteczka.

Przed kilku laty spłonął z „pijanej“ przyczyny cały Dawidgródek na Polesiu, jedno z najciekawszych miast tej kresowej krainy, słynne ze znakomitych szewców i... lodziarzy.

W naszej wycieczce po szlakach rozległej ojczyzny napotkamy po słomą krytych wsiach i drewnianych miasteczkach wiele, bardzo wiele człowieczych istnień, które wódka pogrążyła w ciemnościach otępienia, w krańcowej nędzy. Spotkamy liczne rodziny eksmitowane za alkoholizm „głowy domu“, żyjące po ohydnych norach i lepiankach, spotkamy przebogatą galerię postaci z dramatu, którego nazwa krótka a wymowna — alkohol!

Niektóre tylko, te z „wyższych“, bo bogatych sfer, potrafią czasem wywikłać się z dramatu, do czego pomaga im biała lecznica, niedaleko Grodna położona. W Świacku leczą ofiary prastarej tradycji, a jak chcą inni — zgubnego nałogu.

W Świacku też niejedną ciekawą opowieść wysłuchać byśmy mogli.

Do czego naprzykład prowadzi przyzwyczajenie do konjaku, jażębiaku, czystej z vermuthem i innych trunków z bogatego arsenału wytwornych alkoholów, których smaku nie zna prawie „szary obywatel“, pozbawiony t. zw. dewiz. On swój dramat przeżywa tylko z butelką „czystej“, a utraconego przy niej zdrowia nie przywrócić mu już żadne sanatorja. Pójdzie do kresu nocy sam, lub co gorsza, ze swą nieszczęsną rodziną.

Ile prawdy, o której mówi się, że jest „życiowa“, zawiera ten dwuwiersz B. Karpińskiego:

Matka dzień cały klęła bez przerwy,
Ojciec pijaństwem rozluźniał nerwy.

Jeśli uprzytomnimy sobie, że ten dwuwiersz pasuje, „jak ulał“, do tysięcy dziecięcych egzystencji w takich właśnie warunkach spędzających swe beztrioskie „szczenięce lata“, to wtedy być może nie będziemy wraz z autorem tego feljetonu tak bardzo złorzeczyć Lidze Antyalkoholowej, która zwalcza pijackie tradycje naszego kraju.

I być może przypomną się nam słowa już dwukrotnie cytowanego w tym felietonie Mikołaja Rey'a z Nagłowic, który pisze o narodach sąsiednich, że:

Leją działa, budują zamki, opatrują
Ludzi i przyszłe rzeczy dziwnie przepatrują.

A u nas?...

I u nas też leją, ale... w gardło dzbanem!

Wiersz ten pisany był w XVI stuleciu. A zdawać by się przecież mogło, że właśnie imć pan Mikołaj Rey wczoraj wraz z nami zakończył

podróż po Ojczyźnie z numerami „Völkischer Beobachter“ i „Illustrazione Italiana“ za kontuszem.

Ludomir Rubach.

(„Rodzina Polska“, marzec 1939).

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY.

Ostatni zeszyt „l'Abstinence“ (luty) zawiera artykuł wstępny, ujmujący zagadnienie walki z alkoholizmem z szerokiego punktu widzenia spraw społecznych. Myśli w nim zawarte odnoszą się do aktualnych stosunków, panujących wszędzie, to też sędzę, że podany w obszernym streszczeniu zainteresuje i naszych czytelników.

Przedewszystkiem autor artykułu rozpoczyna od słów pastora Dieterle z Bazylei, prezesa Błękitnego Krzyża, który stwierdza, że „wszyscy czują doskonale, iż kończąc rok stary, nie wkraczamy automatycznie do nowego, lecz stajemy się uczestnikami głębokich przemian, zachodzących na całym świecie, a potrącających nawet o same podstawy naszego istnienia. Czujemy się tak, jakbyśmy stanęli wobec dobrze sobie znanego krajobrazu, który się nagle całkowicie przeobraził, a więc: góry zostały zrównane z ziemią, a na miejscu równin wzniosły się góry; wiadome drogi stały się bezdrożem i trzeba było nowe ścieżki wydeptywać; miejsce lasów zajęły pustynie; na dawnych piaskach rozrosły się krzewy“.

Przeżywamy zapewne jeden z tych okresów, o których sławny historyk J. Burckhardt pisał, że:

„Na ziemi z ło jest częścią ogólną gospodarki, jest ono siłą brutalną, prawem silniejszego, wypełniającem całą przyrodę, świat zwierzęcy i roślinny i stale objawiającem się w historii ludzkości morderstwami i grabieżą w czasach przedhistorycznych, następnie tępieniem i niewolnictwem ras słabszych przez silniejsze, wreszcie w ucisku klas społecznie niższych przez klasy uprzywilejowane w ramach tego samego narodu“.

Z wiekowych walk, starć i zamieszek wszelakiego rodzaju, powstała odrodzona Szwajcaria, której prawdziwymi reprezentantami są nie politycy i nie wojskowi, lecz tacy ludzie, jak Henryk Pestalozzi i ojciec Girard z Fryburga.

Ci dwaj wychowawcy byli inspiratorami rezolucji, powziętej przez „Stowarzyszenie Szwajcarskich Nauczycieli“ w maju 1937 roku w obliczu grozy doby obecnej, by bronić wartości moralnych kraju. Głosi ona, że:

„Jednym z zasadniczych celów wychowania jest wyrobienie żywego poczucia odpowiedzialności społecznej, przygotowującej obywatela do służby pełnej poświęcenia dla dobra narodu“.

Dla demokracji szwajcarskiej, to żywe i czynne poczucie odpowiedzialności społecznej ma specjalnie ważne znaczenie. Hilty, filozof szwajcarski, wypowiada analogiczne myśli: „Siłą i racją trwałości demokracji jest podnoszenie narodu, całego narodu do poziomu kultury intelektualnej i moralnej wyższej od poziomu wszystkich innych narodów.“

Najwyższym celem Szwajcarii jest umożliwienie wszystkim warstwom narodu, a nie tylko małej liczbie *wybranych*, wzięcia czynnego udziału w życiu narodu, a także w ulżeniu warunkom materialnym, co się przy- czyni do tego, że wszyscy będą mogli uczestniczyć w życiu kulturalnem.

Jeżeli prawdą jest, że każdy naród, a zwłaszcza młodzież, uczuwa potrzebę wielkości, to dla Szwajcarii leżeć ona może tylko w zakresie wartości moralnych i społecznych. Chodzi o wytworzenie w Szwajcarii takiego nastroju wśród młodzieży, któryby ją orjentował w kierunku zdecydowanego oporu wobec ideologii obcych. Obyczaje zdrowe, proste i trzeźwe są częścią składową demokracji szwajcarskiej w myśl cytowanych ideałów Hilty'ego.

W związku z szykującą się Wystawą Szwajcarską, pewne objawy niepokoją autora artykułu. Od szeregu bowiem miesięcy dzienniki donoszą o przygotowywaniu Pałacu Piwa, oraz probierni win. Ale napewno zaznacza on, nie umieszczonoby na Wystawie statystyki, udawniającej zwiększenie się ilości alkoholików. Mówi się szeroko o propagandzie kultury szwajcarskiej, ale jednocześnie prowadzi się energiczną propagandę wina, zachęcającą do wzmoczenia konsumpcji tego napoju.

Konieczność bezpieczeństwa granic zmusiła władze do przedłużenia czasu służby wojskowej. Wielu wojskowych, na naczelnych stanowiskach, surowo nakazuje przestrzegania przepisów, zabraniających używania napojów alkoholowych, podczas pełnienia służby i w przerwach, ale... nie wszyscy to czynią, wychodząc nawet z tego założenia, że trzeba dać obywatelowi możność pokochania rzemiosła wojennego. Wobec *przypuszczalnie* grożącego niebezpieczeństwa wojny, wprowadza się pewne nakazy, wchodzące w zakres prywatnego życia, ale cóż się robi, by zapobiec nie *przypuszczalnemu*, lecz już realnie istnjącemu, wielkiemu niebezpieczeństwu, zagrażającemu zdrowiu całej ludności? Co się przeciwstawia wzmagającemu się używaniu napojów alkoholowych przez młodzież, a nawet przez młodzież żeńską? Czyż zakaz nieonej reklamy kolorowych wódek byłby karygodnem naruszeniem praw świętej Wolności handlu i przemysłu, a nie obroną zdrowia, sił i piękna młodego pokolenia?!

Trzeba również podkreślić wielki egoizm, zupełną obojętność *elity* kraju, wobec nędzy powodowanej przez alkoholizm. Hilty pisał i o tem zagadnieniu: „Celem życia nie może być dostarczanie jednostkom, lub pewnym sferom jaknajprzyjemniejszej egzystencji, mimo, że właśnie *to* jest aktualnym ideałem wielu z tak zwanej wyższej sfery. Zadaniem *elity* bynajmniej nie może być zobojętnienie w obliczu nieszczęść, którym ludzkość ulega — zadaniem *elity* jest branie udziału w obowiązkach, które dana epoka nakłada, aby przewyrczyć wszystkie przeszkody i wskazać innym drogę do celu, przy pomocy tych środków, którymi duch prawdziwie wykształcony posługiwać się powinien, a które właśnie ona ma w swem posiadaniu. Nasza elita nie spełnia swego obowiązku. Ona mimo swej kultury, pożytku nikomu nie przynosi. To też może jej jedyną troską, tak jak i arystokracji, pogrążonej w egoizmie, będzie dążenie do zachowania swych przywilejów. Na wyższych warstwach społecznych leży obowiązek wskazania drogi nawrotu

do surowych, prostych zasad życia, odpowiadających idei demokracji, oraz sposobów nieubłaganej walki z alkoholizmem“.

Mimo wielu ciemnych stron życia, jak egoizm rządzących, ofensywa kapitału alkoholowego, zalew reklamy alkoholowej i t. d., redakcja „l'Abstinence“ ma ufność w ostateczne zwycięstwo zdrowych i trzeźwych obyczajów, bo one warunkują istnienie narodu. Ufność ta jest podtrzymywana wiarą w postęp moralny i społeczny ludzkości, wbrew tyłu dowodom czegoś wręcz przeciwnego.

Gustaw Bunge w swojej sławnej mowie programowej o zagadnieniu alkoholizmu powiedział: „Należę do tych, którzy niezachwianie wierzą w postęp moralny ludzkości. Cała historia świata jest tego dowodem. Bez tego przeświadczenia życie nie byłoby warte... przeżycia“. Obowiązkiem więc chwili bieżącej jest przeciwstawienie się pesymizmowi, zwątpieniu o istnieniu wartości moralnych, bo to prowadziłyby do zgubnego defetyzmu. Praca nad zwalczaniem alkoholizmu jest pracą na odcinku obrony narodowej, odcinku bardzo niewdzięcznym, lecz jakże ważnym. Spełnianie tego obowiązku daje wiarę w siły nasze i czyni z naszego małego kraju ojczyznę wielkich idei humanitarnych, ojczyznę odpowiedzialności i czynnej samopomocy społecznej.

Jeżeli się pragnie scharakteryzować, w jakim kierunku zmierza akcja walki z alkoholizmem na terenie międzynarodowym, to sędzę, że śmiało można powiedzieć, iż wyraża się ona przede wszystkim w wysiłku należytego zorganizowania kulturalnego wypoczynku po pracy, dla szerokich mas, które obecnie otrzymały nowe ustawodawstwo socjalne (jak Francja). Wysiłek ten jest wspólny wszystkim państwom, ale może najgłośniej przemówiła obecnie Francja, która wykazuje w szeregu alarmujących wypowiedzi wybitnych lekarzy i działaczy społecznych, jaki katastrofalny stan rzeczy daje się zaobserwować, łącznie z nowo ustanowionym tygodniem pracy. Wszystko to, co taką troską napęłnia Francję, jest i u nas nie mniej groźne i jaknajściślej związane z nędzą mieszkaniową, niskim stanem oświaty, nieobudzonemi potrzebami kulturalnych rozrywek i t. d.

Już w 1919 r. wielki pisarz francuski, Duhamel, w swej pięknej książce „Entretiens dans le Tumulte“ zastanawia się, co będzie, gdy upragnione i najzupełniej usprawiedliwione prawo o ośmiogodzinnym dniu pracy, wejdzie w życie? Wywołuje wspomnienie pewnego, dobrze sobie znanego miasteczka (w okręgu węglowym), będącego jednym z wielu podobnych do siebie, jak dwie krople wody, które nie dają człowiekowi innych możliwości ponad pracę i sen. A praca górnika ciężka i mozolna — sen po niej głęboki, po którym znów ta sama praca, i tak w kółko, dzień w dzień. Lecz co robić z czasem wlokącym się między pracą, a snem? Powrót do nędznych mieszkań nie łączy. A w umyśle zmęczonym, otępiałym monotunnością pracy fizycznej, budzą się jakieś pragnienia, jakieś potrzeby z innego świata. Gdzie je rozwinąć, gdzie zaspokoić? Teatru, książek, muzyki niema. W miasteczkach tych i osadach „jedynie szynkarze z zadowoleniem zawijają rękawy, myją szklanki i brudnym łachmanem wycierają kurz z pobielanej lady“, pełni wiary, że liczni goście zaspokoją ich wiecznie nienasyconą żądę bogacenia się. Czyż można spokojnie myśleć o losie masy ludzkiej, przed którą stoją zamknięte drogi do kulturalnego wypoczynku? Czyż można się lu-

dzić, że *sen* wystarczy? Gdzież jest miejsce ujęcia dla wszystkich psychicznych pierwiastków, których przecie niepodobna całkowicie u człowieka unicestwić? A więc: *praca, sen i szynk*. A w wyniku, co? O tym „wyniku“ można nie mówić, bo zbyt dobrze jest znany każdemu i jest zbyt krwawo opłacany haraczem niedoli robotnika, za owo niewyżyte pragnienie innego życia. Duhamel ostrzega, że potworny egoizm rządzących może sprawić, iż jedna z najszustniejszych reform społecznych wyda fatalne skutki. Jeżeli masy nie wykorzystają jej dla swego dobra, dla swego duchowego i intelektualnego rozwoju, to winą nie będzie z ich strony.

Tak pisał Georges Duhamel przed 20 laty; a teraz zobaczymy, co piszą lekarze i społecznicy *dziś*, w obliczu dalszych reform społecznych.

O alkoholizmie we *Francji*, zamieścił ciekawy artykuł dr. Ledoux, dyrektor Szkoły Medycznej w Besançon w piśmie „Petit Comtois“. Otóż stwierdza on, że alkoholizm we Francji powiększa się w sposób straszliwy i grozi poważnie przyszłości kraju. Wielka wojna pozostawiła spadek niszczycielski w postaci alkoholizmu kobiet. Począwszy od 1919 r. szpitale poczęły się zapełniać choremi kobietami-alkoholiczkami. Szpital św. Jakóba wśród kobiet leczących się posiada więcej niż 60% alkoholiczek. W miesiącu sierpniu, w jednej z sal szpitala św. Jakóba, było 45 chorych, w tem 8 na delirium tremens. Zaburzenia psychiczne na tle alkoholizmu stale się powiększają. Sfery robotnicze są poważnie dotknięte alkoholizmem. W Besançon w jednym dużym warsztacie 80% robotników są zdeklarowanymi alkoholikami.

Trzeba zaznaczyć, że większość wypadków alkoholowych pochodzi spowodu nadużycia wina. Sytuacja, o której mowa, nie dotyczy wyłącznie miejscowości Besançon — tak jest w całej Francji. Nie jest alkoholizm bynajmniej przywilejem klasy robotniczej, bo wieś także coraz więcej alkoholizuje się winem. Są jednocześnie miejscowości górskie dziesiątkowane przez alkoholizm i gruźlicę. Francja jest krajem najwyższego spożycia alkoholu destylowanego. Oto statystyka z 1933 roku: Włochy 0,28; Anglja 0,56; Niemcy 0,77; Francja 2,61. Z chwilą wprowadzenia 40 godz. tygodnia pracy i płatnych urlopów, alkoholizm się wzmógł. Inni lekarze również stwierdzili, że od wprowadzenia 40 godz. tyg. pracy i urlopów płatnych liczba wypadków delirium tremens wzrosła o 50%, a interesy wielkich fabrykantów wyrobów alkoholowych odpowiednio się polepszyły.

I inaczej być nie mogło, skoro liczba miejsc wyszynku stale wzrasta: w 1919 r. — 380.000, a obecnie ponad 500.000. Wobec braku dostatecznie zorganizowanych wczasów, wobec braku szeroko stosowanej akcji mieszkaniowej, wobec przeludnienia wielkich ośrodków miejskich, czegoż można się spodziewać od pracownika fizycznego, który zamiast iść z pracy do nędznych warunków mieszkaniowych, woli się zatrzymać w szynku, gdzie go tyle rzeczy kusi? Wobec tak olbrzymiej intoksykacji alkoholowej, Francja musi myśleć o obronie narodowej. Opinia publiczna nie zabiera głosu wobec nieszczęścia narodowego; walczący z alkoholizmem uchodzą za kaznodziei i otoczeni są ironją. Państwo zdradza pożałowania godną obojętność, gdyż nie czuje swej współwiny w zatruwaniu narodu.

Minister, kilka lat temu ośmielił się zaproponować otwarcie miejsc wyszynku w gminach, gdzie ich nie było, wiedząc dobrze, że w ten sposób podniesie wydajność skarbu.

Zakaz absyntu czy zostaje wykonywany? Czy Państwo nie prowadzi propagandy na rzecz wina? Czyż nie dekoruje odznaczeniami właścicieli gorzelni i sprzedawców alkoholu?

Państwo, które nie dostrzega skutków alkoholizmu, a jednocześnie wzbogaca swój budżet dochodami z alkoholizmu ludności, prowadzi niebezpieczną grę. Alkohol zaludnia szpitale i schroniska, i zwyrodnia społeczeństwo. Jest przyczyną rozwodów, których liczba wzrasta, stale. Szpalty pism codziennych pełne są opisów zbrodni, w których alkohol grał taką, czy inną rolę. Obniża wartość moralną i sprawność fizyczną narodu francuskiego. Każdy lekarz potwierdzić musi, że zdrowie społeczeństwa doznałoby znacznej poprawy, gdyby ostrzeżenia ze strony ludzi wykazujących grozę zagadnienia alkoholowego, byłybrane pod uwagę i Państwo zechciało spełnić w tym zakresie swój obowiązek. Łatwo jest poruszyć sumienie społeczne szerokich sfer ludności przedstawieniem skutków alkoholizmu, ale trudno jest bardzo wymóc, by Państwo prowadziło politykę przeciwalkoholową, gdyż producenci win z południa wywierają na nie swój przemożny wpływ i protest. Temniemniej Państwo mogłoby wydać cały szereg zarządzeń zmniejszających alkoholizm, jak np. zakaz otwierania nowych miejsc wyszynku, przestrzeganie prawa dotyczącego absyntu, zastosowanie prawa zamykania na jeden dzień w tygodniu sklepów handlujących alkoholem, gdyż mogą one dotychczas bezkarnie 365 dni bez przerwy do północy sprzedawać alkohol. Państwo również powinno tworzyć zakłady dla alkoholików pragnących się leczyć, oraz schroniska dla niebezpiecznych alkoholików, aby w ten sposób zapobiegać zbrodniom i przestępności. Ludzie, którzy rozumieją, jakie straszne skutki pociąga za sobą alkoholizm, powinni prowadzić akcję uświadamiającą społeczeństwo, wyrabiającą opinię społeczną, która ze swej strony będzie mogła wywierać nacisk na Państwo. W wielkim dziele odrodzenia moralnego walka z alkoholizmem musi być prowadzona razem z walką o lepsze warunki socjalne, gdyż wielkie klęski społeczne są zazębiane jedna o drugą w taki sposób, że oddzielić ich od siebie niepodobna.

Artykuł doktora Ledoux zwraca uwagę siłą zapału, z jakim autor traktuje zagadnienie alkoholizmu, jest pisany przekonująco, a ponieważ u nas często się spotyka przeświadczenie, że wino można zaliczyć do napoi mniej szkodliwych, więc jego opinia, dotycząca właśnie alkoholizmu „winnego“ jest specjalnie ciekawa i pouczająca.

*

*

*

„La Santé de la Famille“ bardzo żywo redagowane pismo Towarzystwa Pracowników Kolejowych, walczących z alkoholizmem, zamieściło pełen bólu artykuł p. Chatel'a o strasznym alkoholizmie we Francji. Artykuł nosi tytuł „Rekordy“ i rozpoczyna się od wymienienia rekordów, którymi bawią się w Paryżu. A więc przypomina, że w 1929, lub 1930 para Francuzów ustanowiła rekord tańca. Tańczyła trzy dni

i trzy noce bez zatrzymania. Autor artykułu widział ową parę nazajutrz po rekordzie. Widok jej był nad wyraz żaloszny. Dalej zawody wędkarzy — tu Belgijczycy zwyciężyli, a Francuz znów wygrał nagrodę pałacza cygar i t. d. Ale powiada p. Chatel, że jest jeden niewątpliwie wygrany rekord, którego nikt Francuzom nie zaprzecza i nie pragnie odbierać, rekord w alkoholizacji kraju. I znów musimy zaznaczyć, że tu chodzi o alkoholizm „winny“. Szwecja ma 1 wyszynk na 3.000 mieszkańców; Anglja 1 wyszynk na 430 mieszkańców; Niemcy 1 wyszynk na 240 mieszkańców; Francja 1 wyszynk na 80 mieszkańców. Każdy Francuz rocznie spożywa pięć razy więcej alkoholu od Niemca. Liczba gorzelnii z 770.000 w 1917 r., doszła do 3.500.000 w 1934 r. Jest to również rekord, zaznacza p. Chatel, ale rekord, którego nikt nie zazdrości, gdyż pociąga za sobą inny objaw: oto w 1890 r. wypadków obłądu na tle alkoholowem było 4.574, a w 1931 r. już zanotowano — 11.271. W innej dziedzinie znów rekord: rok rocznie od 13 do 15.000 dzieci rodzi się nieżywych.

Namalowawszy smutny i groźny stan alkoholizacji kraju, autor wzywa wyborców i posłów, by zaprzestali się zajmować mniej ważnymi sprawami, a zajęli się obmyśleniem sposobów zwalczania klęski, która szerzy „rekordowe“ zniszczenie. Zwłaszcza wobec nowego ustawodawstwa socjalnego, wprowadzającego pięciodniowy tydzień pracy ośmiogodzinnej i obdarzającego robotnika dwoma dniami wolnymi, sprawa ogromnej ilości szynków, do których jeszcze tłumniej zaczęli robotnicy uczęszczać, sprawa racjonalnego zorganizowania czasów staje się nakazem chwili, niecierpiącym zwłoki, najpilniejszym problemem dnia. P. Chatel opiera swe twierdzenia również na opinii doktora Logre'a, który w piśmie „L'âge nouveau“ pisał, iż z momentem wprowadzenia nowego ustawodawstwa socjalnego nie tylko ilość wypadków obłądu alkoholowego wzrosła w sposób nieproporcjonalny, lecz i ilość wypadków delirium tremens prawie się podwoiła. Jedną z przyczyn najbardziej oczywistych tego zjawiska jest to, że robotnik, mając więcej czasu i więcej pieniędzy, zaczyna jeszcze więcej pić. Nie zrobiono nic, by utrudnić dostęp do szynku: nie ograniczono liczby miejsc sprzedaży i nie zmniejszono liczby godzin handlu alkoholem. Podniesione zarobki nie idą na podniesienie stopy życiowej rodziny, lecz przechodzą do rąk szynkarza.

Widzimy więc, jak pogląd dr. Logre'a całkowicie się pokrywa z poglądami doktora Ledoux, o których wyżej pisałam. Obaj oni przestrzegają klasę robotniczą, jako specjaliści i ludzie do gruntu uspołecznieni przed niebezpieczeństwem, grożącym jej, jeśli wcześniej go nie opanuje.

Artykuł p. Chatel'a jest dzwonem bijącym na alarm. Ożywiony duchem prawdziwie obywatelskim, wykazujący pełne zrozumienie dla naszej sprawy, został jednak fałszywie oceniony przez inne pismo „La Tribune des Cheminots“, w którym p. Perignon zarzuca p. Chatel'owi, że jest na usługach kapitału, gdyż występuje przeciw takim zdobyczom klasy robotniczej, jak 40 godz. tydzień pracy.

Nas interesuje ta sprawa o tyle, że p. Chatel w odpowiedzi na tak krzywdzący i nieodpowiadający prawdzie zarzut, rozwinął jeszcze mocniej swoje wywody o fatalnym wpływie na klasę robotniczą owych

gęsto usadowionych szynków, dokąd śpieszy robotnik, mający wolny czas, a nie umiejący go należycie wykorzystać. Z tej odpowiedzi dowiadujemy się, że deputowany Georges Lévy z trybuny parlamentarnej w grudniu 1938 r. stwierdził wielki wzrost alkoholizmu i, analizując przyczyny tego zjawiska, zwrócił uwagę między innymi, na brak oświaty i brak organizacji wczasów. P. Chatel w odpowiedzi swej jeszcze zgęszcza barwy, któremi malował rzeczywisty stan kraju. Robotnicy, mając więcej czasu i nie umiejąc go zużyć na coś kulturalniejszego, lub produktywniejszego, idą pić do szynku, powiększając w ten sposób stan swego ogłupienia, a pomniejszając dochody własnej rodziny. Dr. Logre wyraził się, że boi się, by kandydaci na alkoholików nie wykorzystali dla zaspokojenia swego nałogu doniosłej reformy społecznej.

Jeden z szynkarzy wywiesił w swej sali plakat z następującym napisem: Przyjacielu, konsumencie, pamiętaj, że 4 szklanki tworzą litr; dwa litry rozpoczynają kolejkę; dwie kolejki wywołują dyskusję, a dyskusja kłótnię; kłótnia kończy się bójką, a bójka sprowadza policję; sędzia, pisarz, woźny sądowy, grzywna, wydatki. A więc przychodź, pij umiarkowanie, płac ucziwie i wracaj spokojnie do siebie.

Niestety, nie wszyscy szynkarze są tak humanitarni.

Ostatni numer „L'Abstinence“ z 25.II b. r. podaje wiadomość, że „Le Temps“ z dnia 22 grudnia 1938 r. zamieścił notatkę z Rouen p. Dévé, który zwraca uwagę na wzrost alkoholizmu w Normandji z chwilą wejścia w życie nowego ustawodawstwa społecznego. Ilość wypadków delirium tremens wzrosła dwukrotnie. P. Dévé zwraca uwagę władzom, że jest czas najwyższy, aby się one zajęły tem wielkiem niebezpieczeństwem społecznym i narodowym.

Inspektor higieny, Dr. Triollet konstatuje nasilenie gruźlicy w Morbihan i twierdzi, że przyczyna tego faktu tkwi w przeróżnych zjawiskach społecznych, między innymi i we wzrastającym alkoholizmie, który czyni organizm bardziej podatnym na działania bakterji. Jest on zdania, że walka z gruźlicą skutecznie prowadzona może być tylko łącznie z walką z innymi plagami, jak np. z ogólnym złym stanem higienicznym ludności, a zwłaszcza łącznie z walką z alkoholizmem, będącym podłożem rozwoju gruźlicy. („Siècle Médical“. Paris 15 janvier 1939). Przykład francuski, słusznie stwierdza „l'Abstinence“, powinien przekonać kierowników myśli socjalistycznej wszystkich krajów, że trzeba klasę robotniczą nauczyć, iż wolny czas musi ona wykorzystać dla swego własnego dobra, a nie dla zysku... szynkarzy.

We Francji, partja socjalistyczna, za wyjątkiem kilku wybitnych ludzi, nigdy się nie ośmieliła stanąć do walki z najgorszym *kapitałem*—kapitałem alkoholowym.

W Paryżu w dniach 14 i 15 października odbył się 32 Kongres, urządzony staraniem „La Santé de la Famille“, pod przewodnictwem prezesa tej organizacji p. M. Beauchamps. Na Kongres przybyły delegacje z Anglii, Holandji, Finlandji, Szwajcarji. Referaty pomiędzy innymi wygłosili p. Weber, prezes Międzynarodowego Związku Kolejarzy, dr. Bertholet z Lozanny, prezes p. M. Beauchamps. P. Weber mówił o sposobach walki z alkoholizmem, jakie prowadzi Szwajcarja na terenie życia kolejowego. Pan prof. dr. Bertholet przedstawił działanie alkoholu na organizm człowieka, zwłaszcza na jego mózg. Wyjaśnił

skutki alkoholizmu, tak groźne z punktu widzenia bezpieczeństwa ruchu kolejowego i drogowego z racji zaburzeń w sferze kojarzeniowej i odruchowej, następujących po spożyciu alkoholu. P. Beauchamps nawiązał swe przemówienie do wywodów naukowych profesora i, komentując je słowami przemawiającymi do uczucia słuchaczy, udawał, że nawet największy egoista nie może się nie interesować problemem walki z pijaństwem, gdyż wchodzi tu w grę jego własne bezpieczeństwo, uzależnione, zdane na łaskę wyprowadzonego z normy mózgu kierowcy. Mówca dalej przytoczył kilka tragicznych wypadków, spowodowanych przez alkoholizm i dochodzi do wniosku, że społeczeństwo samo ponosi dużą odpowiedzialność za to, co się w tym zakresie dzieje. Czyż stale nie szerzy zgubnego kłamstwa, że alkohol jest pożywieniem, że propagandą wina, jako napoju słabszego, można zwalczyć alkoholizm? Czyż władze ustawodawcze nie uchwałyły zwiększenia liczby miejsc w szynku? Ale istota wina leży w opinii społecznej, gdyż rząd francuski jest odbiciem opinii kraju. A więc chodzi przede wszystkim o urobienie opinii społecznej, trzeba masy wychować do takiego zrozumienia, czym jest alkoholizm, by one dostarczały ludzi, którzy, znalazłszy się u władzy, przeprowadzą zdecydowanie i śmiało wolę tych, którzy ich powołali. Musi powstać poczucie solidarności wzajemnej w obronie wspólnego bezpieczeństwa, oraz przekonanie, że wina jednych spada w postaci odpowiedzialności zbiorowej na wszystkich. Prawdziwe braterstwo nie polega na wspólnym piciu w szynku, lecz na pomocy udzielanej słabszym, wpływa na ich wolę, na dodawaniu im sił do ratowania siebie i innych.

Stowarzyszenie Lekarzy w Rouen sformułowało wezwanie do społeczeństwa i do władz, zwracając uwagę jednych i drugich na zastraszający wzrost alkoholizmu i żądając jaknajsurowszych środków zapobiegawczych. Ogromna ilość wypadków przy pracy, oraz wypadków komunikacyjnych, zmusza do przedsięwzięcia akcji, która by położyła tamę dalszemu rozwojowi kłęski społecznej i narodowej.

Jeżeli chodzi o zagadnienie bezpieczeństwa ruchu, to niektóre kraje rozpoczęły akcję przeciwalkoholową drogą rozdawania kierowcom specjalnie na ten cel przygotowanej ulotki, lub karty zawiadamiająco-ostrzegawczej, zawierającej tekst obowiązujących przepisów przeciwalkoholowych. W Niemczech rozdano tego rodzaju kart około 3 milionów. Tekst tych kart jest następujący:

1. Zawód motorniczego jest tak trudny i odpowiedzialny, że wymaga zupełnego wstrzymania się od używania wszystkich napojów alkoholowych (piwa, wina, cydru, wódki i t. d.) przed i podczas jazdy.
2. Nawet małe dawki alkoholu są niebezpieczne dla kierowcy, gdyż one tłumią w nim poczucie ostrożności, a wyzwalają nastrój ryzyka, powodują zmęczenie, pomniejszają spostrzegawczość, bystrość orientacji i szybkość reakcji.
3. Ogromna ilość wypadków automobilowych jest wynikiem spożycia małej ilości alkoholu.
4. Staje się ono często źródłem czynów nieobliczalnych i bezmyślnych wybryków.
5. Pozwolenia jazdy nie będą wydawane osobom mającym skłonność do picia.

6. Kierowca, który w sposób widoczny znajduje się pod wpływem alkoholu, pod żadnym pozorem nie może prowadzić maszyny. Jeżeli podczas jazdy, kierowca nasuwa podejrzenie, że pił, to policja zmusi go do poddania się badaniu lekarskiemu. Jeżeli badanie lekarskie stwierdzi, że istotnie kierowca pił, to prawo jazdy zostanie mu odebrane. Obowiązkiem jest każdego szofera i każdego obywatela zmusić kierowcę ujawniającego stan podpicia do wycofania się z jazdy; na wypadek sprzeciwu należy zawiadomić o tem najbliższy posterunek policyjny, lub policjanta.

7. Właściciele aut mają pilnować, by ich maszyny nie były kierowane przez tych, którzy nie mają do tego prawa. Potajemnym zaś wyjazdom prawie zawsze towarzyszą pijatyki, powodujące poważne wypadki. Właściciele ponoszą część odpowiedzialności, jeżeli nie przedsięwzięją środków zabezpieczających przed niedozwolonem korzystaniem z ich wozów.

8. Szoferzy, którzy używają alkoholu przed jazdą i podczas jej trwania, nie tylko narażają siebie i innych na niebezpieczeństwo, lecz również pogrążają w nieszczęście własną rodzinę.

9. Dla tych wszystkich racji kierowcy muszą się powstrzymać od napojów alkoholowych i zastąpić je latem przez napoje orzeźwiające, a zimą przez napoje rozgrzewające. Wreszcie ostrzeżenie to się kończy słowami, że na rozkaz komendanta policji niemieckiej, będzie natychmiast zatrzymany każdy, kto w stanie nietrzeźwym znajdzie się w miejscu ruchu. („La Santé de la Famille“).

Panuje powszechne u nas przekonanie, że we Francji nic się dla walki z alkoholizmem nie robi; napewno jest to twierdzenie niesłuszne, bliżej prawdy będziemy, jeżeli powiemy, iż to, co się robi, jest niewspółmiernie małe do ogromu klęsk szerzonych przez alkoholizm. Ale tu można zapytać, w jakim kraju robi się dostatecznie energiczną, stanowczą i masową propagandę walki z tą plagą międzynarodową, ogólnoludzką?

Ciekawą jest rzeczą, jak kobiety francuskie odnoszą się do naszego zagadnienia? Otóż istnieje specjalny Komitet Kobiety propagandy walki z alkoholizmem, w imieniu którego pani Barthe wygłosiła na Kongresie „Forces nouvelles“ w Paryżu referat pod tyt.: „Rola kobiety w walce z alkoholizmem“. Referat ten, ujmujący alkoholizm, jako jedną z chorób społecznych, dowodzi, że istnieje zwarta i zorganizowana grupa kobiet, pracująca w łonie ogólnej Francuskiej Ligi Przeciwalcoholowej z pełnym poczuciem odpowiedzialności i zrozumienia, jak ważną jest ich placówka i jak wiele może zdziałać dla dobra sprawy. Zanim przytoczę kilka punktów wysuniętych przez prelegientkę, jako naczelne hasła ich pracy, trudno nie przytoczyć pewnych wiadomości, które, jak już parę razy podkreślałam, mają dla nas znaczenie, wobec mylnego, a tak rozpowszechnionego mniemania, że wódka szkodzi, a wino nie. Otóż i pani Barthe podkreśla, że właśnie wino i piwo, a więc lekkie napoje, przyczyniają się do owej ogromnej alkoholizacji społeczeństwa francuskiego, a bynajmniej nie napoje wysokoprocentowe. Wino właśnie osłabia tak organizmy klasy wiejskiej, że szerzy się wśród niej w sposób zastraszający gruźlica. Dowiadujemy się, że już w 1910 roku specjalna Komisja do walki z gruźlicą sformułowała 2-gi i 3-ci

punkt swej odezwy w sposób następujący: Jeżeli się walczy o świeże powietrze i słońce dla ozdrowienia gruźlików, to nie mniej kategorycznie trzeba walczyć z alkoholizmem, a więc: ograniczać liczbę miejsc wyszynku i znieść przywileje, jakie mają gorzelnie i t. d. Znany lekarz Lancereaux zbadał, że na 2192 wypadki gruźlicy było 1229 wypadków towarzyszących alkoholizmu, podczas gdy z przyczyn złych warunków sanitarnych—651 wyp., spowodu nędzy—173 wyp., dziedzicznej gruźlicy — 73 wyp., spowodu zarażenia się — 48 wyp. Prof. Hayem twierdził, że gruźlicę nabywa się w szynku, a prof. Landouzy, że alkoholizm jest podłożem gruźlicy.

Choroby weneryczne, powodujące zgony 140.000 osób rok rocznie, są najczęściej nabywane w stanie oszołomienia alkoholowego. Nędza mieszkaniowa, mówi pani Barthe, również często wynika z alkoholizmu, bo nawet dobre zarobki nie wystarczą na zaspokojenie wzrastającego głodu alkoholowego ojca rodziny. A choroby umysłowe? A przestępczość? Analizując po kolei wszystkie wielkie plagi społeczne, zawsze, według zdania pani Barthe, odnajdziemy na dnie ukryty alkoholizm, sprawcę wszelakiego zła na świecie.

Jakąż jest rola kobiety w tej walce o uzdrowienie społeczeństwa i narodu? Tu pani Barthe cofa się wstecz i cytuje słowa, jak powiada sławnego orędzie :

„Kobiety mniej używają alkoholu od mężczyzn, ale ze względu na rolę przypadającą im w udziale ze stanowiska matki, ze względu na wpływ, jaki mają na bieg życia rodzinnego, na męża i dzieci, koniecznym jest, aby posiadały zdecydowaną postawę przeciwalkoholową, wynikającą z nabytej we wczesnej młodości niechęci do alkoholu. Być może, że ów alkohol, którego się one nie nauczyły zwalczać, w przyszłości złamie im życie, zniszczy uczucie, zrani godność osobistą, dzieci doprowadzi do upadku lub śmierci“.

Są to słowa podpisane 1 marca 1909 r. przez ówczesnego Ministra Wychowania Publicznego, Gaston Doumergue'a, późniejszego Prezydenta Francji. Dostrzegł on przed 30 laty wielkie niebezpieczeństwo alkoholizmu i rolę, jaka przypada kobiecie w walce z nim. Pani Barthe cytuje, że w Ameryce, Anglii, Szwecji, Finlandji, kobiety prowadzą zorganizowaną walkę z alkoholizmem, a przedewszystkiem propagandę uświadamiającą, zapobiegawczą. Naturalnym i najbliższym terenem działania kobiety jest jej dom, w którym nie może nigdy, pod żadnym pozorem znaleźć się alkohol. Wychowywanie dzieci w surowym przykładzie osobistej abstynencji jest warunkiem podstawowym pracy. Nie może być żadnych odchyień, żadnych wyjątków.

To są przewodnie myśli referatu pani Barthe. Wnioski następujące :

- 1) aby kobieta francuska wszczepiała w dzieci wstręt, obrzydzenie do napojów alkoholowych;
- 2) aby szkoła prowadziła wychowanie w tym kierunku i podtrzymywała atmosferę domu;
- 3) aby kobieta sama nie piła i nie brała udziału w zebraniach, gdzie istnieje przymus picia;

- 4) aby władze przychyliły się do wniosków złożonych przez Akademię Medyczną:
 - a) ograniczenie liczby miejsc wyszynku,
 - b) zniesienie przywilejów, jakie mają gorzelnie,
 - c) zakaz podawania w szynku napojów alkoholowych do spożycia na miejscu młodzieży do lat 18-tu; niezastosowanie się do powyższego pociągać będzie surowe kary,
 - d) tworzenie wszędzie pijalni napojów bezalkoholowych;
- 5) aby kobiety, otrzymawszy prawo głosowania, przeprowadziły w Parlamencie powyższe prawa.

Sytuacja w *Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej* po zniesieniu prohibicji jest oceniana przez pismo „Voice“ (organ kościoła Metodystycznego), niezmiernie pesymistycznie. Twierdzi ono, że ilość spożytego alkoholu wkrótce przewyższy maksymalną liczbę wypitego dawniej, w latach przed prohibicją. Producenci alkoholu robią wielki wysiłek, aby wciągnąć do używania napojów alkoholowych te warstwy, które za czasów prohibicyjnych były wychowane w trzeźwości, a więc chodzi tu o kobiety i młodzież.

Produkcja alkoholu jest wyższa obecnie od konsumpcji, a więc chodzi, rzecz jasna, o rozpowszechnienie masowego obyczaju picia. Stosunkowo zwiększone jest spożycie wódki, a nie piwa, co zaś do wina, to mimo usilnej propagandy win francuskich, spożycie jego jest słabe.

„La Santé de la Famille“.

Dr. Müller w „L'Abstinence“ umieścił ciekawy artykuł pod tyt.: „Nasza odpowiedzialność moralna“, w którym zwraca uwagę społeczeństwa na istnienie owej wspólnej odpowiedzialności wszystkich w wypadku np., gdy pijany szofer masakruje ludzi na ulicy. Współwinni w tragedjach, które się rozgrywają na każdym kroku, o każdej godzinie na całym świecie, są ci, co wiedzą do czego alkohol jest w stanie doprowadzić i nie robią nic, by szoferowi nie pozwolić pić. Pozwalamy ojcu rodziny do tego stopnia utonąć w alkoholizmie, że, doszedłszy do szału, morduje siekierą całą swą rodzinę, począwszy od dziada, a skończywszy na dziecku w kołysce, poczem udaje się spokojnie na miasto, by zjeść obfity posiłek. Egoistyczne tolerowanie, gdy bliźni stacza się w przepaść, z której wyłoni się cały splot zbrodni i nieszczęść, przyczynia się do tego, że zalewanie się alkoholem przytępia w ludziach zdolność krytycznego ocenienia swego stanu oraz niebezpieczeństwa, zbliżającego się powoli, ale nieuchronnie. Aby stanąć do walki z alkoholizmem, trzeba w sobie obudzić poczucie solidarności w nieszczęściu i odpowiedzialności za nie, a więc trzeba w sobie wytepić egoizm.

W jednym z ostatnich numerów „La petite Lumière“ znajdujemy bardzo ciekawy pogląd doktora E. M. Ellison'a z Waszyngtonu, na sprawę umiarkowanego używania alkoholu i abstynencji. Ponieważ i u nas to zagadnienie jest zawsze na czasie, więc dobrze będzie się do-

wiedzieć, jak myśli człowiek z kraju, w którym eksperyment prohibicyjny wywołał tak sprzeczne opinie.

Otóż powiada on, że wszyscy uczeni zgadzają się, iż alkohol jest trucizną deprawującą, której używanie może przejść w nałóg. Skutki zatrucia bywają głębokie, natychmiastowe, lub odległe, a organizm je gromadzi w małej, albo większej ilości. Każda jednostka inaczej jest nimi upośledzona. Przez długi okres czasu organizm ludzki może pochłaniać alkohol, pozornie nie odczuwając żadnego zaburzenia w stanie zdrowia. Jest to jednak stwierdzenie teoretyczne, opierające się na przeświadczeniu, że jednostka zna gruntownie swoją fizjologję i nie przekroczy owej odpowiadającej swym właściwościom, dawki, będącej normą. Tymczasem w praktyce jest inaczej, a mianowicie:

1. Laicy, a nawet i lekarze nie znają do głębi, ani swego ustroju fizjologicznego, ani swej psychiki.

2. Alkohol wywołuje zahamowanie czynności kontrolujących i stwarza ludzkie uczucie błogostanu. Z tego wynika, że zdolność sądenia i analizowania jest gwałtownie przytępiona. Pijący jeden kieliszek nie jest w możności osądzić, będąc już pod działaniem alkoholu, czy wolno wypić mu następny bez narażania się na realne niebezpieczeństwo.

3. W jakim momencie spożycie alkoholu staje się zgubne? Nawet minimalna ilość alkoholu we krwi, tak mała, że nie wywołuje śladu skutku na zewnątrz, czyni człowieka np. szofera, już mało bezpiecznym. Nieco więcej alkoholu spożytego przez tegoż człowieka wywoła zachowanie się niewłaściwe, a my skorzy będziemy poczytywać je za dowód wymowy błyskotliwej.

Wielkim błędem jest poczytywanie za zło społeczne, wyłącznie stanu ostrego upicia się. Skutki alkoholizmu chronicznego są często ciężkie i poważne, zarówno dla jednostki, jak i dla społeczeństwa. Młodzieniec, pragnący zdecydować o swym stosunku do zagadnienia picia, powinien rozważyć rezultaty wypicia pierwszego kieliszka u tysięcy młodzieży. Obserwacje poczynione można tak mniej więcej określić:

a) Pewna liczba tych, co sprobowali, z wielką szkodą dla swego organizmu i dla swej równowagi psychicznej, będzie pić. b) Większość (prawdopodobnie wszyscy) z pomiędzy tych, którzy nie będą nawet pić nadmiernie, zostaną skazani na jakieś chorobowe zwyrodnienie organów; c) wreszcie, w każdym wypadku, ci, którzy piją umiarkowanie, będą mieli pociąg do picia znacznie obfitszego. W gruncie rzeczy człowiek się tak przyzwyczaja do alkoholu, że pożądane samopoczucie zjawia się przy coraz zwiększanych dawkach.

Jeżeli pacjent zapytuje doktora, czy jeden przygodnie wypity kieliszek nie przyniesie mu szkody, to uczciwa odpowiedź będzie taka: Ja nie wiem. Ażeby dać odpowiedź bardziej umotywowaną, trzeba wziąć pod uwagę następujące czynniki: wiek, rodzaj zatrudnienia, płeć, dziedziczność, rasę, narodowość, klimat, stan uczuciowy, czas posiłków i t. d. Po dokonaniem zbadaniu, jeżeli się nie znajdzie ściśle określonego przeciwwskazania, jedyną mądrą odpowiedzią doktora, szlachetną i naukową jednocześnie, będzie stwierdzenie, że być może iż pytający mógłby bez niebezpieczeństwa wypić jeden kieliszek, ale doktor zapewnić, że tak jest, nie ma prawa. Umiarkowanie, dla większości osób,

w ciągu pewnego okresu czasu nie jest o tyle szkodliwe, co nadużywanie, ale w większości wypadków prowadzi do nadużycia, prędzej niż pijący tego się spodziewa. Propagowanie umiarkowania, twierdzenie, że jest ono nieszkodliwe dla jednostki i dla społeczeństwa, wykazuje zupełne niezrozumienie zagadnienia alkoholizmu. Spożywanie alkoholu powinno napotkać sprzeciw taki, jak obecnie ma używanie morfiny. Lekarz zalecający abstynencję — wie napewno, co czyni — ten, który głosi umiarkowanie — zgaduje, nie może bowiem nigdy z bezwzględną pewnością przewidzieć skutków.

Przegląd pracy Szwajcarskiego Towarzystwa Nauczycieli Abstynentów (założonego w 1898 r.) z okazji czterdziestolecia działalności, wykazuje ożywioną akcję przeciwalkoholową, prowadzoną różnorodnymi sposobami na terenie szkoły i poza jej murami. Trzeba było rozpocząć robotę od samych podstaw, trzeba było wykazać niedopuszczalność umieszczania w podręcznikach szkolnych urywków przychylnych dla alkoholu, a zastąpić je takimi, któreby wykazywały konieczność walki z alkoholizmem i t. d. To wszystko, co jest tak dobrze znane wszystkim działaczom przeciwalkoholowym we wszystkich krajach było troską również i grupy nauczycieli szwajcarskich, którzy przy udziale niestrudzonego i niezastąpionego działacza międzynarodowego p. Roberta Hercod, wówczas profesora w kolegium w Montreux, 24 września 1898 roku w lokalu Ligi przeciwalkoholowej w Lozannie, założyli Szwajcarskie Tow. Nauczycieli abstynentów. Na tym inauguracyjnym zebraniu był również obecny August Forel. Na prezesa Towarzystwa powołany został Karol Bierman, prof. Uniwersytetu w Lozannie. Przedewszystkiem na posiedzeniu tem rozstrzygnięto zasadniczą kwestję: abstynencja, czy umiarkowanie i abstynencja została uznana jednomyślnie jako niewzruszona podstawa ideologiczna, na której ma się oprzeć działalność Towarzystwa. W 1899 r. przyłączyło się do Szwajcarskiego Towarzystwa Nauczycieli Abstynentów — Towarzystwo Nauczycielek Abstynentek, co dało w sumie tej jednej połączonej organizacji 150 członków. W miarę lat i rozwoju powstawały w miastach sekcje Towarzystwa, a więc: w Bernie, w Zurychu, w Bazylei i t. d. Towarzystwo rozpoczęło wydawanie całego szeregu broszur i książek propagandowych, urządziło i urządza kursy, wykłady, organizuje zbiorowe wycieczki, jednym słowem prowadzi nieustającą pracę nad wychowaniem zdrowej moralnie i fizycznie młodzieży. Propaganda owoców, napci bezalkoholowych i mleka, obok podstawowych zasad higieny ogólnej wchodzi również w zakres pożytecznego i wzorowo prowadzonego przez Tow. Nauczycieli, wychowania trzeźwego obywatela kraju.

„L'Abstinence“.

*

*

12 stycznia b. r. w 94 roku życia zmarła w Zurychu Zuzanna Orelli, odznaczona tytułem doktora honoris causa uniwersytetu w Zurychu za zasługi położone na polu propagandy odżywiania, tudzież zdrowia fizycznego i moralnego szerokich warstw ludności. Niestru-

dzone życie tej niezwyklej działaczki przeciwalkoholowej, zasługuje na przypomnienie naszym czytelnikom, tem więcej, że praca jej szła drogą zupełnie jeszcze nie wyzyskaną w Polsce. A mianowicie: pani Orelli przejęta głęboką troską o przyszłość młodzieży, która z konieczności ogólnych warunków życia i pracy, narażona jest na odwiedzanie szynków i szukanie w nich rozrywek, postanowiła dla tej właśnie najbardziej zagrożonej młodzieży robotniczej stworzyć ośrodki, w których oprócz skromnego, lecz zdrowego i taniego posiłku, byłaby atmosfera wesoła i kulturalna. To było podstawową myślą zmarłej, która



Ś. p. Zuzanna Orelli († 12.I. 1939).

przystąpiła, z właściwą sobie energją i znajomością rzeczy, do jej zrealizowania i w 1894 r. powstała pierwsza restauracja bezalkoholowa w Zurychu, a w ślad za nią następne, w rozmaitych dzielnicach tego miasta.

Stopniowo idea restauracji bezalkoholowych coraz głębiej zaczęła przenikać do przekonania społeczeństwa, które znajdowało w nich zaspokojenie potrzeby wszelakiego rodzaju rozrywek kulturalnych, gdyż posiadały one obok sal jadalnych, sale odczytowe, koncertowe, sale rozmaitych gier, czytelnie i t. d. Uniwersytet, Politechnika, Konserwato-

rjum, Szkoła Sztuk Pięknych, zostały zaopatrzone w bufety bezalkoholowe. Również Dom Ludowy, koncentrujący różne Związki zawodowe, posiada restaurację bezalkoholową. Pani Orelli była zdania, że zakłady bezalkoholowe powinny być prowadzone handlowo, czyli powinny dawać dochód — wszelakie karmienie darmowe w rezultacie rani miłość własną człowieka. Najskromniejszy nawet posiłek winien być podany z równą gościnnością i pieczołowitością, jak i najwykwintniejszy. Robotnik, skromna pracownica i dama elegancka w futrze mają być jednakowo estetycznie i uprzejmie obsłużone. To też tak prowadzone zakłady bezalkoholowe są doskonałą szkołą obyczaju trzeźwego i prawdziwie demokratycznego.

Niemniejszą troską otoczyła pani Orelli pracowników zakładów przez siebie stworzonych. Zwyczaj dawania napiwków uznano za upokarzający tych, co biorą i za żenujący dla tych, co je dają. Staraniem pani Orelli było zawsze uświadomić personel, co do zakresu i kierunku pracy społecznej i wyrobić w nich przeświadczenie, że praca ich jest nie tylko funkcją zarobkową, lecz jednocześnie są oni współpracownikami, współtwórcami dobra społecznego, z którego inni korzystają. Urlopy i emerytury pracownicy mieli zapewnione jeszcze przedtem nim prawo je ustanowiło.

Restauracje bezalkoholowe w Zurychu stały się wzorem tego rodzaju placówek nawet dla Ameryki i Australji, skąd przyjeżdżają specjalnie, by na miejscu się przyjrzeć doskonale zorganizowanym środkom propagandy trzeźwego obyczaju, najściślej spojonego z kulturą współżycia demokratycznego.

Pani Orelli, przy pomocy Szwajcarskiego Towarzystwa Użyteczności Publicznej, stworzyła sieć „ognisk - ośrodków“, skupiających życie zbiorowe w najodleglejszych nawet wioskach, z których alkohol jest całkowicie usunięty. Mają one wielkie znaczenie dla życia całego kraju. To też zasługi jej są ogromne i ciągle żywe.

(„L'Abstinence“, I. 1939).

*

*

*

Ruch przeciwalkoholowy w *Stanach Zjednoczonych* ześrodkowuje się obecnie w dużej mierze w Chrześcijańskim Związku Kobiet Abstynentek (Ruban Blanc), w formie na szeroką skalę zamierzonej pracy wychowawczej. Organizacja ta szykuje się dnia 28 września b. r. do obchodu stulecia urodzin Franciszki Villard. Związek ten postanowił początkowo z racji nadchodzącej uroczystości zebrać na potrzeby organizacji 500.000 dol., tymczasem zebrano już sumę znacznie większą i mają nadzieję, że wysokość jej dojdzie do 1 miliona dolarów.

Co się tyczy ustawodawstwa przeciwalkoholowego, to Kongres nie wydał żadnego prawa ograniczającego w stosunku do alkoholu. Nie przedsięwzięto również środków, które obiecywali wprowadzić przeciwnicy prohibicji, a polegających na ochronie Stanów suchych przed inwazją napojów alkoholowych z innych Stanów.

Jedynie Stan Georgia, w 1938 r., wprowadził prawo, pozwalające jednostkom administracyjnym wypowiedzenie się w sprawie sprzedaży napojów dystalowanych. Prawo to zostało uchwalone wbrew referendum ludowemu, które się przeciwstawiło sprzedaży jakichkolwiek napojów alkoholowych. Opcja lokalna jest zawsze najprawdziwszym odbiciem istotnej opinii publicznej, która jest coraz bardziej nieprzyjazna dla handlu alkoholowego. Opinia ta zwłaszcza wyraźnie się wypowiedziała w wielkich Stanach, jak Ohio, Pensylwanja i Minnesota, gdzie nawet kierownicy handlu alkoholem ogłosili, iż na 7.000 opcji lokalnych, które się odbyły od czasu zniesienia prohibicji, 5.000 wypowiedziało się przeciw wolnemu handlowi. Wielkie miasta są zawsze twierdzami obronnemi alkoholizmu, a mniejsze środowiska ludzkie wypowiadają się zdecydowanie przeciw niemu.

W ostatnich czasach *Kanada* śledzi bacznie silny ruch przeciwalkoholowy, który na jej terytorjum w Quebec został zainicjowany gorąco przez kardynała Villeneuve. Za przykładem kardynała, arcybiskupi i biskupi apelują do duchowieństwa, by wspólnie z wiernymi rozpocząć energiczną walkę z klęską alkoholizmu na drodze nie tylko wychowawczej, lecz i prawodawczej. List pasterski J. Em. Kardynała Villeneuve znajduje czytelnicy niżej.

Australja zaczęła poszukiwać nowych, współczesnych metod walki z alkoholizmem — przedewszystkiem rozumie konieczność połączenia się ruchu sportowego z ruchem przeciwalkoholowym. 8-go października ub. roku odbyło się głosowanie w Stanie Victoria w sprawie prohibicji — niestety, jej przeciwnicy otrzymali większość dwie trzecie głosów. Abstynenci nie byli zaskoczeni tym wynikiem. Odebrano im prawo stosowania opcji lokalnej, która jest łatwiejszą formą wypowiedzenia się za zakazem, bo nie dotyczy całego Stanu — w takich warunkach prohibicja niema szans przejścia.

Indje, mające swego Gandhi'ego, wprowadzają stopniowo u siebie prohibicję, mimo trudności finansowych, wynikających z usunięcia tego źródła dochodu. W jednej tylko prowincji Madras, są obwody „suche“, liczące 4.800.000 ludności, a więc większe od Szwajcarji i Finlandji.

W *Japonji* ruch przeciwalkoholowy robi szybkie postępy. Od 1-go kwietnia roku zeszłego prawo, zabraniające młodzieży do 21 roku życia używania napojów alkoholowych, zostało rozszerzone i na młodzież w kolonjach, a więc w Korei, w Formozie i w Karafuto. Minister kolonji patronuje akcji przeciwalkoholowej na terenie szkół. Powstało specjalne ministerjum, mające w swym zakresie szereg zagadnień społecznych, do których zaliczono przedewszystkiem alkoholizm.

Dzień bezalkoholowy był obchodzony wyjątkowo uroczyście: 18.000 policjantów w Tokio postanowiło nie używać ani alkoholu, ani tytoniu we wszystkie poniedziałki; 20.000 rzemieślników postanowiło 3 dni w miesiącu nie używać wcale alkoholu. W Tokio został otwarty pierwszy zakład dla alkoholików. Japonja posiada wyspę Hirato, której większość mieszkańców jest członkami towarzystwa wstrzeźliwości. Jeżeli jeden z członków złamie swoje przyrzeczenie, to każdy z pozo-

stałych członków (a jest ich 169) ma prawo uderzyć go laską, lub też winowajca musi się zgodzić, że jego fotografia będzie wywieszona u zbiegu ulic.

(„L'Abstinence“, I. 1939).

List pasterski J. Em. ks. kardynała Villeneuve.

Z okazji pobytu w Polsce arcybiskupa Quebecu ks. kardynała Villeneuve, warto zwrócić uwagę na jego ostatni list pasterski, wydany w listopadzie 1938 r. łącznie z Biskupami prowincji Quebec. Mocny w treści i wyrazie list ten dotyczy aktualnej dziś w Kanadzie i niemal na całym świecie kwestji alkoholizmu. List czyni rozróżnienie między nałogiem alkoholowym, budzącym odrazę, a „wykwintniejszym“, chytłym i obłudnym alkoholizmem, polegającym na regularnym, choćby umiarkowanym spożywaniu napojów alkoholowych, nie prowadzącym nawet do pijaństwa. Do tej formy alkoholizmu list zalicza również spożycie piwa, które jest tam bardzo rozpowszechnione. Przytoczywszy dane statystyczne Quebecu, Biskupi wskazują na szczególne niebezpieczeństwo dla młodzieży, na krzywdę, wyrządzaną życiu rodzinnemu i na wzrastającą niemoralność, którą podtrzymują pijackie obyczaje towarzyskie. Występują przeciw pozbawionej skrupułów reklamie napojów alkoholowych, posługującej się prasą, afiszami, radjem, nawet sportem. Reklama ta stoi w jawnej sprzeczności z prawdą, ze zdrowotnością publiczną i potrzebami życia gospodarczego; napoje bowiem alkoholowe są niebezpieczeństwem dla życia duchowego i moralnego jednostki, dla pokoju w rodzinie i dobrobytu narodów. Rozwijając opis indywidualnych i społecznych następstw alkoholizmu, list podkreśla jego ujemny wpływ na wolę i upadek dusz. Alkoholizm niszczy zarówno człowieka, jak i dobrobyt — dwa czynniki konieczne dla utrzymania i dalszego rozwoju społeczności ludzkiej.

A jakie są środki zaradcze? Nie wystarczą platoniczne stwierdzenia i bezowocne narzekania. Biskupi wzywają do współpracy wszystkich: wierzących i dobrych obywateli. Prawodawcy powinni zakazać reklamy destylatów i piwa w radjo i prasie, ograniczyć liczbę wyszynków i popierać prawo głosowania w gminach w sprawie zakazu miejscowego, inicjatywę samorządów, chcących się bronić przed alkoholizmem; podczas zabaw, tłumnych zebrań i w soboty zakazać sprzedaży napojów alkoholowych, oraz pośrednio zwalczać alkoholizm przez stosowanie środków, zmniejszających nędzę, jak: reforma mieszkaniowa, sprawa wczasów i t. p. Lecz prawa bez obyczajów nie skutkują. Moralne życie jednostki i społeczeństwa musi się wznieść na wyższy poziom. Konieczne jest wychowanie przeciwalkoholowe w rodzinie i w szkole. Nauczyciele nie powinni pominąć żadnej ku temu okazji, nie tylko w szkołach powszechnych, lecz przede wszystkim w gimnazjach, seminarjach i uniwersytetach. Księża mają głosić nauki i stosować nowoczesne środki propagandy, jak: prasa, radjo i kino, które obecnie są na służbie destylatów i piwa, a które powinny napojom tym wytoczyć proces i oskarżać je, jako wrogów publicznych! W kampanji tej wszyscy winni wziąć udział: lekarze, sędziowie, poli-

tycy. Należy urządzać wystawy przeciwalkoholowe, rozrzucać w ogromnych ilościach ulotki. Walka z alkoholizmem oznacza początek moralnego, społecznego i gospodarczego odrodzenia — tak kończą Biskupi swój wymowny i doniosły list pasterski.

Z DZIAŁALNOŚCI ABSTYNYENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW.

Warszawa. Z Tygodnia Propagandy Trzeźwości.

Dnia 6 lutego 1939 r. o godz. 15.05 w Sali Konferencyjnej Dyrekcji, ul. Targowa Nr. 74, odbyła się uroczysta Akademia, urządzona staraniem Zarządu Koła Dyrekcyjnego Abstynenckiej Ligi Kolejowców wspólnie z Zarządem Ogniska Dyrekcyjnego K. P. W. w Warszawie, z okazji trwania „Tygodnia Propagandy Trzeźwości“.

Po zagajeniu, wygłoszonym przez Prezesa Koła Dyrekcyjnego A. L. K., p. Baczyńskiego, zaproszono do prezydium p.p.:

Mgr. J. Siekierskiego — Wicedyrektora Kolei, Inż. A. Tyszkę — Wicedyrektora Kolei, Red. Jana Szymańskiego — Redaktora mies. „Trzeźwość“, Inż. J. Szadziewicza — Prezesa Zarządu Głównego ALK., Inż. C. Witorta — Wiceprezesa Zarządu Ogniska Kolejowego Przysposobienia Wojskowego.

Słowo wstępne wygłosił p. inż. Józef Szadziewicz, Prezes Zarządu Głównego A. L. K.

W pierwszej części wysłuchano referatu, wygłoszonego przez p. Red. Jana Szymańskiego p. t. „Społeczne i państwowe znaczenie walki z alkoholizmem na P. K. P.“.

W części koncertowej wzięły udział zespoły K. P. W., chór pod kierunkiem p. Stolarskiego, orkiestra pod kierunkiem p. Zakrzewskiego, oraz p. Maryla Dromlewicz (sopran koloraturowy), która odśpiewała utwory Moniuszki, Chopina, Meyerbera, Marcheżziego i Straussa. Artyście akompaniował p. Mieczysław Śleszyński.

Na zakończenie przemawiał p. mgr. Siekierski, Wiceprezes Dyrekcji, dziękując organizatorom za wysiłki położone nad zorganizowaniem tej uroczystości, oraz wykonawcom za wzięcie udziału.

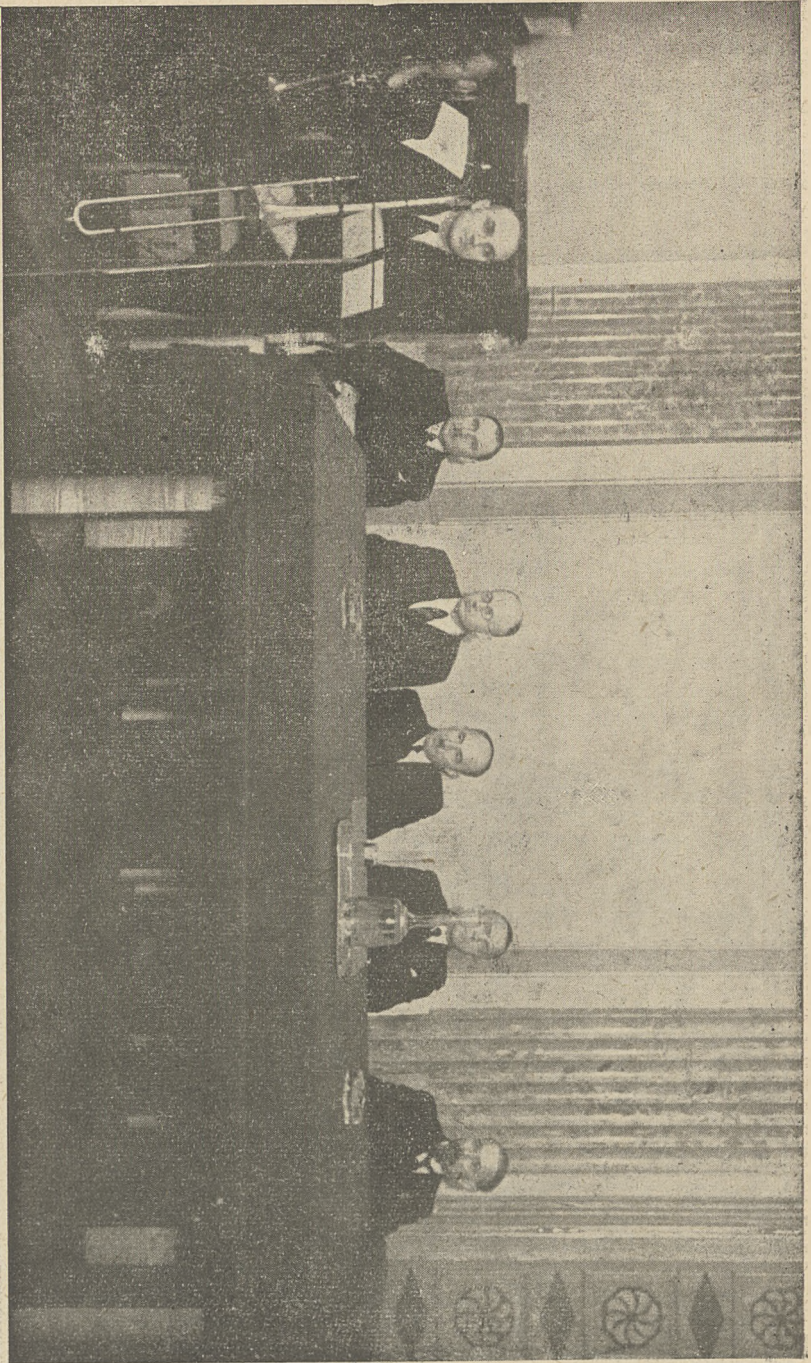
Przemówienie Prezesa Koła Dyrekcyjnego A. L. K. p. inż. Baczyńskiego zakończyło uroczystość.

Warszawa, dnia 9.II. 1939 r.

Feliks Zygnerski,
Zast. Sekretarza Gen.



Akademia A. L. K. i K. P. W. dn. 6.II. 39 W pierwszym rządzie: art. śpiewaczku, p. M. Dromlewicz, na lewo p. K. Baczyński,
Prezes Koła A. L. K. W-a Dyrekcja, na prawo p. F. Zygmierski, zast. Seltr. Gen. Z. Gł. A. L. K.



Prezjdium Akademji A. L. K. w Warszawie dn. 6. II. 39. (od prawej) p. p. Red. J. Szymański, W.-Dyrektor D. O. K. P.
 w Warszawie, inż. A. Tyśzko, W.-Dyrektor D. O. K. P. w Warszawie, mgr. J. Siekierski, W.-Prezes Z. Gł. Ogniska K. P. W.
 inż. Witort i Prezes Z. Gł. A. L. K. inż. J. Szadłewicz.

K O W E L

(Sprawozdanie z Tradycyjnej Abstynenckiej Choinki, urządzonej w Kowlu staraniem Zarządu miejscowego Koła Abstynenckiej Ligi Kolejowców w dniu 15 stycznia 1939 r. dla dzieci Abstynentów i Sympatyków A. L. K.).

Choinka odbyła się w dużej odnowionej Sali Ogniska KPW. przy ul. Mościckiego 18 i była uroczystością w celach propagandowych na rzecz walki z alkoholizmem i szerzenia idei Trzeźwości wśród zebranej dziatwy, młodzieży i starszych.

O godz. 17-tej sala była wypełniona po brzegi przez zgromadzoną dziatwę, ich rodziców, opiekunów i gości. Na środku sali wspaniale prezentowało się drzewko, przybrane odświętnie zabawkami, świecidełkami, niebieskimi chorągiewkami z inicjałami ALK., oświetlone świeczkami.

Uroczystość zaszczylicili swoją obecnością: Prezes Okr. Radomskiego i Wiceprezes Zarządu Głównego A. L. K. p. Konstanty Kryśko, Ksiądz Prefekt żukowski, p. Mecenas Grekk i Dr. Leszkiewicz, ci dwaj ostatni jako przedstawiciele miejscowego Koła T-wa „Trzeźwość“, dalej p. Stanisław Stachurski, Kontroler Ruchu w Kowlu i inni przedstawiciele miejscowych służb kolejowych, oraz liczni goście.

Przygrywała smyczkowa orkiestra K. P. W. pod batutą p. Łapińskiego Eugeniusza przy akompaniamencie fortepianu. Zabawa rozpoczęła się raźnie marszem dzieci w takt muzyki wokoło choinki, a następnie dzieci chóralnie odśpiewały kolędy: „Wśród nocnej ciszy“, „Pójdźmy wszyscy do stajenki“, „Lulajże Jezuniu“. Po chwilowej przerwie — pod dźwięki muzyki taniec: „Polka“, w którym brały udział wszystkie znajdujące się na sali dzieci. Wesołości nie było końca.

W propagandowej części programu przemawiali: 1. Niestrudzony działacz na niwie krzewienia idei Trzeźwości, Prezes miejscowego Koła A. L. K. Dr. Bolesław Turowski, który podkreślił duże propagandowe znaczenie Abstynenckiej Choinki, urządzonej przez b. Prezesa, a obecnie Członka Honorowego tut. Koła, p. inż. Kossowskiego.

Wielkie święto Bożego Narodzenia, mówił p. Dr. Turowski, jest świętem Miłości, Braterstwa, Jedności, które to hasła są hasłami trzeźwych. Nie dają się łatwo one w życie wcielić, z powodu ogromnych przeszkód, stawianych ze strony największego wroga naszego „Alkoholu“. P. Prezes Kryśko powitał zebranych imieniem Zarządu Głównego i Okręgu A. L. K., oraz własnym i po treściwym przemówieniu do dorosłych i do dzieci, wniósł okrzyk „Niech żyje“ na cześć inicjatora Abstynenckich Choinek w Kowlu, p. Inż. Kossowskiego, a następnie na cześć Zarządu Koła i Prezesa Dr. Turowskiego i życzył jaknajlepszego rozwoju dla Koła A. L. K. w Kowlu. Ks. Prefekt żukowski opowiedział o swych wrażeniach z niedawnej podróży po Jugosławji, gdzie również są Polacy, z których wielu nie widziało nawet polskiego księdza. O Polakach są tam dobrego zdania, tylko nie chwala za to, że dużo piją i dlatego przeważnie są biedni. Ksiądz prefekt na zakończenie odebrał od dzieci przyrzeczenie, że nigdy nie będą pić trucizny t. j. napojów alkoholowych.

P. Dr. Leszkiewicz nawoływał do organizowania się kobiet do wal-



Akademia Trzeźwości i Kurs Alkoholologii w Jędrzejowie, 29.I. 39. — Komitet Organizacyjny i prelegenci: Dr. J. Jaworski, Dr. J. Vorbrodt, Prezes K. Kryśko, p. Mróz, p. Zygadlewicz.

gandy Trzeźwości“, przeto wszyscy naprawdę katolicy i Polacy powinni zaprzestać picia alkoholu.

Następnie zostały wygłoszone referaty: Dr. med. Jan Jaworski z Garbatki wygłosił referat p. t. „Wpływ alkoholu na chorobowość człowieka i zdegenerowanie rasy“.

Prof. Dr. chemji Vorbrodt, Prezes tow. „Trzeźwość“ z Radomia, wygłosił referat p. t.: „Chemiczny skład alkoholu, alkohol szkodliwy jako napój, a pożyteczny produkt w przemyśle“.

Opowiedział również swoje spostrzeżenie o życiu robotnika zagranicą: trzeźwego i pijaka.

Konstanty Kryško, Prezes Zarządu Okręgowego w Radomiu i Vice-Prezes Zarządu Głównego Abstynenckiej Ligi Kolejowców wygłosił streszczenie referatów p. t.:

„Alkoholizm, a zagadnienie gospodarcze w Polsce“, „Alkoholizm, a Sport“, „Alkoholizm, a zagadnienie komunikacji“ i „Alkoholizm, a obronność Państwa“.

P. Mróz, miejscowy działacz społeczny, nawoływał młodzież, zwłaszcza wiejską, do urządzania zabaw, wesel i obchodów bez alkoholu, tak jak to się robi w pow. Kozienickim.

W końcu Dr. Jan Jaworski wygłosił referat p. t.: „Wpływ alkoholu na choroby nerwowe, weneryczne, gruźlicę i potomstwo“.

Dziękując prelegentom za wygłoszenie referatów, a słuchaczom za skupioną uwagę, z jaką słuchali referatów, p. Chrobot o godz. 17 Akademię zamknął.

Radom, w lutym 1939 r.

Konstanty Kryško.

W a d o w i c e.

W związku z „Tygodniem Trzeźwości“, na zaproszenie Rektora Zakładów naukowych Ks. Ks. Pallotynów, Ks. Pawła Drewsa, udałem się do Wadowic w dniu 2.II. 1939 roku, w celu wygłoszenia referatu.

Sala była przepełniona uczniami starszych klas gimnazjum i liceum. Obecni byli księża i bracia zakonnicy.

Ks. Rektor Drews przedstawił mnie obecnym i w krótkim przemówieniu scharakteryzował szkodliwość picia alkoholu i znaczenie „Tygodnia propagandy Trzeźwości“, poczem ja podkreśliłem, że młodzież powinna być uświadomiona o grozie niebezpieczeństwa alkoholizmu i że na nią liczymy, jako na bojowników trzeźwości, a tym bardziej na wychowanków ks. ks. Pallotynów.

Następnie wygłosiłem streszczenie referatów p. t.:

- 1) „Dlaczego walczymy z alkoholizmem, kto, jak i kiedy walczymy“;
- 2) „Wpływ alkoholu na ustrój człowieka, na uczucia wyższe i psychikę“;
- 3) „Alkoholizm, a zagadnienie gospodarcze Polski“;
- 4) „Alkoholizm, a sport“;
- 5) „Alkoholizm, a zagadnienie komunikacji“.

Rzęsiste oklaski były wyrazem zadowolenia obecnych, a ks. Rektor serdecznie mi dziękował i podkreślił, że w referatach jest dużo bogatych i nowych myśli, które słuchacze powinni rozważyć i wykorzystać w walce z alkoholizmem.

Radom, w lutym 1939 r.

Konstanty Kryśko.

L w ó w.

K o m u n i k a t.

Z działalności Koła Lwów (na Lewandówce) A. L. K. w mies. listopadzie i grudniu 1938 r.

Listopad — miesiąc wielkich rocznic, jest dla nas dzieci Lwowa — jego Obrońców — miesiącem drogich wspomnień. — Każdy dzień tego miesiąca przypomina nam dni chwały Narodu i ukochanego miasta. Myśli nasze biegną tam na wzgórze Łyczakowa, ku cichym mogiłom Braci naszych, i legną w hołdzie wraz z opadającymi liśćmi, tuląc najdroższe prochy bohaterów.

Dwudziesta rocznica pamiętnych walk o polskość naszego miasta skupiła wszystkie organizacje społeczne i zawodowe kolejarzy Lwowa i skierowała zgodnie ku cmentarzowi Obrońców Lwowa.

Delegacje obu Kół Lwowskich A. L. K. pod sztandarem naszego Koła w dniach 1 i 20 listopada złożyły wieńce na mogiłach Obrońców Lwowa.

Uczcić pamięć wielkich można najlepiej, wprzegając się do wozu, któremu na imię Polska, i w nieustającej pracy dnia codziennego budować Jej wielkość i potęgę.

Wprzągnięte przed z górą laty 12 Koło nasze do pracy dla dobra ogólnego, w miesiącu listopadzie zdwoiło swoje wysiłki.

Pod hasłem „Wszystkie dzieci Lewandówki w płaszczach i butach“, rozpoczęliśmy listopadowe prace. W dniu 4 listopada wyłoniony przez Koło Komitet pod przewodnictwem ks. kan. Władysława Witkowskiego odbył drugie z kolei posiedzenie w świetlicy naszego Koła, dla urządzenia gwiazdki dla najbiedniejszej dziatwy (sierót, dzieci bezrobotnych i alkoholików). Świetlica Koła gościła kilkakrotnie Komitet na dalszym szeregu posiedzeń w ciągu listopada i grudnia, a rezultatem tych prac było obdarowanie (w dniu 14 stycznia 1939 r.), 164 dzieci płaszczami i obuwiem, umożliwiającymi im uczęszczanie do szkół i przerwanie najtrudniejszego dla nich okresu — zimy. Na cel powyższy zebraliśmy około 1600 zł.

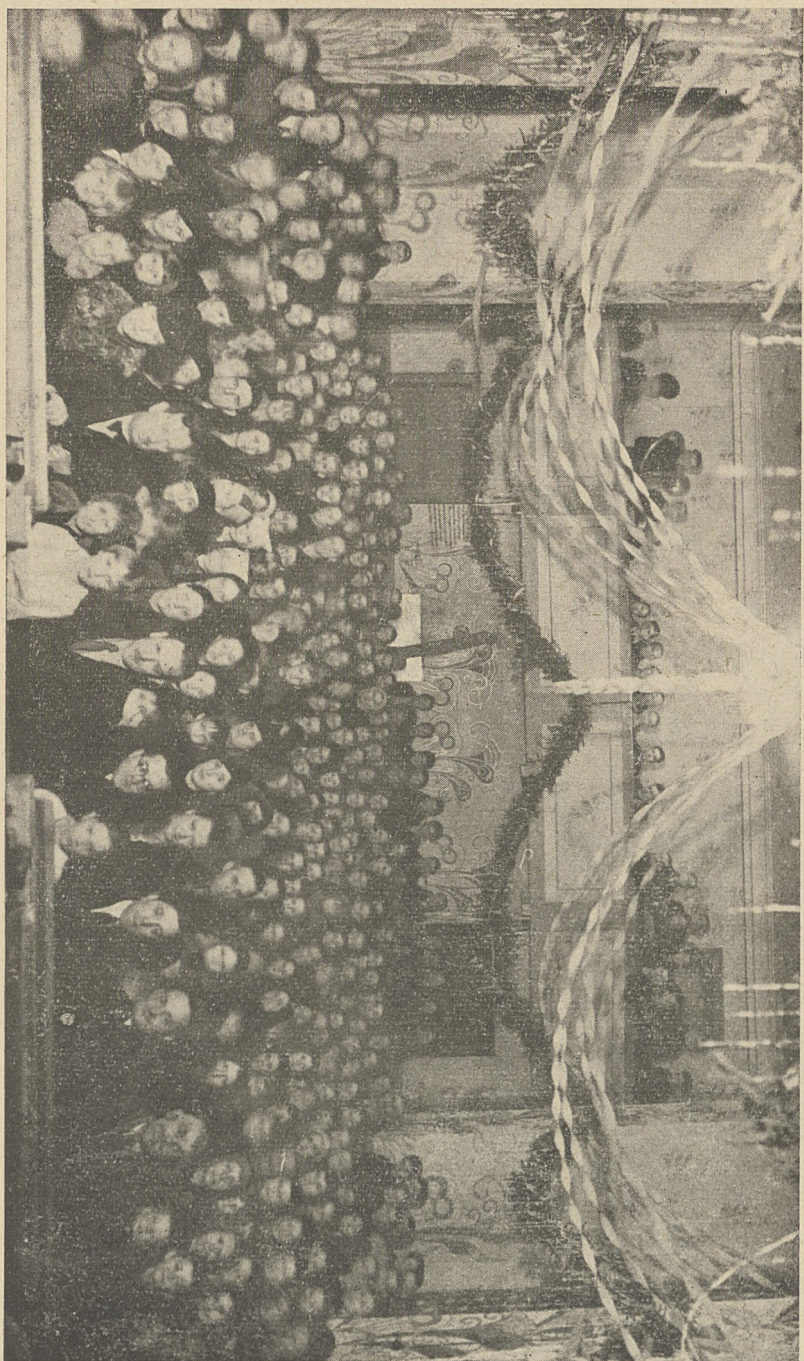
Wieczorem dnia 8 listopada, prezes lwowskiego Koła „Trzeźwości“, p. Dr. Alfred Stachy, zapoczątkował w świetlicy naszej na Lewandówce cykl wykładów z astronomji. Wykłady odbywały się każdego wtorku przez cały listopad i pierwszą połowę grudnia. Wznowienie wykładów prof. Stachego nastąpi z początkiem lutego 1939 r.

Zarząd Koła wraz z poczem sztandarowym bierze w dniu 10 listopada udział w Akademji, urządzonej staraniem Komitetu organizacyj społecznych i zawodowych kolejarzy w Teatrze Wielkim we Lwowie, ku uczczeniu 20-tej rocznicy Odzyskania Niepodległości, a w dniach 11 i 22 listopada w defiladach. Dzięki wyjątkowej przychylności P. Dy-



Parada Sztandarowy Kosa Lubów-Lubandówka A.L.K. (pierwszy na lewo) na cmentarzu Obrońców Lwowa, dn. 20 listopada 1938 r.

Gwiazdka dla najbardziej potrzebującej pomocy organizacji społecznych, an. 14.I. 39. w sali T. S. L.



rektora Kolei, Ottona Grossera, udaje się Koło urządzić dalsze dwa kursy alkoholologii w dniach od 18-go listopada do 30 grudnia. Pierwszy dla kontrolerów i instruktorów służby ruchu, oraz dla tych wszystkich kolejarzy, którzy, korzystając z okólnika DOKP. we Lwowie, mogli uzyskać płatny urlop na czas kursu, drugi dla kandydatów na adjunkta służby ruchu (aspirantów). (Okólnik jak w załączniku).

Na kursach tych wykładali: ks. Dr. Jan Ciemniwski, Dyr. Bronisław Duchowicz, med. Alojzy Gürtler, ks. kan. Władysław Matus, redaktor Jan Szymański, Dr. Alfred Stachy i pr. Adam Rauch — kierownik kursów. Dla kontrolerów i instruktorów poza-lwowskich—uczestników kursu urządzono wspólny obiad. Kursy odbywały się w sali Z. Z. K. we Lwowie przy ul. Daszyńskiego.

W pogrzebie ś. p. Ks. Arcyb. Teodorowicza w dniu 10 grudnia wzięła udział delegacja Koła wraz z poczem sztandarowym.

W niedzielę dnia 13 grudnia kolejarze i ich rodziny w Dubnie wysłuchali wykładów Dr. Alfreda Stachego. Wykłady odbywały się za zgodą P. Dyrektora Kolei w poczekalni II. kl. na dworcu w Dubnie. Każdy wykład Dr. Stachego kończy się zbiorową prośbą słuchaczy o następny. Dubno nie tylko prosiło, ale domagało się i dalej domaga dalszych wykładów „Kochanego Profesora“.

W dyskusji, kończącej wykłady, prezes Koła p. A. Rauch, udzielając wyjaśnień, omówił z organizatorami szczegóły utworzenia Koła A. L. K. w Dubnie.

W okresie świąt Bożego Narodzenia ozdobiły korytarze Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych we Lwowie i niektórych miejsc pracy kolejarzy (Parowozowni i Warsztatów), oraz wszystkie poczekalnie kolejowych przychodni lekarskich, tablice propagandowe Koła w ilości 48 sztuk. Wszystkie oprawy w oszklone ramy dębowe będą żywe zainteresowanie kolejarzy.

Wśród odznaczonych kolejarzy w listopadzie ubiegłego roku, za zasługi na polu pracy zawodowej, znajdowały się dziesiątki nazwisk abstynentów-członków A. L. K. Świadczy to niezbicie, że dobrze zasłużyć się Kolejnictwu mogą przede wszystkim kolejarze trzeźwi, jako bardzo obowiązkowi, sumienni, pilni i zawsze pewni.

Między innymi odznaczeni zostali członkowie naszego Koła p.p.: Stanisław Zduńczyk — wiceprezes Koła, Srebrnym Krzyżem Zasługi; Ludwik Blachut, Tadeusz Chwalbiński, Michał Leś, Antoni Pielich, Władysław Rakliński, Stanisław Rauch, Marja Raunek, M. Rudnik i Anna Serednicka — Brązowym Krzyżem Zasługi.

Lwów, w styczniu 1939 r.

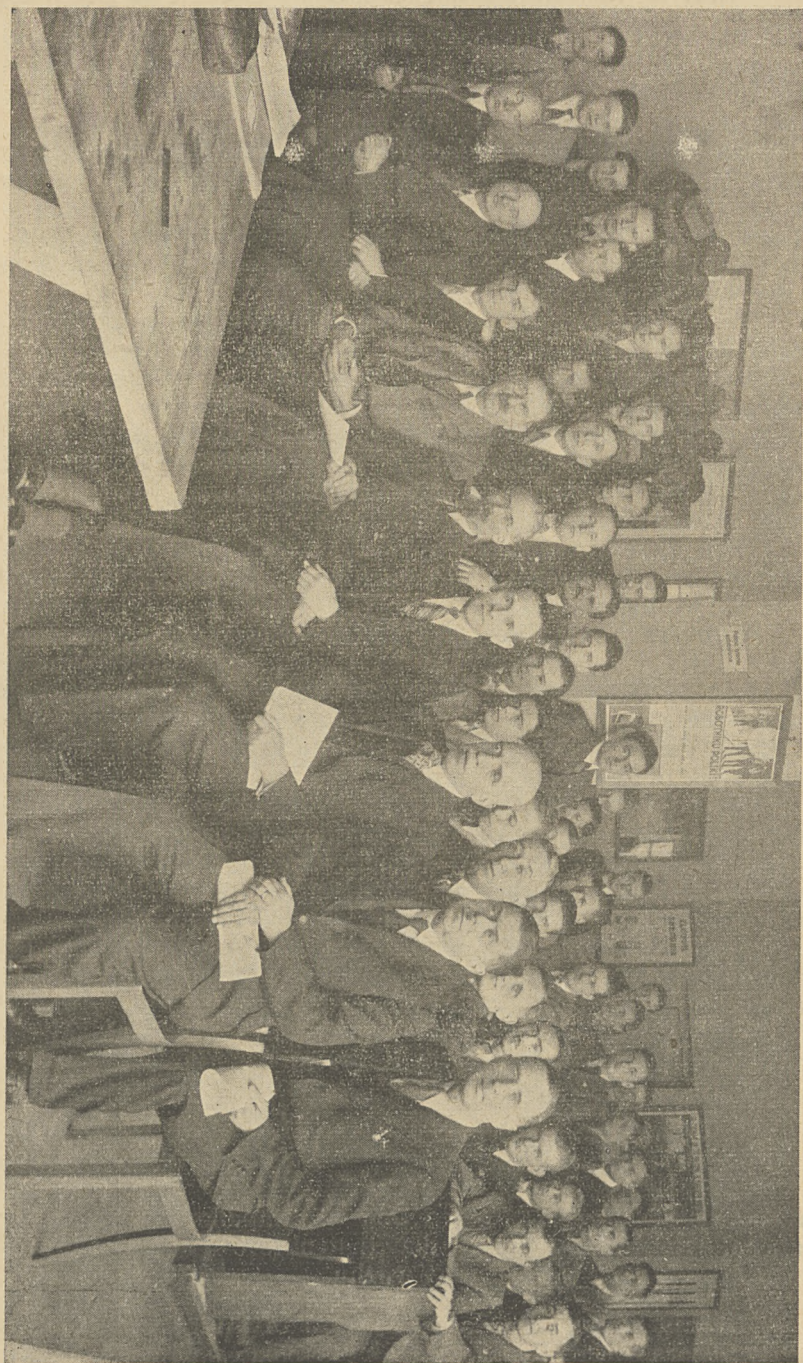
Sekretarz:
Z. Papierszański.

Prezes:
A. Rauch.

Przemówienie Prezesa Koła Lwów (Lewandówka) A. L. K. Adama Raucha, na otwarciu kursu dla instruktorów i kontrolerów służby ruchu.

Okazja kursu, odbywającego się w tej sali, i wielka przychylność P. Dyrektora Kolei, Grossera, który zgodził się między innymi zwolnić od pracy tych, którzyby chcieli razem z nami w tem miejscu dzi-

Kurs Alkoholiği A.L.K. we Iwowie w Sali Z. Z. K. (18.XI.—30.XII. 1938).



siaj się zebrać, pozwoliły Kołu zorganizować cykl wykładów przeciw-alkoholowych, niosących słowa uświadomienia i zachęty do walki z podstępnyim wrogiem człowieka — alkoholem. Tego, że pijaństwo jest nieszczęściem ludzkości, że niszczy w sposób okrutny życie jednostek, rodzin, ba nawet całych społeczeństw, uczy nas życie dnia codziennego, nasze bliższe lub dalsze sąsiedztwo, kroniki każdej gazety, każdy niemal krok w naszym codziennem życiu.

Dla kolejjarza jest to zagadnienie szczególnie ważne z tego względu, że los nieraz setek osób w jego spoczywa rękę, i drobne niedopatrzenie z jego strony może pozbawić wielu ludzi życia, a wielu narazić na cierpienia i kalectwo. Państwo zaś ponosić musi skutki takiego zaniedbania i pokrywać szkody, sięgające milionów złotych.

My, abstynenci, wiemy, że nie może być mowy o bezpieczeństwie ruchu, jeśli pracownicy bezpośrednio i pośrednio związani z tą służbą, nie będą przestrzegali tak w służbie, jak też na długo przed jej objęciem, zupełnej abstynencji.

A droga, wiodąca do zrealizowania tej prawdy jest jedna—uświadomienie.

Słowa uświadomienia dadzą nam wykłady dzisiejsze (a p.p. praktykantom, przyszłym kierownikom służby ruchu, także wykłady dni następnych).

Jednakże ażeby wysiłek ten dał oczekiwane rezultaty, potrzeba, aby słuchacze z tą samą serdecznością i z taką samą gotowością wykładów tych wysłuchali, My zaś możemy ich zapewnić, że jeśli dobrze chcą służyć sobie, swojej rodzinie, społeczeństwu i, co najważniejsze, Polsce, zrobić to mogą rzetelnie tylko wtedy, jeśli w życiu codziennem, na każdym kroku przestrzegać będą zasad zupełnej trzeźwości.

W imieniu Koła naszego najserdeczniej witam drogich nam i miłych gości:

Pana Redaktora Szymańskiego, jako przedstawiciela Ministerjum Opieki Społecznej,

Pana Dyrektora Kryszczukajtisa, jako przedstawiciela Rodziny Kolejowej,

Pana Dyrektora Duchowicza, jako przedstawiciela Bratniej nam Polskiej Ligi Przeciwalkoholowej.

Przyszłość i wielkość naszego Narodu w trzeźwości: — Więc rozpocznijmy pracę okrzykiem „Niech żyje Polska trzeźwa“!

We Lwowie, dnia 18 listopada 1938 r.

Adam Rauch.

R a d o m.

S p r a w o z d a n i e

z kursu alkoholologii, odbytego w Radomiu w dniach 18.I.—12.II. 1939 r, na kursie przy D. O. K. P. dla magazynierów zasobów.

Przeprowadzone zostało 10 wykładów z zakresu „Alkoholologii“, według programu, zatwierdzonego przez Ministerjum Komunikacji. Prelegentami byli P.p.: Kierownik Kursu Alkoholologii, Prezes

Kurs Alkoholologi w Radomiu 18.1. — 12.1.. 1939 dla magistrów zasobów.
Stędzą pp.: W.-Dyr. Kurcz, Nacz. Inż. Nowickowski, Nacz. Gorzkowski, K. Krysko, Prezes A. L. K. Okr. Rad.



Okręgu A. L. K. Konstanty Kryško, Dr. chemji Juljusz Vorbrodt, Dr. med. Jan Jaworski, Komisarz Policji Śledczej Kazimierz Micke, St. Kontroler ruchu DOKP. Stefan Łochański.

W dniu 12 lutego na zakończenie Kursu Alkohologii dokonano wspólnego zdjęcia fotograficznego słuchaczy, przy udziale Vice-Dyrektora Kolei P. A. Kurcza, Naczelnika Śl. Zasobów p. inż. Nowakowskiego, Kierownika Kursu Magazynierów p. Naczelnika Gorzkowskiego, Kierownika Kursu Alkohologii p. K. Kryški, oraz prelegentów: pp. Szczyńskiego, Kochanowskiego i innych.

Młodzi słuchacze Kursu wysłuchali wszystkich prelekcji z wielką uwagą i w skupieniu, oraz przyrzekli, że będą stosować trzeźwe zasady przy wykonywaniu służby w kolejnictwie, co będzie z pożytkiem i dla nich, i dla kolejnictwa.

S p r a w o z d a n i e

Z popularnej „Akademji Trzeźwości“, odbytej w niedzielę dnia 5.II. 1939 r. w Radomiu, w wielkiej sali domu młodzieży katolickiej, przy kościele Farnym. Obecni byli: Ks. Dziekan Kanonik W. Kosiński, Ks. Ks. Wikariusze i licznie zebrana publiczność.

Zagał Akademję P. Prof. Dr. Juljusz Vorbrodt, Prezes miejscowego Tow. „Trzeźwość“, który wygłosił referat p. t. „Szkodliwość alkoholu, jako napoju, oraz zastosowanie alkoholu w przemyśle“, poczem nawoływał obecnych do zwalczania wstrętnych obyczajów picia wódki, piwa, wina.

Następnie p. Konstanty Kryško, Prezes Zarządu Okręgowego Abstynenckiej Ligi Kolejowców, podkreślił znaczenie obecnego „Tygodnia Propagandy Trzeźwości“, który odbywa się pod wysokim protektorem Jego Eminencji Ks. Kardynała Prymasa D-ra Hlonda i Marszałka Śmigłego Rydza, poczem wygłosił referat p. t. „Alkoholizm, jako zagadnienie gospodarcze w Polsce“, oraz „Alkohol, jako czynnik chorobotwórczy i zwyrodniający“.

W końcu młodzież żeńska katolickiego Stowarzyszenia, odegrała bardzo dobrze jednoaktówkę p. t.: „Zaloty do Magdusi“.

Należy podkreślić, że wszystkie role odegrały dziewczęta z wielkim artystyzmem i wdziękiem.

Oklaskami nagrodzono wykonawców, a prelegentom dziękował Ks. Kanonik W. Kosiński.

W tymże dniu 5 lutego odbyło się w Radomiu w Sali Kongresowej przedstawienie na cele misyjne p. t.:

„Człowiek, który nie pije“.

W trzech odsłonach, streszczenie powieści „Ognista Woda“ W. Rappackiego.

Radom, w lutym 1939 r.

Uroczysta „Akademja Trzeźwości“.

O godz. 17-ej dnia 25 lutego r. b. wielka sala Reprezentacyjna w gmachu D. O. K. P. w Radomiu na placu Legjonów była wypełniona

po brzegi. Prawie 800 miejsc siedzących było zajętych, a oprócz tego przeszło 300 osób zajęło miejsca stojące.

Akademję zaszczylicili swoją obecnością: P. Dyrektor Kolei inż. Stanisław Tarwid, Ks. Dr. Gierycz, P. Delegat Sztabu Gł. Major Stanisławski, Naczelnik Biura Personalnego p. J. Szlapak, Prezes Ogniska KPW. p. inż. Wasiański, Komisarz P. P. p. Micke, p. Naczelnik Gorzkowski, p. Tałałas i wiele innych osób z sądownictwa, policji, nauczycielstwa, kolejnictwa i innych sfer.

Nastrój poważny. Na wstępie Prezes Koła Tow. „Trzeźwość“ p. Dr. J. Vorbrodt wygłosił słowo wstępne, podkreślając wysiłek społeczeństwa i Rządu naszego na polu odbudowy Państwa, oraz znaczenie „Tygodnia Trzeźwości“ i obecnej Akademji, poczem powitał przedstawicieli duchowieństwa, władz i zebranych w imieniu Abstynenckiej Ligi Kolejowców i Tow. „Trzeźwość“.

Po tym wstępie orkiestra reprezentacyjna KPW. pod dyr. p. D. Kozłowskiego odegrała utwory operowe.

W części odczytowej, wygłosili referaty p.p.:

Red. J. Szymański, Delegat Min. Op. Sp.: „Trzeźwość obywateli podstawą obronności Państwa“.

Ks. Dr. Gierycz: „Alkoholizm, a moralność“.

P. Dr. Stefanja Perzanowska: „Alkohol, a chorobowość“.

Dr. Jan Jaworski: „Alkohol, a sport“.

W części koncertowej wzięli udział: P. H. Kwaśnikowa, śpiew solowy przy akomp. p. Stasińskiego-pjanisty, p. Stanisław Gorzkowski — pianista, oraz kwintet reprezentacyjny KPW.

Tak część odczytowa Akademji, jak i koncertowa były na bardzo wysokim poziomie.

Na tem miejscu składamy serdeczne podziękowanie Delegatowi Min. Op. Społ., P. J. Szymańskiemu, P. Dyrektorowi Kolei inż. Tarwidowi, P. Prezesowi Okr. K. P. W. Kurczowi, P. Naczelnikowi J. Szlapakowi i p. Kozłowskiemu oraz p.p. Prelegentom i wykonawcom części koncertowej za poparcie i przychylenie się do świetnego przebiegu Akademji. Radom, dnia 28 lutego 1939 r.

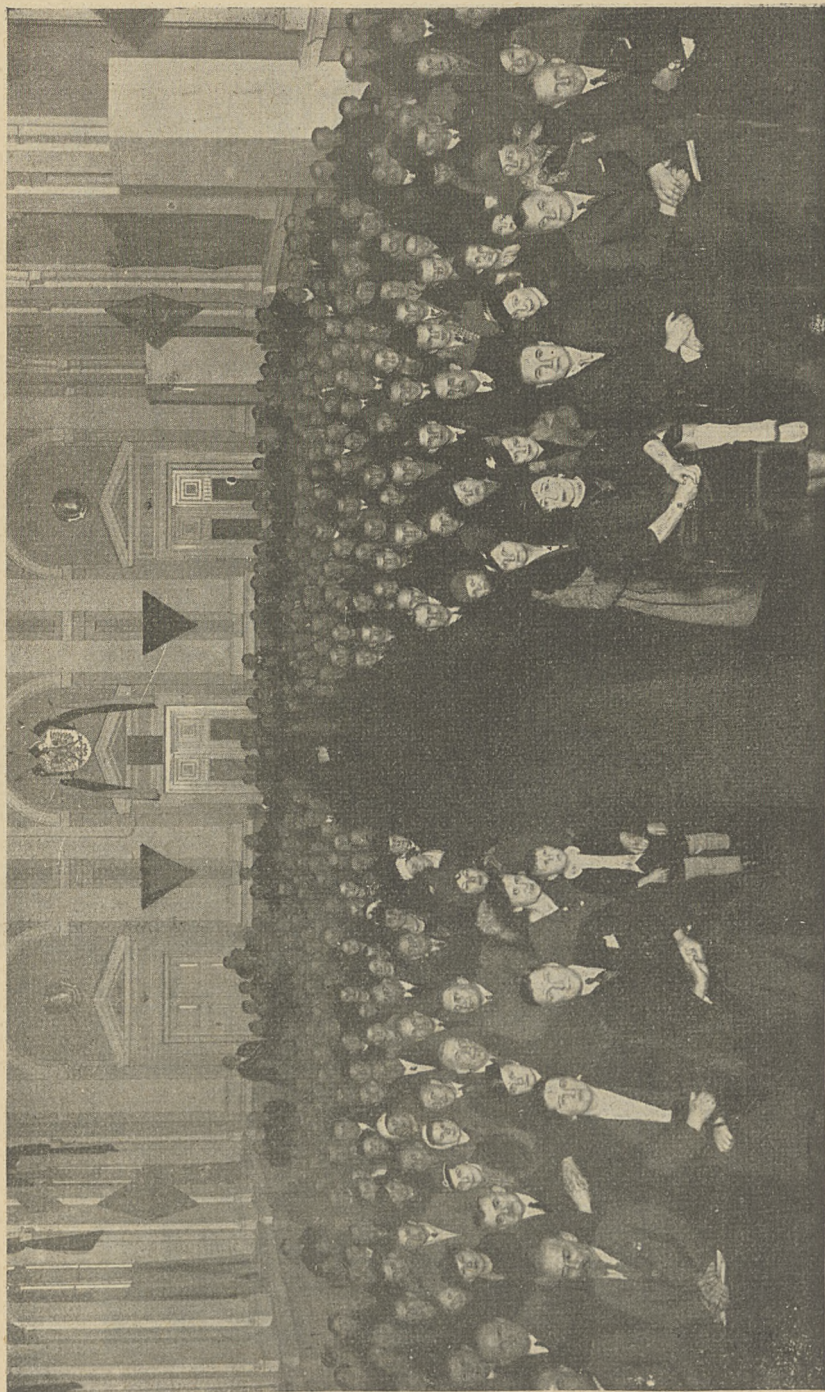
Kurs Alkoholologii w Radomiu w dn. 24 - 28 lutego 1939 r. dla 110 strażników ochrony kolei.

Wykłady prowadzone były w Radomiu w sali wykładowej Biura Personalnego DOKP codziennie w godzinach 13—15. Ogółem przeprowadzono 13 wykładów, stosownie do programu podanego przez Ministerjum Komunikacji. Prelegentami byli: pp. Red. Jan Szymański, Komisarz Policji Śledczej p. Micke, Dr. chemji J. Vorbrodt, Dr. med. Jan Jaworski, Dr. med. J. Jankowski, Ks. Dr. Gierycz, K. Kryško.

Pozatem słuchacze byli obecni na uroczystej Akademji „Trzeźwości“ dn. 25.II. 1939 r.

Kursanci wysłuchali wszystkich prelekcji z wielką uwagą i w skupieniu. Większość zapisała się na członków Abstynenckiej Ligi Kolejowców.

W dniu 25 lutego r. b. dokonano wspólnego zdjęcia, z udziałem delegata Min. Op. Sp. P. Red. J. Szymańskiego, Komisarza P.P. p. Micke i kierownika kursu K. Kryško.



Akademia Trzeźwości w Krakowie dn. 25.II. 1939, Od przejścia na lewo: Dyrektor D. O. K. P. Tarwid, Dr. Perzanowska,
red. J. Szymański.

Kurs Alkoholologii w Radomiu (24-28.II. 1939) dla 110 słuchaczyó uoeluronu kolei.



Niewątpliwie, uświadomienie młodych pracowników kolejowych o zgubnych skutkach Alkoholizmu, przyczyni się do zupełnej abstynencji słuchaczy kursu, co oni solennie przyrzekli.
Radom, dnia 28 lutego 1939 r.

Kierownik Kursu, Prezes Okr. A. L. K.
Konstanty Kryśko.

Rymacze na Wołyniu.

Oplatek Abstynencki. Dorocznym zwyczajem w dniu 28 stycznia 1939 r. staraniem Zarządu Oddziału Związku Strzeleckiego i Plutonu Obrony Narodowej, odbyło się wspólne łamanie oplatkiem członków Z. S. i O. N. i zaproszonych gości.

Uroczystość zaszczylicili swoją obecnością: Ks. Proboszcz Brajczewski



Oplatek abst. w Rymaczach. Kapelan Oddz. Z. S., ks. Brajczewski, składau życzenia Prezesowi pow. Z. S. p. Reiterowi.

wski, Prezes Powiatowy Z. S. Inspektor Szkolny p. Reiter, Dowódca Kompanji O. N. por. Orlik i Komendant Powiatowy Z. S. podpor. Łukjaniec. Obecnych 126 osób.

Uroczystość zebrani rozpoczęli koledą: „Przybieżeli do Betlejem Pasterze“. Następnie Ks. Proboszcz wygłosił przemówienie do zebranych strzelców i żołnierzy O. N. oraz do zaproszonych gości, wyrażając swoją radość na widok tak licznej rzeszy młodzieży pracującej w poszczególnych organizacjach Państwowych. Z kolei przemawiali: Prezes Powiatowy Z. S. Inspektor Reiter, Prezes tutejszego Oddziału Z. S. P. Józef Włodarczyk i Dowódca Kompanii O. N. ppor. Orlik.



Oplatek Abstynencki w Rymaczach 28.I. 39, p. Prezes Oddziału Zw. Strz. Włodarczyk (x) i komendant plutonu Obr. Nar. ppor. Stawonczy.



Oplatek abstynencki w Rymaczach — 28.I. 39.

Wszyscy mówcy w swoich przemówieniach podnosili konieczność uzdrowienia społeczeństwa polskiego od pijaństwa, konieczność zmilitaryzowania się całej Polski, aby ani jeden Polak czy Polka nie byli ciężarem dla Państwa, a w razie, gdy zajdzie potrzeba, oddali swoje siły i życie dla Ojczyzny.

Przy herbatce młodzież wymienionych organizacji śpiewała koledy, przeplatając je pieśniami żołnierskimi. Na zakończenie młodzież wykonała tańce ludowe, a następnie odbyły się zabawy towarzyskie.

Należy podkreślić, że już po raz trzeci Prezes Oddziału Związku Strzeleckiego Pan Józef Włodarczyk, Członek Abstynenckiej Ligi Kolejowców, zawiadowca stacji w Jagodzinie, organizuje opłatek Abstynencki, a najbliższymi współpracownikami jego są: PP. Ppor. Stawniczny, Komendant Plutonu O. N., oraz Sekretarz Pawliczuk Stanisław.

Za pełną poświęcenia pracę społeczną i patriotyczną należy się im szczerze uznanie.

Radom, w lutym 1939 r.

Konstanty Kryśko.

Dalsze wiadomości o działalności Kół ALK. n/B., Wyszkwie, Krakowie, Kowlu, Lwowie, Kielcach — podamy w następnym numerze.

*WZYWAMY WSZYSTKICH CZŁONKÓW T-WA „TRZEŹWOŚĆ”,
CZYTELNIKÓW I PRZYJACIOŁ NASZEGO PISMA, ABY SPEŁNI-
LI SWÓJ OBOWIĄZEK OBYWATELSKI I PATRYJOTYCZNY, ZA-
PISUJĄC SIĘ NA POŻYCZKĘ OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ JAK
NAJPRĘDZEJ W MYŚL HAŚLA: BIS DAT QUI CITO DAT! — PO-
DWÓJNIE DAJE, KTO DAJE PRĘDKO.*

SPRAWA NARKOTYKÓW NA TERENIE MIĘDZYNARODOWYM.

Na uwagę zasługuje umieszczona w „Bulletin des Sciences Pharmacologiques“ nr. 3/8 dłuższa praca p. t. „Handel opjum“, w której dr. Ludwik Neuberger podaje wiele ciekawych szczegółów, dotyczących narkomanji i nielegalnego handlu narkotykami. Autor poświęca wiele miejsca wysiłkom władz francuskich, zmierzającym do opanowania armji trucicieli, którą nazywają trzecią potęgą finansową świata. Pierwsze dwie, jak wiadomo, to metalurgia i nafta.

Dr. Neuberger cytuje kilka sensacyjnych spraw międzynarodowego nielegalnego handlu opjumem. A mianowicie niejakiego Otto J., noszącego przydomek „cesarza narkotyków“, którego aresztowanie ujawniło szczegóły wprost zdumiewające. Przez jego ręce przeszły tysiące kilogramów opjum, telegraficznie dyktował swym emisariuszom obowiązujące ceny narkotyków. Jego pomysłem było kwalifikowanie opjumu na kilka kategorii. Najlepszy gatunek wysyłano hurtowo do Stanów Zjednoczonych, średni kierowano do Ameryki Południowej, ostatni był przeznaczony dla Francji. Otto zaopatrywał się w narkotyki oficjalnie w Niemczech w legalnych fabrykach środków odurzających. Faktycznie był twórcą zarówno we Francji, jak i w innych krajach (prawdopodobnie Turcja, Bułgarja, Grecja, Rumunja i Czechosłowacja), ma-

łych fabryczek, przerabiających opjum na rozmaite alkaloidy, szczególnie heroinę.

Autor wspomina również o głośnej w r. 1935 aferze jakiegoś „księcia“, rzekomo pretendenta do tronu polskiego, który dzięki niedyskrecji policji, pewnego dnia znikł z terenu swej tajemniczej działalności, jakim były najelegantsze hotele w Europie. Znalaziono u niego cały aparat palacza opjum, przyczem, szczegóół interesujący, narkotyk znajdował się w opakowaniach specjalnych, przeznaczonych dla hurtowników międzynarodowych.

Artykuł, umieszczony w „Bulletin“ był niewątpliwie wywołany sprawą Carlo Baculi, dyplomaty peruwjańskiego, aresztowanego w Paryżu, który okazał się szefem bandy handlarzy narkotykami. Było to pierwsze ogniwo łańcucha aresztowań szeregu osób na terytorjum francuskim. Sensacją niełada było, że Teodor Lyon, stojący na czele wywiadu francuskiej służby bezpieczeństwa, był równocześnie szefem szajki przemytników narkotyków i handlarzy żywym towarem.

Charakterystyczne dla sprawy narkotyków jest, że wiąże się ona prawie zawsze z innym przestępstwem, jak przemyt broni, fałszerstwo pieniędzy, handel żywym towarem lub szpiegostwo.

Związek między szpiegostwem, a nielegalnym handlem i przemysłem narkotyków powtarza się niezmiernie często i na to należy zwrócić baczną uwagę. Zarówno wspomniani Bacula i Lyon, jak i Hilarion, szef jednej z band prowincjonalnych Lycna, zamordowany później w pociągu między Paryżem a Diedenhofen, uprawiali szpiegostwo.

W Hankou (Chiny) aresztowano Fang-Sing-Kuana, zwanego „królem narkotyków“ („królem handlarzy narkotyków w Europie“ nazywano Lyona, o którym mowa wyżej). Sąd wojenny skazał chińskiego przemytnika na karę śmierci, przyczem panuje przekonanie, że stał on na czele organizacji szpiegowskiej, działającej na rzecz Japonji.

Związek, istniejący niewątpliwie między szpiegostwem, a narkotykami i handlem nielegalnym narkotykami, wykazuje również tocząca się niedawno przed sądem federalnym w Nowym Jorku sprawa o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Mianowicie Günther Gustaw Rumrich, oskarżony o chęć uprowadzenia pułkownika Edgwina, dowódcy fortu Totten, i wykradzenia tajnych planów mobilizacyjnych, zeznał, że działał pod wpływem narkotyków.

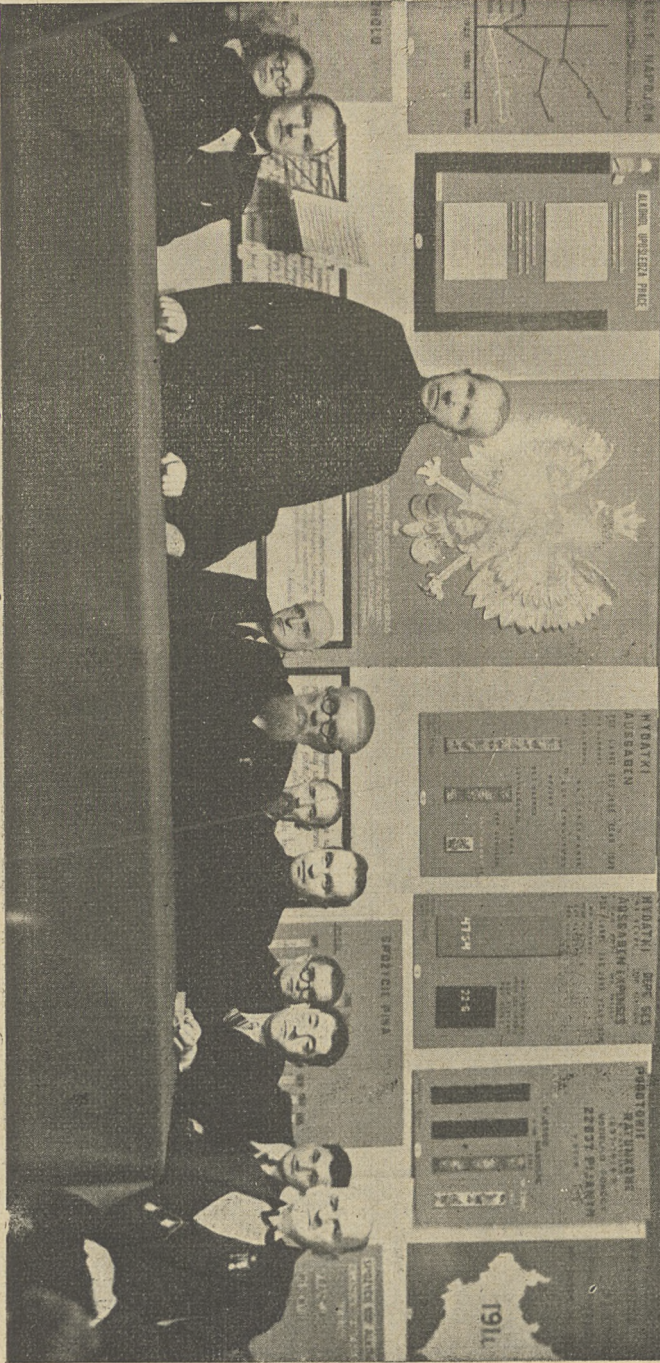
I w Polsce istnieje sensacyjnie brzmiąca sprawa przemytu narkotyków, jeszcze niezakończona. Nici jej sięgają z Warszawy do Krakowa i Katowic. Do spraw wmieszanych jest 10 psów tresowanych, które biegały z Katowic niepostrzeżenie przez granicę po towar. Oczekujący na nie w kryjówkach po stronie niemieckiej przemytnicy nakładali im na grzbiety specjalne siodełka z kokainą, poczem psy wracali do Katowic.

Narkotyki przemycane są wszędzie i pod rozmaitemi postaciami. Pomysłowość przemytników jest wprost niewyczerpana. I tak policja paryska wykryła w Marsylji w jednym ze składów celnych skrzynie, których zawartość zadeklarowano jako wędliny; w rzeczywistości były to ogromne ilości opjum. Urzędnicy celni w Turcji wpadli na nowy sposób przemytu: w wydrążonych cytrynach znalaziono około 7 kg. opjum.



Uroczysta Akademia ku czci ś. p. Aleksandra Kardynała Kakowskiego w Tow. „Trzeźwość“ dn. 10. I. 1939.

PRZYSZŁOŚĆ NASZA



Prezydium Akademii 10.1. 39 ku czci ś. p. Aleksandra Kardynała Kalouskiego. Od lew. p.p.: Inż. J. Szadzienczyk, Prez. Z. Gł. A.I.K., ks. prał. W. Bakul, Prok. S. N. St. Czerwiński, Sen. Al. Łęcki, red. J. Szymanski, ks. Poseł Wł. Padacz, Dr. P. Radło, Prezes St. Bobiński, Sekr. Z. Gł. T-wa „Trzeźwość”.

W Egipcie po dłuższych poszukiwaniach policja natrafiła w górach Mukatan na podziemną kryjówkę rozległą i urządzoną z komfortem, gdzie znaleziono skład rozmaitych narkotyków, jak opjum, heroina. Po stoczeniu walki ujęto członków bandy w liczbie 17-tu.

Na sensację zakrawa sprawa rzekomego rabina Leifera, który w bibljach wysyłał z Paryża do Ameryki i Palestyny koperty z heroiną. Nabożny introligator, który dla rzekomego rabina sporządzał oprawy do świętych ksiąg, zeznał podczas śledztwa, że był wprowadzony w błąd i przysięgą zmuszony do milczenia. Oświadczone mu bowiem, że wysyłany w sposób tak tajemniczy biały proszek, jest to święty piasek z Jerozolimy, przeznaczony dla ofiar prześladowań politycznych.

Dr. Neuberger stwierdza, że liczba narkomanów jest niezmiernie trudna do ustalenia we Francji, gdyż lekarze zasłaniają się tajemnicą lekarską i nie chcą udzielać żadnych wskazówek, koniecznych do przeprowadzenia statystyki. W podobnym położeniu znajduje się i Polska. W Czechosłowacji w czasie dyskusji w parlamencie praskim nad konwencją o zwalczaniu nielegalnego handlu narkotykami referent stwierdził, że w samej Pradze morfinizuje i kokainizuje się co najmniej 10.000 osób, to znaczy, każdy setny mieszkaniec stolicy zażywa, wacha lub zastrzykuje sobie jeden ze znanych środków, uśmierzających ból przy równoczesnym wywoływaniu zgubnego nałogu.

W naszym parlamencie sprawy narkotyków poruszane są niezmiernie rzadko. Wyjątek stanowi poseł ks. Grochowski, który w dniu 17 stycznia r. b. podczas debaty nad budżetem Ministerjum opieki społecznej domagał się ostrych rygorów przeciwko handlarzom żywym towarem i narkotykami. Mówca specjalnie prosił o opiekowanie się powiatami, sąsiadującymi z Rzeszą Niemiecką. Prawdopodobnie chodziło mu również o przemyt eteru, który niszczy zdrowie ludności pogranicznej i jest plagą, szerzącą się nagminnie zarówno na terenie Śląska, jak i w przygranicznych wsiach powiatu częstochowskiego, oraz na pograniczu Prus Wschodnich.

Marja Sokalówna.

DOROCZNY ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŻWOŚĆ“, KOŁA LEKARZY ABSTYNETÓW ORAZ POKREWNYCH I WSPÓLDZIAŁAJĄCYCH ORGANIZACJI

odbędzie się w Warszawie, dn. 17 i 18 maja i będzie miał charakter

JUBILEUSZOWY,

gdyż odbywać się będzie ściśle w dniu

XX-LECIA DZIAŁALNOŚCI TOWARZYSTWA „TRZEŻWOŚĆ“, którego pierwsze, organizacyjne publiczne zebranie odbyło się w Warszawie w Wielkiej Sali Pol. Tow. Higjenicznego

dnia 18 maja 1919 roku.

PROGRAM ZJAZDU :

Środa dn. 17 maja o g. 19.30 Zebranie Towarzyskie Uczestników Zjazdu w lokalu Towarzystwa „Trzeźwość“, ul. Oboźna 4.

Czwartek, dn. 18 maja o g. 9 Msza św. na intencję Zjazdu w kościele św. Krzyża przed wielkim ołtarzem. Słowo od ołtarza wygłosi ks. Prałat *Wincenty Balul*, członek honorowy T-wa.

- g. 11 (*punktualnie*) plenarne, uroczyste posiedzenie Zjazdu (w Wielkiej Sali Pol. T-wa Higjenicznego, ul. Karowa 31).
- a) Zagajenie—Prezes Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość“, *Kazimierz Kalinowski*,
 - b) Wybór Prezydium Zjazdu,
 - c) Znaczenie walki z alkoholizmem dla społeczeństwa i Państwa z punktu widzenia medycyny społecznej — wygłosi Prof. Un. Jagiell. Dr. *Stefan K. Pieńkowski*,
 - d) Wytyczne i osiągnięcia XX lat pracy — red. *Jan Szymański*,
 - e) Przemówienia powitalne przedstawicieli Władz i Organizacyj,
 - f) Wybór i wręczenie dyplomów członkom honorowym T-wa.

Produkcje artystyczne wykonają:

- 1) Chór Tow. „Trzeźwość“ pod kier. p. *Kazimierza Rowińskiego*.
 - 2) Orkiestra Mokotowskiego Koła Tow. „Trzeźwość“ pod kier. p. *Bernarda Jastrzębskiego*.
 - 3) Orkiestra T-wa „Trzeźwość“ pod kier. p. *Kazimierza Rowińskiego*.
- g. 13.30—przerwa obiadowa. Wspólny obiad.
- g. 14.30—obradę Zjazdu (w lokalu T-wa, ul. Oboźna 4 (tel. 511-07).
- 1) Odczytanie protokołu z poprzedniego Zjazdu.
 - 2) Humoralne czynniki odporności ustroju, a alkohol — wykład wygłosi Dr. *Alfred Stachy* (Lwów).
 - 3) Sprawozdanie Zarządu Gł. i Kom. Rew. z działalności T-wa za rok 1938/39. Dyskusja.
 - 4) Sprawozdanie pp. Delegatów Kół i Organizacyj. Dyskusja.
 - 5) Wnioski interpelacje.
 - 6) Wybory uzupełniające do Władz T-wa.
 - 7) Uchwalenie rezolucyj.
 - 8) Zamknięcie Zjazdu.

Podczas Zjazdu zorganizowana będzie W y s t a w a napojów bezalkoholowych i płynnych owoców.

K R O N I K A.

Walka z zatrutowaniem ludności eterem na śląsku. Władze policyjne oraz graniczne przeprowadziły szereg rewizyj domowych w miejscowości Gilowice pow. Pszczyńskiego, przyczem znaleziono 45 litrów eteru, oraz kilka baniek i wielką ilość butelek z eterem. Cały ten materiał zajęto i przekazano władzom skarbowym. Eter jest *masowo używany* nie tylko na terenie pow. Rybnickiego, ale i Pszczyńskiego, do picia na chrzcinach, weselach i t. d. Eter ten jest szmuglowany z Niemiec. Jest to groźna trucizna, która zabija i niszczy organizmy pijących, to też władze polskie walczą z nią energicznie.

Kurs alkoholologii dla słuchaczy Kursu strażników kolejowych D. O. K. P. w Warszawie zorganizowała Abstynencka Liga Kolejowców

w Warszawie w dn. od 23.II. do 4 marca 1939 wykładali pp.: Dr. Henryk Zajączkowski, Dr Henryk Szczodrowski, red. Jan Szymański, Miłoj Skiba.

Płock. W niedzielę dn. 12 marca w wielkiej sali Domu Katolickiego odbył się odczyt p. red. Jana Szymańskiego p. t. „Społeczne i państwowe znaczenie walki z alkoholizmem“. Sala była przepełniona. Odczyt urządził ruchliwy Zarząd miejscowego Oddziału Pol. T-wa Higienicznego.

Śląsk. — Statystyka przestępczości wykazuje następujące liczby w rubryce „o p i l s t w o“.

Województwo śląskie w dawnych granicach:

I — XII		1938			Zaolzie 1938	
1936	1937	IX	X	XI	X	XI
5485	5659	626	541	483	28	42

(Śląskie Wiadomości Statystyczne).

Ks. Poseł Dr. Władysław Padacz, rozwinął w Sejmie niezwykle ożywioną działalność w dziedzinie walki z alkoholizmem, kilka razy przemawiając na plenum i w Komisjach. O działalności Jego w tym zakresie już bardzo pożytecznej napiszemy obszernie w następnym numerze.

Alkoholizm i nieuwaga — wyłączne przyczyny wypadków samochodowych. Przeciętnie co piąty protokół pogotowia ratunkowego, interweniującego w wypadku samochodowym, ma notatkę:

— Szofer pijany.

Jeśli wziąć pod uwagę, że nie w każdym wypadku interweniuje pogotowie i że niezawsze można stwierdzić nietrzeźwość — odsetek wypadków z powodu pijaństwa będzie jeszcze większy.

— Czy stosuje się u nas — pytamy jednego z lekarzy — jakiś naukowy system badania obecności alkoholu w organizmie?

— Nie. Po prostu każde się chuchać szoferowi. W Ameryce bada się krew szofera. Ponieważ najmniejsza dawka alkoholu w organizmie powoduje pewne zmiany w krwi, stan nietrzeźwości nie da się ukryć po takim badaniu.

Stwierdzenie stanu nietrzeźwości ma ogromną wagę w procesach o wypadki samochodowe. Szofer, który, niepomny na bezpieczeństwo swoje i pasażerów, pije, winien być ostrzeżony surową karą, a w wypadku recydywy — pozbawiony prawa jazdy. W praktyce sądów polskich stosuje się w takich wypadkach bezwzględny i długi areszt oraz pozbawienie okresowe lub zupełne prawa jazdy. Dotychczasowa praktyka wykazała, że szoferzy taksówek, biorąc procentowo, częściej bywają nietrzeźwi, niż kierowcy aut prywatnych.

— Jeżeli przyjąć, że w czwartej części wypadków samochodowych „winę ponosi alkohol“, to jakby najogólniej ująć można przyczyny pozostałych wypadków?

— Najogólniej biorąc, jedna jest przyczyna: nieuwaga — kierowcy lub przechodnia.

— A defekty, jak np. psucie się hamulców, czy coś podobnego?

— To są rzeczy b. rzadkie, odgrywające niewielką stosunkowo rolę w praktyce.

(„Kurjer Czerwony“ 8.IV. 39)

J. K.

Rumuńska wódka przemycana w parowozie (Stanisławów, w listopadzie). Od pewnego czasu na kolonialnym rynku stanisławowskim pojawiła się nielegalna sprzedaż wódki rumuńskiej. Wobec tego organa policyjne wszczęły dochodzenia celem wynalezienia przemytników. Okazało się, że niektórzy niżsi funkcjonariusze kolejowi otrzymują co pewien czas wódkę rumuńską. W dalszym ciągu ustalono, że wódka przemycana jest na parowozach pociągów, kursujących na linii Lwów — Śniatyn — Załucze. Pociągi te przekraczają granicę polsko-rumuńską i dojeżdżają aż do stacji rumuńskiej Oraseni, gdzie nieuczciwi kolejarze zaopatrywali się w wódkę, którą na parowozach bez trudu przemycano do Polski. Ostatnio przeprowadzono na parowozie jednego z pociągów, kursujących między Polską a Rumunią, rewizję, w wyniku której znaleziono transport przemycanej wódki. Aresztowani zostali w związku z powyższą sprawą: maszynista Michał Karczewski i jego pomoenic Tadeusz Pokorski. Wmieszkaniu obydwóch znaleziono większe zapasy wódki rumuńskiej, którą oczywiście skonfiskowano.

(„Warsz. Dziennik Narodowy“ 4.XI. 38).

Tydzień Propagandy Trzeźwości w Tarnowie.

Z inicjatywy p. Stanisława Dłuskiego zawiązał się w Tarnowie Międzyorganizacyjny Komitet Propagandy Trzeźwości, do którego przystąpiły następujące Organizacje: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży żeńskiej, Hufiec Harcerzy, Organizacja Młodzieży Pracującej i Sekcja Młodzieży Stronictwa Narodowego. Komitet postanowił urządzić „Tydzień Propagandy Trzeźwości“.

Program Tygodnia przedstawiał się następująco:

Dnia 2 lutego. Zebranie Manifestacyjne Młodzieży z udziałem wszystkich wyżej wymienionych Organizacyj, na którym, po przemówieniach p. Stanisława Dłuskiego na temat „Trzeźwość podstawą dobrobytu i potęgi Narodu“, p. Włodzimierza Figla „Alkoholizm i jego zwalczanie“, uchwalono rezolucje, których tekst podajemy niżej. Rezolucje zostały rozesłane do Władz Państwowych, Organizacji Młodzieżowych i do prasy.

Dnia 5 lutego o godz. 9 rano w kościele katedralnym odbyło się uroczyste nabożeństwo z okolicznościowym kazaniem na intencję „Tygodnia Propagandy Trzeźwości“. O godz. 11.30 przed południem w sali Kina T. S. L. „Marzenie“ odbyła się Akademia, w której brały udział Organizacje Młodzieżowe i miejscowe społeczeństwo. Mimo niepogody sala była prawie pełna.

Program Akademji następujący:

1. Przemówienie wstępne wygłosił p. Stanisław Dłuski, Instr. K. S. M. M.

2. Odczytanie rezolucji ze Zebrania Manifestacyjnego Młodzieży z dnia 2 lutego b. r.
3. Deklamacja p. t. „Nasz wróg“, p. Marja Waleszczyńska z K. S. M. ż.
4. Wykład p. Dr. Stanisława Paszkowskiego z Krakowa na temat „Używanie alkoholu i jego następstwa“.
5. Zakończenie.

Program Tygodnia był ogłoszony afiszami i w miejscowej prasie. W Tygodniu Propagandy przeprowadzono kolportaż „Przyjaciela Trzeźwości“. Podkreślić należy przychylne ustosunkowanie się do akcji przeciwalkoholowej p. Prof. Godowskiego, Prezesa T. S. L., który ofiarował salę Kina „Marzenie“ bezpłatnie.

Za Międzyorganizacyjny Młodzieżowy Komitet Propagandy Trzeźwości
 Sekretarz: Przewodniczący Kom.
Władysław Boroń. wz. *Feldy W.*

R e z o ł u c j e.

Zebrani w dniu 2 lutego 1939 r. w Tarnowie, w Sali Akeji Katolickiej, pl. Katedralny 6, przedstawiciele organizacji: Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży żeńskiej, Hufca Harcerzy, Organizacji Młodzieży Pracującej i Sekcji Młodzieży Stronnictwa Narodowego, oświadczają, że organizacje ich chcą budować Polskę nową i dążą do reformy różnych dziedzin życia.

Jednym z groźnych przejawów życia polskiego jest obecny alkoholizm, który mimo ciężkich czasów — jak powiedział Ks. Prymas Kardynał Hlond, „grasuje nadal niepowstrzymanie, szerzy zastraszające spustoszenia socjalne, wyrządza nieobliczalne szkody gospodarcze, w dziedzinie moralnej działa, jak tajfun, łamiąc to, co szlachetnego wyrasta z duszy człowieczej. To hańba i klęska cywilizowanego świata. Wobec przeogromnych zadań stoją tu i państwa, i społeczeństwa, i Kościół“.

Alkoholizm, to nędza i przytułki dla bezdomnych! to nieszczęśliwe wypadki! to choroba, szpitale, domy warjatów! to upadek moralny! to zbrodnia, to więzienia! to śmierć! i zguba Narodu!

Alkoholizm jest tembardziej niebezpieczny dziś, kiedy szerzy się komunizm i bezbożnictwo, kiedy panują naprężone stosunki w Europie, kiedy naród musi być czujny i silny, aby odeprzeć wszelkie ataki wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. Obyczaje pijackie już raz za czasów saskich fatalnie zaciążyły na losach Polski i stały się jedną z przyczyn Jej upadku. Wreszcie pijaństwo jest wrogiem pomyślnej przyszłości samej młodzieży.

Jeżeli chcemy wyrósć na dzielnych i szczęśliwych ludzi, nie dajmy się ogłupiać alkoholem!

Zważywszy to wszystko:

- a) apelujemy do Młodzieży Polskiej, aby szła drogą prawdziwego postępu, odrzucając zacofane obyczaje pijackie;
- b) apelujemy do Organizacji Młodzieży, aby ważne to zagadnienie bezwarunkowo uwzględniały szeroko w swym programie pracy;

- c) domagamy się stanowczo od Rodziców i całego Społeczeństwa, aby nie częstowano młodzieży, zwłaszcza dzieci, napojami alkoholowymi, lecz przeciwnie, aby popierano szlachetne dążenia młodzieży abstynenckiej;
- d) zwracamy się z usilną prośbą do władz państwowych, aby czuwały nad przestrzeganiem ustawy przeciwalkoholowej, zwłaszcza postanowień, dotyczących młodzieży; równocześnie prosimy gorąco o usunięcie ze sprzedaży tanich buteleczek z wódką, które są jedną z głównych przyczyn rozpijania się młodzieży; prosimy nie podawać napojów alkoholowych małoletnim.

Wreszcie apelujemy do Władz Państwowych o zlikwidowanie miejsc pokątnej sprzedaży alkoholu i ograniczenie ilości wydawanych koncesji szynkarskich.

Prezydjum:

Stanisław Dłuski, Przew. Prezydjum
Piotr Dobrowolski, kom. Hufca Harcerzy
Władysław Boroń, K. S. M. M.
Jadwiga Kołodziejówna, K. S. M. ż.
Władysław Figiel, O. M. P.
Stefan Bratko, Sekcja Mł. Str. Narod.

„Świat Katolicki w dążeniu do odnowy obyczajów. — Pamiętnik I Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie, 11—14 września 1937 r.“. — Poznań 1938. Wyd. Katolicki Związek Abstynentów. Str. 208. — Cenne to wydawnictwo omówimy w jednym z najbliższych numerów.

Kurs Alkoholologii w Brześciu n/B. został urządzony z inicjatywy ruchliwego Prezesa miejscowego Koła A.L.K. p. D-ra L. Zgirskiego przy pomocy specjalnego Komitetu. Kurs udał się znakomicie — napiszemy o nim obszerniej w następnym numerze.

Kurs Alkoholologii w Krakowie urządzany corocznie przez Prezesa Zarządu Gł. T-wa „Trzeźwość“, p. Kazimierza Kalinowskiego i w tym roku od 20.III. do 2.IV. odbył się przy licznych udziałach słuchaczy i świetnym doborze prelegentów. Sprawozdanie w następnym numerze.

POŻYCZKA OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ.

ZARZĄD GŁÓWNY POL. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŻWOŚĆ“ SUBSKRYBOWAŁ POŻYCZKĘ W WYSOKOŚCI 500 ZŁ. PERSONEL, PRACUJĄCY W T-WIE „TRZEŻWOŚĆ“ — 300 ZŁ. OBIE TE SUMY WPLĄCONE ZOSTAŁY W CAŁOŚCI PRZY ZAPISIE.

Następny Nr „Trzeźwości“ ukaże się w maju.

DRUK UKOŃCZONO DN. 19 KWIETNIA 1939 R.

TABLE DES MATIÈRES.

- PIE XI, PAPE du Laïcat: L'allocution de Son Em. Cardinal Primat August Hlond.
JAN SZYMAŃSKI. — Le Pape Pie XI.
L'ABBÉ PRELAT WINCENŃY BALUL. — Feu Cardinal Aleksander Kakowski.
JAN SZYMAŃSKI. — Les mérites de feu Cardinal Aleksander Kakowski dans le domaine de la lutte contre l'alcoolisme.
L'ABBÉ DÉPUTÉ DR WŁADYSŁAW PADACZ. — L'état dans la lutte contre l'alcoolisme.
AN. SEN. TOMASZ NOCZNICKI. — Ne nous induisez pas en tentation.
AN. SEN. ALEKSANDER IŻYCKI. — La délégation polonaise au Congrès à Helsinki.
PROF. MIECZYŚLAW PTASZYCKI. — Du journal d'un maître novice.
PAWEŁ HULKA LASKOWSKI. — „L'eau de vie“.
STANISŁAW CZERWIŃSKI, proc. à la Cour Suprême. — La faculté curative de la musique.
HANNA NAŁĘCZ-OSTROWSKA SZYMAŃSKA. — Nouvelles Littéraires.
MARJA SOKALÓWNA. — Parmi les livres.
JAN SZYMAŃSKI. — Niemcewicz.
DR. PIOTR RADŁO. — Comment est construit l'univers.
J. MORI. — L'aiguille.
KONSTANTY KRYŚKO. — Les images de la vie.
ERYK LIPIŃSKI. — Une brillante affaire (6 dessins).
LE CONVERTI. — Ce que j'ai vécu et expérimenté.
ROMA LUXÓWNA. — La noce.
JADWIGA DANIŁOWICZ-MORACZEWSKA. — La vie nouvelle.
HANNA NAŁĘCZ-OSTROWSKA SZYMAŃSKA. — Du domaine des livres.
K. KWIATKOWKI. — Les impressions du Cours de l'Alcoolologie.
TEOFIL BRONIAREK. — La soirée à la société „Trzeźwość“.
Revue de la presse.
Revue étrangère.
Compte-rendu de la Ligue des cheminots abstinents. (13 dessins).
MARJA SOKALÓWNA. — La question des stupéfiants sur le terrain international.
Programme du Congrès des Délégués des Cercles de la S-té antialcoolique „Trzeźwość“ et d'organisations similaires.
Chronique.
-

NEKTAR

Idealny napój zdrowotny bez alkoholu.
Naturalny płynny owoc bez domieszek chemicznych
Zawiera najszlachetniejsze składniki odżywcze i lecznicze świeżego owocu.

WYTWÓRNIA:

NEKTARNIA ZAKŁADU ŚW. ANNY.
KAMIEŃ POMORSKI
PIERWSZA POLSKA SPECJALNA WYTŁÓCZNIĄ NEKTARÓW.

„ŻYCIANY“

TŁÓCZNIĄ SOKÓW WITAMINOWYCH
Z SUROWYCH OWOCÓW I JARZYN.

Dostarcza na zamówienie codziennie świeżo tłoczone soki odżywcze i lecznicze.

WARSZAWA, UL. ANDRYCHOWSKA 8, M. 2. TELEFON 8.72-99.

PAŃSTWOWY ZAKŁAD LECZNICZY DLA NERWOWO WYCZERPANYCH K O B I E T

W Gościejewie, poczta i st. kolejowa Rogoźno Wlkp.

Przeprowadza się leczenie odwykowe (alkohol, narkotyki) oraz leczenie stanów wyczerpania nerwowego i fizycznego po przewlekłych zatruciach organizmu środkami narkotycznymi.

W miarę Istnienia wolnych miejsc, mogą być przyjęte cierplące na inne schorzenia czynnościowe i organiczne układu nerwowego. Chorych psychicznie nie przyjmuje się.

Ś r o d k i l e c z n i c z e :

Psychoanaliza, psychoterapia reedukacyjna, terapia pracą, leczenie farmakologiczne i dietetyczne, autohemoterapia, odczyty i wykłady.

Najnowsze aparaty i urządzenia lecznictwa fizykalnego: wodolecznictwo, elektrolecznictwo, promieniolecznictwo.

Koszty pobytu od 6.—zł. dziennie wraz z mieszkaniem, utrzymaniem, lekami i zabiegami lekarskimi.

PAŃSTWOWY ZAKŁAD LECZNICZY DLA NERWOWO WYCZERPANYCH Ś W I A C K

Przeprowadza leczenie wszelkich narkomanij: alkoholizmu, morfinizmu i t. p. oraz zaburzeń nerwowych o charakterze psychonerwicowym, jak również ogólnych stanów wyczerpania nerwowego.

Leczenie odbywa się w sposób ściśle indywidualny, stosowane są najnowsze zdobycze terapii zaburzeń układu nerwowego, zwłaszcza psychoanaliza, psychoterapia reedukacyjna, oraz terapia pracą: warsztaty, rolnictwo, ogrodnictwo, praca umysłowa i t. p.

Terapia fizykalna Zakładu: wodolecznictwo, leczenie elektrycznością, naświetlania i t. p. jest wyposażona w bogate urządzenia, według wszelkich wymogów nowoczesnej techniki lekarskiej.

Opłaty wynoszą dziennie:

w klasie ogólnej	zł.	5.—
„ II	„	6.50
„ I	„	10.—

Opłaty rozumieją się wraz z zabiegami hydro- i elektroterapeutycznymi i lekami. Przyjmowani są pacjenci na rachunek Skarbu Państwa, Ubezpieczalni Społecznych i innych instytucji, jak również osoby prywatnie na koszt własny.

Zakład przeznaczony jest jedynie dla mężczyzn.

Stacja kol. Grodno. Dojazd do Zakładu autobusami linji Grodno—Sopoćkinie—Augustów

PAŃSTWOWY ZAKŁAD LECZNICZY dla NERWOWO WYCZERPANYCH

„ Ś W I A C K ”

poczta Sopoćkinie, woj. Białostockie. Telefon: Sopoćkinie 15.

Adres telegraficzny: Świack — Sopoćkinie.

Wyczerpujących informacji udziela Kancelarja Zakładu. Żądać ilustrowanych prospektów